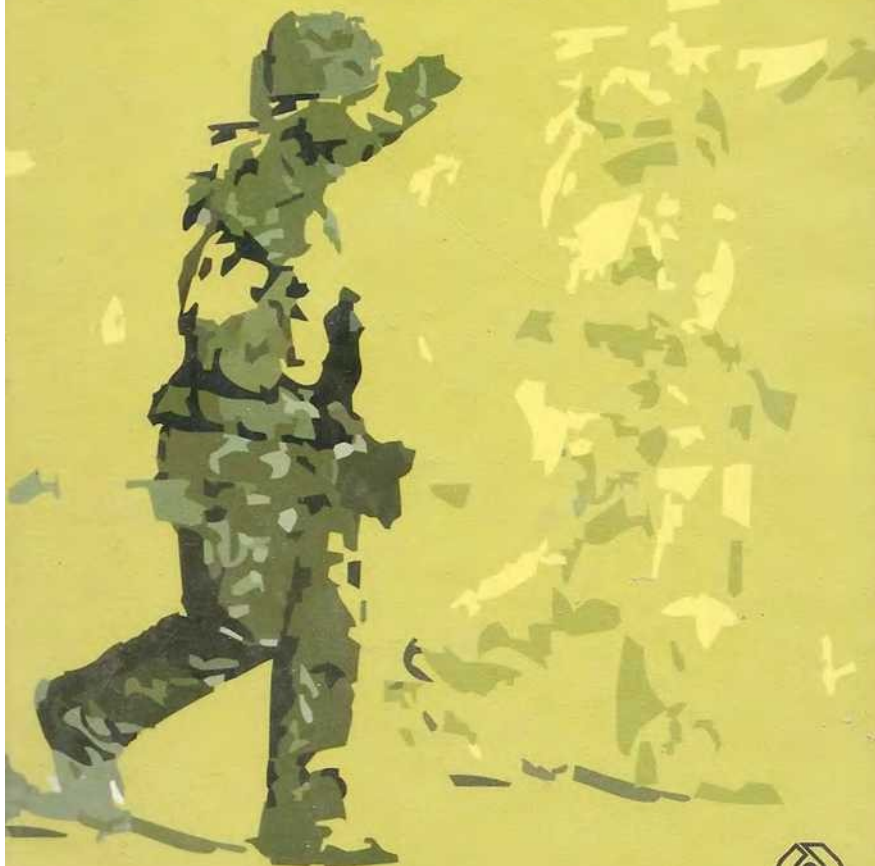




SALAMANDRA

Biyi Bandele
**CHŁOPAK
Z BIRMY**



REBIS

Woody Allen

Jay Asher Nadeem Aslam Biyi Bandele Philip K. Dick Elizabeth Gilbert

Debra Ginsberg Belén Gopegui Siri Hustvedt N.H. Kleinbaum Harper Lee David Lodge

Joyce Carol Oates Matt Ruff Colín Tóibín John Updike

William Wharton

Jeanette Winterson

CZYSTA ANARCHIA

OBRONA SZALEŃSTWA

TRZYNAŚCIE POWODÓW

BEZOWOCNE CZUWANIE

CHŁOPAK Z BIRMY

HUMPTY-DUMPTY W OAKLAND

JEDZ, MÓDL SIĘ, KOCHAJ

IMIONA KWIATÓW I DZIEWCZĄT

LUDZIE Z WYSP

ŚLEPE POSŁUSZEŃSTWO

ZDOBYWANIE POWIETRZA

AMERYKAŃSKIE SMUTKI

STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW

ZABIĆ DROZDA

SKAZANI NA CISZĘ

MOJA SIOSTRA, MOJA MIŁOŚĆ

ZŁE MAŁPY

BROOKLYN

CZAROWNICE Z EASTWICK WDOVY Z EASTWICK AL

PTASIEK

SPÓZNIENI KOCHANKOWIE WIEŚCI

W KSIĘŻYCOWĄ JASNĄ NOC DYSKRETNE SYMETRIE KAMIENI BOGOWIE
NAMIĘTNOŚĆ

Biyi Bandele

CHŁOPAK Z BIRMY

Przeto żyt Wojśław Brydak



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ

Książkę tę poświęcam żołnierzom z Royal West African Frontier Force i Kings African Rifles, którzy podczas drugiej wojny światowej służyli w formacjach alianckich. Było ich pół miliona.

Poświęcam ją również pamięci mego ojca Solomona „Tommyego Sparklea” Bamidele Thomasa, „chłopaka z Birmy” - wciąż mi dźwięczą w uszach jego opowieści o wojnie toczonej w dżungli.

A także mojemu synowi Korede i córce Temi.

Przynieśli karabin; sprawdzając broń, starałem się dociec, na ile ci ludzie znają się na rzeczy.

-Który tu najważniejszy?

-Jest! Ja! - wykrzyknął szeregowy Ali Banan.

James Shaw, *The March Out*

Prolog Kair

W" drugim roku wojny, dusznego, dławiącego dnia, kiedy z nieba lał się taki żar, że rojne zazwyczaj główne ulice Kairu niemal opustoszały, wychudzony Anglik ze zmierzwionymi włosami przemierzał chwiejnym krokiem ocienione zaułki i bazary, przeciskał się między końmi, wielbłądami, rowerami, motorowerami, wózkami straganiarzy, między przechodniami i samochodami, szukając, jak twierdził, apteki. Handlarze, których zaczepiał na wąskich, zatłoczonych uliczkach pachnących imbirem, kminem, sandałem i miętą - podobnie goście kawiarenek wypełnionych dymem nargili, do których się zabłąkał - mieli to samo wrażenie: z trudem mamrocący Anglik szuka czegoś, co istnieje tylko w jego rozgorączkowanej wyobraźni. Pewne było jedno, że do tego zgarbionego odmieńca w obwisłym mundurze majora armii brytyjskiej dobrała się obezwładniająca, wściekła febra. Dygotał i szczekał zębami w kairskiej spiekocie, jakby do szpiku kości przenikał go zimowy angielski ziąb.

-Apteka - mamrotał niemal bezgłośnie. - Atabryna... - Słowa przeszły w bełkot. Anglik najwyraźniej był chory. Jasnoniebieskie, głęboko osadzone oczy gniewnie pały w kościstej, wychudzonej, zarośniętej twarzy

Zataczając się, dryfował z jednej strony ulicy na drugą, przecinał jezdnię, nie dbając o własną skórę, ścigające go wyzwiska ani przekleństwa, nie zważał, co nadjeżdża. Posłaniec, który gwałtownym skrętem wózka zaprzęzonego w osła próbował ominąć Anglika, wylądował w rynsztoku; teraz biegł za majorem i gorąco życzył jego rodzicom rozwodu. Kierowca małego autobusu, niegdysiejszej półciężarówki, który w ostatniej chwili wdeptał w podłogę hamulec, wychylił się z wozu i w pierw zagroził, że zapłodni matkę oficera, następnie, że z niego samego zrobi rozacza, wreszcie, że go

następnym razem przejedzie. Potem w nagłym przyplywie skruchy, prosząc Boga o wybaczenie grzechów popełnionych językiem, kierowca wepchnął do samochodu oszołomionego Brytyjczyka, a nie otrzymawszy jasnej odpowiedzi, gdzie go wieźć, ruszył wprost pod hotel Continental w centrum, bo jak każdy w Kairze wiedział, że kłębią się tam alianccy oficerowie. Wepchnawszy majora w objęcia portiera, jakby zwracał niechciany podarunek, co sił w nogach pomknął do wozu, żeby nikt go nie zmusił do kolejnych poświęceń. Martwił się niepotrzebnie. Dostarczył majora Wingatea pod właściwy adres.

Zmarszczki na twarzy portiera wyrażały zatroskanie.

-Dobrze się pan czuje, majorze? - spytał.

Kondycja majora pozostawiała wiele do życzenia. Niemniej jazda samochodem przywróciła mu mowę.

-Zabierz te brudne łapska - warknął. - Nie jestem kaleką.

Portier skrzywił się, a potem skłonił na znak przeprosin.

-Oczywiście, majorze Wingate - powiedział. - Proszę mi wybaczyć. Próbowałem tylko pomóc.

Wingate trząsł się spazmatycznie.

-Jedyna pomoc, jakiej teraz potrzebuję, to atabryna. - Wciąż dygotał. - Muszę mieć atabrynę.

-Atabryna - powtórzył portier Namysłał się nad słowem, parę razy przemelił je w ustach, wymówił na kilka sposobów, pozastanawiał się jeszcze, w końcu pokręcił głową.

-Gdzieś już słyszałem to nazwisko, proszę pana - powiedział z powagą.

-Jakie?

-Atabryna. To któryś z naszych gości, proszę pana?

Kiedy major Wingate ruszył do holu, świat zawirował mu przed oczami. Podeszedł do recepcji, głuchy na nawoływania oficera z zatłoczonego baru.

Widok recepcjonisty przyjął z widoczną ulgą.

-Tayib! - zawołał. - Załatw trochę atabryny!

-Ależ majorze Wingate - Tayib był jedną wielką troskliwością - wczoraj dałem panu majorowi całą fiolkę atabryny.

-Poszło. Wszystko poszło - wymamrotał Wingate.

- W s z y s t k o , proszę pana? - Z czoła recepcjonisty pociekła strużka potu.

-Dwie ostatnie tabletki wzięłem dziś rano.

-To miało starczyć na tydzień.

Z baru po drugiej stronie holu, za plecami Wingatea, wężąż machał pułkownik.

-Ktoś próbuje zwrócić pańską uwagę, majorze.

-Tayib, załatwisz mi dawkę na następny tydzień, co?

-Pułkownik Mitchell chce panu coś powiedzieć, majorze.

Wingate odwrócił się i spojrzał na pułkownika z widocznym niesmakiem.

-Małpa - syknął, potem okręcił się i znów zajął Tayibowi w oczy. - Więc jak?

-Doktor Hamid... - zaczął Tayib.

-Pieprzyć go.

-Oczywiście, proszę pana. Ale receptę, którą dałem panu wczoraj, wypisał właśnie doktor Hamid, a dzisiaj rano wyjechał do ojca w Aleksandrii.

-Nie wytrzymam bez atabryny. I liczę na ciebie, Tayibie. Będę w pokoju.

-Zobaczę, co się da zrobić, majorze.

Recepcjonista przyglądał się zmaganiom Wingatea, chwiejnie zmierzającego do windy. Potem zawołał portiera.

-Ahmed!

Portier ospale ruszył do lady.

-Muszę mieć trochę atabryny - powiedział Tayib.

-A co z tą, którą ci przyniosłem od doktora Hamida?

-Załatwisz ją dla mnie u szwagra czy nie?

-Czemu sam jej nie załatwisz u Hamida?

-Zawsze musisz odpowiadać pytaniem? - Tayib nachylił się do Ahmeda. - Za tę wczorajszą, którą przyniosłeś, doktor Hamid mnie obsztorcował.

-Doktor Hamid kocha swój głos. A najbardziej, nim ci zaśpiewa rachunek.

-Nie o to poszło. Po prostu major zjawia się u mnie i mówi: „Załatw mi trochę atabryny, Tayibie”.

-Jasne. Myśli, że atabryna rośnie na drzewach.

-Więc dzwonię do doktora Hamida. A ten pyta: „Gdzie pacjent? Sprowadź go do mojej kliniki. Powiedz, że muszę go obejrzeć”.

Wiadomo, że atabryna jest toksyczna i nieobliczalna. Nawet jeśli ktoś bierze przepisaną dawkę, tłumaczył doktor Tayibowi, nie sposób czasem odróżnić objawów ubocznych od najgorszych nawet objawów leczonej choroby. Wiadomo też, że pewnych pacjentów atabryna wpędza w głęboką psychozę, u innych zaś powoduje śpiączkę. Dlatego to takie ważne, wyjaśniał dalej Hamid, żeby zbadać pacjenta, zanim przepisze się atabrynę. Tayib jednak wiedział, że przynoszenie takich nowin Wingateowi na nic się nie zda.

-Więc mówię: „Panie doktorze, majora Wingatea panu nie przyprowadzę. Nie dam rady. Ostatni rok, czy coś koło tego, spędził po prostu w Abisynii na wojnie z Włochami. Chodzą plotki, że coś poszło nie tak i porobiło mu się pod sufitem.

-To nie są plotki.

-, „Więc albo atabryna, albo mnie wyleją”, powiedziałem. Doktor się ulitował i kazał kogoś przysłać po tygodniową dawkę. Ale powiedział też: „Następnym razem pamiętaj, że rozmawiasz z lekarzem, nie farmaceutą”.

Oparty o ścianę Wingate dygotał, czekając na windę.

-Wiesz, że twój major był w Abisynii pułkownikiem? - zapytał Ahmed.

-Niemożliwe!

-Niech się rozwiode, jeżeli kłamię! Co się stało po kapitulacji Włoch? Po tej wojnie w Abisynii? Dowódcy kazali mu się natychmiast zameldować w Kairze, w naczelnym dowództwie. Dlaczego? Nikt nie ma pojęcia. Ale w sztabie dowiedział się na dzień dobry, że odtąd jest majorem. Degradacja. Nie mam pojęcia, co za zbrodnię popełnił w Abisynii, ale słyszałem, że kto wie, może pójść nawet pod sąd wojenny Wygląda jak własny cień, wykańcza go coś gorszego niż malaria. Chmury zebrały mu się nad głową. W każdym razie ja tam nie czuję do niego sympatii. Pracuję tu od lat, a nie spotkałem gościa bardziej nieokrzesanego. To prostak. Może go widziałeś, kiedy się wprowadzał? Wchodzi i żre cebulę. Cebulę, Tayibie. Nie zrozum mnie źle, naprawdę lubię cebulę. Ale cebula to nie jabłko. A^on ją gryzł tak łapczywie jak jabłko. Wpierw nawet pomyślałem, że to jabłko. Ale to nie było jabłko. Facet żarł surową cebulę. Tak, Tayibie, człowiek myśli, że widział już wszystko, a potem natyka się na coś takiego. Okropność. Po prostu okropność.

-Kiedy skoczysz do szwagra?

-Ten mój szwagier to tani, szach rajski, cudzołożny konował.

-Możliwe, ale ja cię nie proszę o portret szwagra.

-Śliski macher od pokątnych skrobanek.

-Rzecz w tym, czy ma atabrynę.

-Do niego bym nie poszedł nawet z katarem.

-Proszę cię o przysługę, Ahmedzie.

Zjechała winda. Wchodzący do kabiny Wingate nie zauważył stopnia i wylądował na czworakach. Tayib natychmiast sięgnął po telefon.

-To nie tak, że gość potrzebuje więcej atabryny. Już się jej najadł po dziurki w nosie. Wracaj na miejsce, Ahmedzie. To nie jest pacjent dla konowała od pokątnych skrobanek. Dzwonię do Royal Army Medical Corps.

-Dlaczego nie poszedł do nich od razu?

-Ahmedzie, gdybym umiał czytać w myślach, to chyba nie byłbym uwięzany do tej lady, prawda?

Wykręcił numer centrali i poprosił o połączenie z RAMC.

W windzie półprzymytny Wingate usiłował dosięgnąć właściwego

przycisku, lecz jego ręce chyba się nagle zbuntowały, bo choć wyznaczył im najprostsze z zadań, lgnęły tylko mocniej do ścianki i odmawiały posłuszeństwa. Ból głowy tuż nad oczami przypominał migrenę wzmocnioną kopniakiem w ciemność. Chwilami Wingate nic nie widział, a kiedy mógł coś dostrzec, patrzenie wiązało się z takim wysiłkiem, przygotowującym o taki ból, że zamykał oczy i modlił się o omdlenie. Pod powiekami czyhał zaś jaskrawy obraz lamp i kandelabrow z rżniętego szkła u sufitu hotelowego holu. Skrzyły się jak nieprzeliczone gwiazdy, groźnie kołysały gotowe w każdej chwili runąć i zmiażdżyć majora w tej windzie. Wingate był zlany potem, serce łomotało mu jak oszalałe, mundur lepił się do ciała.

-Jestem Tim. Tim Mitchell. - Wingateowi zdawało się, że dudniący głos dobiega z tunelu, z przeciwległego końca.

Spod półprzymkniętych powiek major dostrzegł, że zbliża się cień, że góruje nad nim. Głos zlał się w jedno z cieniem i przeistoczył w starannie ogoloną twarz, która zogromniała i zamiełniła się w rząd śnieżnobiałych zębów, wreszcie w gąbczasty, przymilny uśmiech.

-Jeszcze nie miałem zaszczytu poznać pana, maj orze Wingate. A musi pan wiedzieć, że słyszałem o pańskiej kampanii w Etiopii. Co więcej, czytałem wszystkie pańskie raporty i myślę, że...

-Nie teraz - powiedział Wingate. - Muszę się dostać do pokoju.

Oczywiście - odrzekł pułkownik. Wcisnął guzik piątego i w kilka sekund ra. I r lawdę mówiąc, kwateruję w sąsiednim pokoju. Rano

wspomniałem o tym w liście do Gwen. Spodziewam się, że nie ma pan nic przeciw temu. Napisałem tylko, że spotkał mnie zaszczyt: mieszkam obok Wingate'a z Etiopii.

Wingate nie dociekał, kim jest Gwen, mimo to Mitchell wyjaśnił. Wyciągnąwszy zdjęcie z portfela, obwieścił:

-Gwen to moja ukochana i narzeczona. Zaręczyliśmy się dwa tygodnie temu w Plymouth, a zaraz potem popłynąłem do Egiptu.

-Pułkownik - z trudem wymamrotał Wingate - skąd panu przyszło do głowy, że ciekawi mnie pańskie życie prywatne?

-To już niegrzeczność, Wingate.

Niemniej poskutkowało. Pułkownik się przymknął. Wingate nie pragnął nic więcej. Pneumatyczna winda wznosiła się powoli na piąte piętro. A major stracił przytomność na parę sekund. Młody pułkownik udawał, że tego nie dostrzega. Wingate był owiany legendą, utkaną z przedziwnych mitów i prawdziwych, acz niewiarygodnych wyczynów. Zachowanie majora tylko potwierdziło opinię, że Mitchell ma do czynienia z legendarnym ekscentrykiem.

Na piątym piętrze Mitchell dał spokój dąsom.

-Majorze - spytał - jak pan wpadł na tę nazwę, Gideon Force?

-A gdzie pan, pułkowniku - odrzekł Wingate, wciąż w windzie - wystarczył się o tak bezgranicznie tępy mózg?

-Zawsze jest pan taki odpychający?

-Tylko dla szpiclujących wazelinarzy z naczelnego dowództwa.

Świat zawirował i wyrwał się spod kontroli. Wingate próbował uciec od pułkownika i jak najszybciej dobrać do pokoju. Lecz prawie nic nie widział; ledwie mógł ustać, nie mówiąc o chodzeniu. Na korytarzu oparł się o ścianę, przywarł do niej i w tej pozycji przesunął się ku drzwiom. Mitchell przyglądał się majorowi z irytacją, wpięty przemieszaną z rozbawieniem, potem z troską.

-Coś z panem jest nie tak, Wingate?

-Nie widział pan chorego na malarię?

Mitchell chwycił Wingate'a za ramiona i obrócił.

-Pański pokój jest tam. - Poprowadził majora we właściwą stronę. - Był pan u lekarza?

-Tak. - Wingate z trudem doszukał się klucza.

Mitchell pomógł mu go ulokować w zamku..

-Mógłbym do pana wejść na chwilę?

-Nie. Po co?

-Zadzwońię z pańskiego telefonu po lekarza.

-Już powiedziałem: byłem u doktora. Dojdę do siebie. Niech tylko wypocznę.

-Słuchaj, Wingate, to rozkaz. Masz nie zamykać drzwi na klucz.

-Dlaczego?

-Żebym mógł w każdej chwili wpaść i zobaczyć, czy nic ci nie jest.

-A dlaczego, pułkowniku, tak się pan o mnie troszczy?

-Jest pan błady jak ściana. Chcę mieć pewność, że pan wy- dobrzał. Potem każę pana aresztować za grubiaństwo wobec oficera starszego stopniem.

Wingate zatrzasnął drzwi. Nie zdążył przekręcić klucza, kiedy drzwi znowu się otworzyły, a zza nich wychynęła głowa Mitchella.

-To paranoja, co pan wyrabia, Wingate. Nie jestem szpiclem. I nie jestem z naczelnego dowództwa.

-Dziękuję, pułkowniku.

-Nie ma za co, majorze. Na pewno nie potrzebuje pan lekarza?

-Zapewniam, pułkowniku, że nie jest mi na nic potrzebny.

-W porządku. Proszę pamiętać, że mieszkam obok. Wystarczy zastukać w ścianę i w mgnieniu oka się zjawię.

Wingate zamknął drzwi. Postął pod nimi; czekał na odgłos kroków, świadczący, że pułkownik odchodzi. Wreszcie usłyszał, jak Mitchell otwiera

przyległy pokój.

Dopiero wtedy, suwając po ścianie rękami, dobrnął cal po calu do łóżka w drugim końcu pokoju. Runął na posłanie, zawinął się w prześcieradła i zajęczał z bólu przesywającego wszystkie członki.

Rzucał się na łóżku przez parę minut, przewracał z boku na bok, wreszcie wypełznął z pościeli i sięgnął po jedną jedyną teczkę leżącą na nocnym stoliku. Przerzucał pliki byle jak spiętych kartek. Był to raport dla naczelnego dowództwa, dotyczący kampanii etiopskiej: dokument pisany z furią, pośpiesznie, tak zabarwiony wspomnieniami prawdziwych i wymaginowanych zniewag, jakby autor siadł do pisania już w tej gorączce, która dopiero teraz go dopadła i wzięła w kleszcze.

„W tej wojnie pokona nas cynizm, wszechobecny w komisjach i radach.

Tym, co wywyższa naród nad inne, jest prawość”.

Sięgnął po pióro i przymierzył się do skreślenia drugiego akapitu. Po namyśle uznał jednak, że go zachowa.

Sięgnął po plecak i wyciągnął termometr. Włożył go do ust, wszedł do łazienki i stanął przed lustrem.

Jest pan błady jak ściana, powiedział ten irytujący pułkownik. Miał rację.

Wingate wyjął termometr i spojrzał nań. Rano temperatura wahała się między 37,8 a 39,4°C, lecz zanim wzburzony ruszył jak kretyn w samo południe na spacer w ten straszliwy skwar, czym doprowadził się do tak rozpaczliwego stanu, dwie ostatnie tabletki atabryny zbiły gorączkę. Teraz skoczyła do 40°C.

Atabryna, pomyślał, muszę skądś wytrzasnąć trochę atabryny.

Wrócił do sypialni, sięgnął po telefon, wykręcił numer centrali i poprosił o połączenie z Tayibem z recepcji.

-Kiedy to dostaniesz? - spytał, kiedy Tayib podniósł słuchawkę.

-Dość szybko, majorze. - Zabrzmiało to jak unik.

-Dość szybko, czyli kiedy, Tayibie?

-Za... za godzinę, proszę pana.

Głos Tayiba sprawił, że Wingate nabrał podejrzeń. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się bez słowa w termometr.

-Jest pan tam, majorze Wingate?

-Tak. Jestem. Właśnie się zastanawiam... - Nie dokończył tej myśli, pochłonięty następną, wreszcie podjął decyzję. - Właściwie dzwonię, żeby powiedzieć, że już nie potrzebuję atabryny. Trochę jeszcze zostało z tej wczorajszej porcji. Po postu zawieruszyła mi się fiolka. Właśnie ją znalazłem. Pod łóżkiem. Dziękuję, Tayibie. Dziękuję za wszystko. Dzięki tobie Continental zasłużył na swą reputację; to prawdziwa oaza. Żegnaj i niech cię

Bóg błogosławi.

-Pan wyjeżdża? - spytał Tayib.

-Nie - odrzekł Wingate. - Skąd ci to przyszło do głowy?

-Tak sobie tylko pomyślałem, proszę pana... Bo powiedział pan „żegnaj”.

-Ciągle tak mówię, Tayibie. Jestem żołnierzem. Odruch zawodowy. Teraz się zdrzemnę. Dopilnuj, proszę, żeby mi nikt nie przeszkadzał.

-Oczywiście, proszę pana. Przyjemnej drzemki.

Odłożywszy słuchawkę, Wingate przez dłuższy czas siedział bez ruchu na łóżku. Podniósł termometr i wsunął do właściwej kieszonki plecaka. A potem podniósł plecak i całą zawartość wysypał na podłogę, nie wyłączając schowanego przed chwilą termometru. Przekopał stertę, sprawdził wszystkie kieszenie i schowki.

Szukał służbowego pistoletu, niepomny, że zostawił go w Ad- dis Abebie, w całym tym pośpiechu przed nagłym wyjazdem z Etiopii.

Przepatrzył wszystkie zakamarki, zajrzał pod łóżko, pod materac, przetrząsnął szuflady i szafę, szukał wszędzie. Lecz pistoletu, który - jak sądził - czyścił zaledwie parę dni temu, nigdzie nie znalazł. Słyszał, że Miasto Umarłych - starożytnie, rozległe

cmentarzysko zwane też Cmentarzem Żywych, bo przygarniało nie tylko zmarłych, lecz i setki tysięcy kairskich nędzarzy, którzy mieszkali wśród grobowców i komór grzebalnych - to kwitnący czarny rynek, gdzie handluje się bronią. Pomyślał, że któryś sprzątacznik natknął się na pistolet i ukradł go, żeby pomnożyć nędzne grosze płacone tu ludziom za wyczerpującą pracę w wymuszonym bezliku godzin. To jednak zakrawało na niedorzeczność: ukraść pistolet, ale nie tknąć gotówki, którą Wingate z zasady siał po całym pokoju.

Znów sięgnął po telefon i wywołał centralę. Może Tayib pomoże mu rozgryźć tę drobną tajemnicę zaginionego pistoletu. Zgłosił się telefonista i Wingate już otwierał usta, żeby poprosić

myśliwski nóż

Opołączenie z recepcją. A potem się rozmyślił.

Gdy odłożył słuchawkę, jego wzrok padł na przed rokiem wypatrzony na bazarze w Chartumie. Dawno go uznał za zgubę, tymczasem nóż wciąż leżał tam, gdzie go Wingate ulokował w dniu kupna, w zakamarku plecaka, którego zawartość leżała teraz na podłodze. Podniósł nóż i poszedł do łazienki. Sięgnął do torebki z przyborami do golenia, wyciągnął tubę pasty do ostrzenia brzytwy, wycisnął na dłoń około cala i pieczołowicie wtarł w pasek wiszący koło lustra. Starannie naostrzywszy nóż, stanął przed lustrem i uniół podbródek, żeby dobrze widzieć całą szyję. Przechesał palcami brodę, jakby

zabierał się do golenia.

Potem z całą siłą, jaką zdołał z siebie wyrzeszać, wbił nóż w szyję. Klinga przeszła mięśnie i ścięgno. Tryskając krwią przy tym samozarzynaniu, przypomniał sobie o drzwiach. Drzwi. Obrócił się i z nożem wbitym solidnie w tchawicę, kiedy nie- dotlenione partie mózgu zaczynały umierać, Wingate wyszedł z łazienki. Sięgnął do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Zadowolony wrócił do łazienki, żeby dokończyć dzieła. Stał przed lustrem, wyszarpnął nóż, przełożył do drugiej ręki. Iciął tętnicę szyjną pod innym kątem. Krew bryzgała na lustro. Wingate charczał.

„Riedy słyszę, że gość zamyka drzwi na klucz, nie zwracam na to uwagi - pisał nazajutrz do narzeczonej pułkownik Mitchell. - Kiedy słyszę, że wali się z nóg, trudno, jego sprawa. Lecz kiedy słyszę, że w sąsiednim pokoju gość wpierv przekręca klucz, a potem się przewraca...”

Mitchell właśnie zapadał w poobiednią drzemkę. Słyszac ten łomot, natychmiast nabrał pewności, że stało się coś złego. Pułkownik w piżamie wypadł na korytarz i kilkakrotnie zastukał do drzwi Wingatea. Odpowiedziała cisza. Wywołał majora po nazwisku. Głucha cisza trwała. Mitchell pomyślał, że może padł ofiarą własnej wyobraźni. Spróbował otworzyć drzwi. Były jednak zamknięte. Pognał do windy. Jak zwykle kabina gdzieś się błąkała. Darował sobie czekanie i zbiegł w dół, skacząc po dwa, trzy stopnie.

Kiedy znalazł się w holu, a potem dopadł recepcji - zamierzał wszczać alarm i prosić o zapasowy klucz - dostrzegł dwóch wojskowych sanitariuszy, którzy w tym samym momencie podjechali pod hotel. Przesłano ich z 15. Szpitala Wojskowego na drugim końcu miasta; mieli się zorientować, o co chodzi z tym telefonicznym wezwaniem do Continentalu sprzed półgodziny. Podenerwowany Tayib już żałował, że postanowił był ich ściągnąć; właśnie telefonował do Wingatea, żeby uprzedzić o wizycie dociekliwych gości, a wtedy wparował do holu Mitchell w piżamie. Tak się złożyło, że jedno z drugim - telefon Tayiba do szpitala wojskowego i niezdolność Mitchella do pilnowania swego nosa - uratowały Wingateowi życie.

Kiedy sanitariusze z Mitchellem, Tayibem i kierownikiem zmiany, w hotelu włamali się do pokoju, znaleźli na podłodze konającego Wingatea. Wszystko spływało krwią.

Sanitariusze bezskutecznie próbowali zatamować krwotok. Mknącym przez Kair ambulansem dowieźli Wingate a do szpitala wojskowego. Tam natychmiast trafił na stół; podczas zabiegów przetoczono mu niemal dziesięć litrów krwi.

Wkrótce po operacji - zdaniem chirurgów udanej - podczas której pięknie zszyto mu przecięte gardło, powróciły malarycz- ne konwulsje. Nieprzytomny, pogrążony w głębokiej narkozie Wingate zwrócił całą treść żołądka.

W gęstych nieczystościach, które wykasłał, znalazło się dziesięć całych, nie strawionych tabletek atabryny.

Gwałtowny napad wymiotów otworzył rany, unicestwiając cały trud chirurgów i pielęgniarów. Musieli zacząć od nowa. Tymczasem narkoza osłabła i pod koniec drugiej operacji Wingate, stopniowo odzyskując przytomność, mógł czuć tępe klucie każdego ze szwów zakładanych na szyi.

Gdy goiły się głębokie rany, które sam sobie zadał, leżącemu w szpitalu, zdrowiejącemu Wingateowi dni i noce upływały na myśleniu o Etiopii i Gideon Force, niewielkiej armii, której udało się ostatecznie rozwiać imperialne marzenia Mussoliniego.

rewnego ranka, równo pięć miesięcy i trzy dni po nieudanym kairskim samobójstwie Wingate'a, oddziały japońskie z lądu i z morza zaatakowały Malaje, brytyjską kolonię w południo- wo-wschodniej Azji. Tego samego dnia, dziewięćdziesiąt minut później, flota bombowców cesarskiej marynarki japońskiej złożyła wizytę na hawajskiej wyspie Oahu, niszcząc 188 samolotów marynarki Stanów Zjednoczonych i zabijając tysiące amerykańskich żołnierzy i cywilów.

Dwadzieścia cztery godziny później prezydent Franklin D. Roosevelt podpisał akt wypowiedzenia wojny Japonii. A dwa miesiące później wezwano majora Wingate'a - który po próbie samobójczej spowodowanej gorączką oraz nadużywaniem atabryny, popadłszy w nielaskę, tkwił przy papierkowej robocie - i awansowano na pułkownika.

Zadaniem Wingate'a było przyczynić się do wyparcia Japończyków z Birmy.

Zabrał się do tego, tworząc jednostkę składającą się z grup dywersyjnych dalekiego zasięgu szkolonych do prowadzenia działań głęboko na tyłach Japończyków.

Czindici - tak Wingate nazwał swych ludzi.

Hajlakandi

zagościła w głowie Banana. Farabiti Banan nagle pojął, dlaczego samandża Damisa, kiaftin Gillafsie i w ogóle wszyscy wydają się tacy opanowani, nieporuszeni. Powód? Wiedzą, że są w pułapce. Wiedzą to ludzie, a nawet muły, więc i on, farabiti Banan, też powinien wiedzieć: tu nie ma dokąd uciec. Pokonywali szlak ciągnący się pod górę przez parę kilometrów między porośniętym krzakami grzbietem pagóra a zielonym gąszczem kryjącym

przepaść; przekroczywszy jej krawędź, człowiek lub muł spadali do *chaung*, spienionego strumienia mknącego wśród głazów dwa kilometry niżej.

Banan pamiętał słowa mężczyzny nazywanego Dżenar.

-Waszą mocą jest wiara w siebie, waszą mocą jest spokój - mówił Dżenar. - Nieprzyjaciel zaatakuję wszystkim, co ma. Nieprzyjaciel chce w Birmie tylko jednego. Nieprzyjaciel jest tutaj, żeby was zabić. Nieprzyjaciel jest tutaj, żeby was zabić dla swego

* cesarza. Nieprzyjaciel jest tutaj, żeby was zabić dla generała Toja. Nieprzyjaciel jest tutaj, żeby was zabić dla Nipponu. Nieprzyjaciel jest tutaj, żeby was zabić albo umrzeć. Dniem i nocą dowódcy mówią w okopach nieprzyjacielowi: jeżeli masz połamane ręce, to musisz walczyć nogami. Dowódcy mówią nieprzyjacielowi: jeżeli masz połamane ręce i nogi, to musisz walczyć zębami. Dowódcy mówią nieprzyjacielowi: jeżeli nieprzytomny trafisz do niewoli, masz połknąć własny język i się udusić. Dowódcy mówią nieprzyjacielowi: jeżeli uszło ci życie z ciała, to musisz walczyć jako upiór. Taka jest miara nieprzyjaciela. A naszym zadaniem w Birmie jest zaleźć im za skórę. Połowę zwycięstwa odnieśliśmy już przez nasze ćwiczenia i upór w dążeniu do celu. Teraz ćwiczenia musimy zamienić w walkę. Teraz musimy pokazać, że potrafimy pobić Japończyków wszędzie, wszystko jedno gdzie. Nie będzie odpoczynku, nie będzie przepustek, nie będzie powrotu do domu, dopóki nie wygramy tej bitwy.

-Powodzenia i z Bogiem - powiedział Dżenar. - Waszą mocą jest wiara w siebie, waszą mocą jest spokój.

Farabiti Banan zapamiętał ostatnie słowa Dżenara i zastanawiał się, czy myśli też o nich samandża, bezgłośnie maszerujący tuż przed nim. A może wszyscy o nich myślą? Może mają nadzieję, że wejście w gniewne płomienie spokojnie i z wiarą w siebie zaskarbi im szacunek Dżenara, jeśli spotkają go kiedyś na tamtym świecie?

Farabiti Banan otarł twarz grzbietem dłoni; zauważył, że cały dygoce. Głowa ciążyła, w ustach czuł żółć. Poznał już strach, lecz tej okropnej nocy w piątym roku drugiej wojny światowej, na górskim szlaku w najdzikszych ostępach birmańskiej dżungli - daleko od północnonigeryjskiej wioski Saminaka, którą kiedyś uważał za dom i w której się urodził mniej niż siedemnaście lat temu - Ali Banan czuł bliskość śmierci i ogarnęła go wielka trwoga.

Wpatrywał się w tył głowy Damisy i modlił, żeby samandża obdarzył go spojrzeniem. Przez twarz Damisy - mężczyzny wysokiego, szerokiego w barach, o nieproporcjonalnie małej głowie osadzonej na szyi grubej i potężnej jak pień drzewa *kuka* - biegła upiorna blizna od lewego ucha po kąt ust. Sprawiała, że ludzie patrzyli na Damisę dwukrotnie: najpierw zaszokowani, a

potem zaszokowani jeszcze bardziej, kiedy dostrzegali, że brak mu lewego ucha.

Zeschnięte, jeśli nie obrócone w pył brakujące ucho leżało gdzieś we wschodnioafrykańskiej Addis Abebie.

Trzy lata wcześniej włoski faszysta, członek liczącego 400 tysięcy ludzi korpusu ekspedycyjnego wysłanego do Abisynii przez Benito „Il Duce” Mussoliniego, wpadł z dwunastoma innymi „czarnymi koszulami” w zasadzkę zastawioną przez żołnierzy tajemniczej jednostki zwanej Gideon Force, coraz groźniejszej partyzanckiej armii Afrykanów, dowodzonej - jak wywieździeli się Włosi - przez pułkownika brytyjskiej armii nazwiskiem Orde Charles Wingate, oryginała, który najchętniej podróżował wielbłądem, a u przegubu, jak powiadano, nosił budzik, który dzwonieniem przypominał mu o kolejnych zadaniach. W tamtej zasadzce jakaś „czarna koszula” wdała się w walkę wręcz ze starszym kofurem Abdulazizem Damisą z 23. Brygady Nigeryjskiej, przerażającym olbrzymem o twarzy naznaczonej blizną. Faszystowski sódza dobrał się do plemiennych znaków Damisy i próbując z werwą poderznąć Afrykaninowi gardło bagnetem karabinka powtarzalnego M38 Carcano, obciął mu tylko ucho. Tymczasem obcięcie głowy wysłało „czarną koszulę” do stwórcy „czarnych koszul”, a starszy kofur Damisa, który na próżno szukał utraconego ucha, został mianowany samandżą. Później, kiedy Gideon Force odznaczyła się przy wypędzaniu z Abisynii wojsk II Duce, samandżę uwieczniono na zdjęciu, na którym cesarz Hajle Sellasje ściska mu dłoń; poznaczona śladami bitew twarz Damisy promienieje nie ukrywanym zachwytem.

W oczach Banana samandża Damisa był bohaterem. Starszy o dwanaście lat, znacznie więcej już widział i dokonał niż ktokolwiek, kogo dotychczas poznał Banan. Damisa umiał powiedzieć w suahili „dzień dobry” „co słyhać” i „co za piękna *panga*”, znał mnóstwo brzydkich słów po włosku, potrafił w języku tigrinia i po amharyjsku powiedzieć „jesteś taka piękna”, a po angielsku w zasadzie wszystko co chciał, tak samo w koszarowym francuskim, bazarowym joruba i miejskim fulfulde. Ojczystym językiem Damisy, tak jak Banana, był hausa.

Właśnie w języku hausa Damisa często i bardzo cierpliwie umiał objaśnić farabitemu Bananowi różne rzeczy; angielskim Banan władał ledwie ledwie, lecz kiedy farabiti Banan słyszał komendę „kryj się”, przypadał do ziemi prędzej niż inni. Przekonano się o tym już na pierwszych ćwiczeniach w bazie w Indiach, w północno-wschodnim dystrykcie Hajlakandi, nazajutrz po tym, jak farabiti Banan - przydzielony przez naczelne dowództwo wojsk zachodnioafrykańskich w Chirindze - dołączył do 12. batalionu Pułku Nigeryjskiego.

Zanim Banan dołączył do 12. batalionu, spędził tydzień w Bombaju w szpitalu wojskowym, gdzie leczył się z ospy wietrznej; nabawił się jej nie w porę, bo jego macierzysty 5. batalion Pułku Nigeryjskiego ruszył tymczasem dalej. Zanim Banan pozbył się szpecących, acz niebolesnych krost i został znów uznany za zdolnego do służby, ludzie z batalionu Banana już wylądowali w Birmie i sumiennie nawąchali się prochu. Rozgromili kompanię Japończyków, tracąc pluton. Wyszli też cało z zasadzki kosztem pięciu mułów, dwóch ciężko rannych i słonia, który pocałował do dżungli z mahutem na grzbiecie.

Z Bombaju Banan pojechał pociągiem do Chiringi, miasta w Bengalu, w którym była Baza sił Zachodnioafrykańskich oraz ich dowództwo. W Chirindze usłyszał, że 5. batalion Pułku Nigeryjskiego upomni się o niego w stosownej porze, kiedy pomyślny zbieg okoliczności, bolesny problem wolnego miejsca na pokładzie dakot C-47 i inne złożone logistyczne zagadnienia związane z dyslokacją wojsk wreszcie umożliwią sprowadzenie Banana. Inaczej mówiąc, świetnie sobie radzą sami i dziękują za pamięć.

Banan przeczekał w bazie cały miesiąc, nie usłyszawszy ani słowa. Dzień w dzień nachodził sekcję uzupełnień i na zmianę zadręczał podoficerów to błaganiami, to kazaniem.

Informował wyniośle, że nie po to przemierzył drogę z Kandy do Lagos, z Lagos do Freetown, z Freetown do Durbanu i całą trasę do Indii, żeby po powrocie do Nigerii móc opowiadać tylko o klęsce w starciu z ospą wietrzną.

-Ja walczyć w Boma - oświadczył Banan. - Ja tu zabijać Dżapani. Po to tu jest.

Tymczasem tkwił na miejscu, od rana do wieczora karmiony curry. Nigdy w życiu nie widział tyle jedzenia. Pewnego ranka zjawił się w uzupełnieniach, pomaszerował prosto do dyżurnego podoficera z plemienia Hausa, zsalutował mu tyleż dziarsko co nienagannie i oskarżył go o całe zło, jakie Banana spotkało po przyjeździe do Indii. Przysłuchujący się temu trzej pozostali podoficerowie zapytali nigeryjskiego kolegę, o co też chodzi fa-rabitiemu Bananowi - który płomiennie przemówienie wygłosił w hausa - i dlaczego ten sipaj raz po raz klepie się po brzuchu?

Uprzejmy nigeryjski podoficer, nauczyciel podstawówki w Jos, przybliżył kolegom sytuację:

-Strzelec Banan twierdzi, że został przeze mnie żarłokiem - wyjaśnił.

-Naprawdę nazywa się Banan? - spytał podoficer ze Złotego Wybrzeża.

-Nic na to nie poradzę. Ma na imię Ayaba; w hausa to banan. Szeregowy Banan oświadcza, że rośnie mu kałdun i że to moja wina. Twierdzi, że kiedy się tu stawia i prosi o odesłanie do batalionu, zawsze go spławiam do kantyny. Chce do Birmy. Jeśli go nie odeślemy do batalionu, rozpocznie strajk

głodowy.

Widać było, że to nie przelewki.

-Czemu nie może do nich dołączyć? - spytał podoficer z Gambii.

-Przeszkód nie ma - westchnął Nigeryjczyk. - Tylko że własny pluton go nie chce. Są pewni, że im przywlecze ospę wietrzną. Próbowałem tłumaczyć, że doszczętnie się pozbył paskudztwa i nikogo nie może zarazić. Posłałem orzeczenie komisji lekarskiej, ale oni to mają w nosie. Ignorancja. Ignorancja i zabobon. Wiecie, jacy są nasi.

-Wytłumaczyłeś to sipajowi Bananowi?

-Wytłumaczyłem... - nigeryjski podoficer zakaszłał i chrząknął - wytłumaczyłem sipajowi Bananowi, że pluton... czeka na niego z otwartymi rękami.

-Inaczej mówiąc, kłamałeś w żywe oczy - powiedział Sier- raleończyk.

-To chłopaki z tej samej wioski - wyjaśniał nigeryjski sa- mandża. - Uważają, że Banan jest w porządku, ale przeraża ich myśl o wietrznej ospie. Zdaniem dowódcy najważniejsze jest morale oddziału. I dlatego przyrzekł mi, że osobiście dopilnuje, żebym stracił wszystkie belki, jeżeli mój okrągły przyjaciel jakimś cudem wróci do 5. batalionu Pułku Nigeryjskiego. Ale porucznik nie raczył powiedzieć, co mam, u diabła, począć z tym ciężarnym gnojkiem.

-Sipaj Banan rwie się do boju?

-Jak wszyscy diabli.

-No to masz prawdziwego piechociarza - powiedział Sier- raleończyk, czule spoglądając na farabitego Banana. - Znasz powiedzenie „od piechoty możesz się wymigać tylko na leżą- co: na noszach albo o sześć stóp niżej”. Chłopak wziął to sobie do serca.

Gambijczyk przeczesał palcami rzednące przedwcześnie włosy.

-Chyba już wiem, co robić - powiedział. - Wyślemy go do Hajlakandi.

-Do Hajlakandi? - spytał Sierraleończyk. Właściwie to nie było pytanie. - Chcesz go wysłać do czinditów?

-Czemu nie? - spytał z kolei Gambijczyk.

-Ale czindici, sierżancie, czindici...

-Niby co z tymi czinditami, havildarze? - W armii indyjskiej havildar stanowił odpowiednik sierżanta.

-Wyobrażacie sobie, havildarze, że ów piękny okaz żołnierza z brzuchem jak konga przemaszeruje w Birmie tysiąc mil? A tyle podczas ostatniej wyprawy musieli przejść czindici. Na własnych nogach. Z ekwipunkiem ważącym osiemdziesiąt funtów.

-Nie mam pojęcia - odrzekł Gambijczyk. - Wiem jednak, że 12. batalion Pułku

Nigeryjskiego w Hajlakandi na gwałt potrzebuje żołnierza do plutonu transportu zwierzęcego. Co wasz człowiek wie o mułach?

Nigeryjski podoficer spytał farabitego Banana, co wie o mułach.

-Ten sipaj nic nie słyszał o mułach. Natomiast... - tu przerwał, żeby wysłuchać farabitego Banana, któremu aż załśniły oczy - kiedyś bardzo chciał mieć konia. Oszczędzał na niego całe lata, lecz potem pewien kanciarz, który nakłamał, żeby się wcześniej dostać do pieniędzy, przyprowadził Bananowi osła. Całą sprawę Banan przedstawił naczelnikowi wioski, chociaż mógł się domyślać, że szkoda czasu. Naczelnik i ten kanciarz to powinowaci.

-O co chodzi z tym urzędnikiem naczelnika? - spytał Gambijczyk, który zasłyszał parę słów w hausa u nigeryjskich handlarzy w Banjul. - On powiedział *dan kilaki*.

-*Dan kilaki* to nie „urzędnik naczelnika” tylko „urzędniczy syn” - tłumaczył Nigeryjczyk. - W hausa tak się mówi o nadużyciu. *Dan kilaki* znaczy „syn kobiety, która sprzedaje swoje ciało za pieniądze”.

-Więc nigeryjscy urzędnicy to prostytutki? - spytał Sier-raleończyk.

-Termin oznacza nadużycie - z godnością odparł Nigeryjczyk.

-Co zrobił sipaj z tym osłem? - spytał Gambijczyk, najwyraźniej pragnąc uniknąć sprzeczki.

-Założył mu uzdę, siodło i jeździł jak na koniu --powiedział Nigeryjczyk. - Osioł służył mu pierwsza klasa; po pewnym czasie sipaj pojął, że Bóg posłużył się kanciarzem, żeby obdarzyć sipaja wiernym sługą. Niestety, osła ukradła grasująca banda...

-*Kafirai tsirara a kan kafirin dokuna* - wyjaśnił farabiti Banan, zamachnąwszy się na muchę, która usiadła mu na nosie.

-...zupełnie gołych niewiernych na wyjątkowo szybkich koniach - słowo w słowo przetłumaczył nigeryjski podoficer. - Byli z sąsiedniej wioski. Może was ciekawi, powiada sipaj, do czego, na Boga, takiej zgrai niewiernych nagich jak ich dzikie konie może się przydać zwykły osioł. Cóż, mówi Banan, zjedli tego osła - oto do czego był im potrzebny. Wyprawili sobie ucztę, zajadali się osłem, bezbożne łajdaki.

Zasepiony Banan zamilkł. Ale nie na długo.

-Dlaczego samandża Mackaley pyta farabitego Banana

o muły? - zagadnął. Miał trochę peszący zwyczaj: nagle zaczynał o sobie mówić w trzeciej osobie.

-Kolejny raz przypominam wam, żołnierzu, że jestem sierżantem, a nie starszym sierżantem sztabowym - powiedział samandża Mackaley.

-Z łaski świętego proroka Mahometa, niechaj spłyną na niego wszelkie błogosławieństwa Boże, każdy samandża to sa- mandża - z wyższością

wyjaśnił Banan, tonem wskazującym, że nie ma ochoty dłużej się spierać.

Samandża Mackaley zdumiony pokręcił głową, a potem zwrócił się do pozostałych samandżiów z trzema szewronami.

-W zeszłym tygodniu mulnik 12. batalionu Pułku Nigeryjskiego dał się zabić kобрze. Jako uzupełnienie proponuję posłać szeregowego Banana.

-Muły? - Ali zachłysnął się powietrzem, jakby go użądliła mrówka siafu. - Czy wiecie, z kim macie do czynienia? Jestem synem Dawy, króla studniarzy, który swoim błogosławionym nosem potrafił z Saminaki wyczuć wodę aż w Sokoto. Jestem synem Hauwy, której matką była Talatu, której matką była Fatimatu, królowa świeżego wilgotnego ciasta kulikuli, na którego wspomnienie starym ludziom do dzisiaj ślina cieknie z ust. Nasi ludzie powiadają, że odległość to choroba i tylko podróż może ją uleczyć. Myślicie, że Ali Banan, syn Dawy i prawnuk Fatimy, przepłynął z karabinem na ramieniu wielkie morze i przybył aż tutaj, żeby doglądać mułów?

Po trzech dniach podróży rikszą, pociągiem i na pace ciężarówki farabiti Banan, przez cały czas nadąsany, dotarł do Hajla-kandi. Tam natychmiast podszedł do pierwszego napotkanego oficera i palnął mowę.

-Pozwoli pan, że zapytam, sir - zaczął Banan. - Czy w mojej postawie jest coś z poganiacza? Czy kiaftin uważa, że Ali Banan wygląda na mulnika? Stawiam te pytania, kiaftin, bo pańscy ludzie w Chirindze, sir, powiedzieli, że moje umiejętności Strzelca wyborowego, dzięki którym do tej krainy zaprosił mnie pański wielki zwierzchnik, sam Kingi Dżodzi, nie są już potrzebne. Teraz mam doglądać muła. Proszę pytać kogo pan chce, sir, nie jestem wredny. Nie z tych, co mówią: „Upiecz mi manioku, a ja ci zostawię obierki”. Jeżeli jednak, kiaftin, odbiorą mi karabin i będę musiał pilnować muła, to na Boga i Jego Proroka, ten muł pocierpi. Pocierpi, sir. Jak pocierpi? Kiedy w dniu Sądu Ostatecznego ten muł usłyszy, że ja, Ali Banan, mam trafić do rajy, to powie: „Albo on, albo ja”. Już to wszystko mówiłem. W Chirindze pańscy ludzie tylko się ze mnie śmiali, a wyprawili mnie tutaj, byle się mnie jak najszybciej pozbyć. Ja miałem te ich śmiechy za nic. Kiedy się śmiali, byłem jak garnek z baśni o garnku i skorpionie. „Świat jest taki nieczuły”, powiedział skorpion, kiedy spróbował użądlić garnek. Z drugiej strony korzę się przed skorpionem, bo jak powiada przysłowie, kto gardzi tym, czego mu brak, nie nadepnął jeszcze na skorpion. Czy wzgardzono mną, bo mi czegoś brak? Na pewno nie dlatego, że słabo mówię waszym językiem. Próbowałem się go nauczyć, eminencjo, Bóg świadkiem. Lecz ile razy zaczynałem od a do z, gubiłem się gdzieś pomiędzy (3 a ó, bolała mnie głowa i musiałem się położyć, żeby dojść do siebie, sir. Niech nam pan długo żyje, kiaftin.

Banan skończył, a kiaftin wpatrywał się w niego oczami poczerwieniałymi

z niedospania. Wyglądał na rozbawionego, choć może był rozgniewany. Banan nie wiedział. Kiaftin obrócił się na pięcie i przywołał zwalistego wysokiego mężczyznę bez ucha, który czyścił karabin przed jednym z namiotów rozsianych po całej bazie, tarmoszonych przez wiatr jak pszeniczne kłosa. Jednouchy samandża ostrożnie odłożył broń. Spoconą twarz wytarł pomarańczową chustką. Kroczył przez rojowisko szeregowych, podoficerów i oficerów, brytyjskich, birmańskich, nepalskich i nigeryjskich, a także mułów i kuców kręcących się w sobie wiadomym celu po całej bazie, spowitej wonią kurzu i potu, naznaczonej tłumionym napięciem.

-Dopominaliśmy się w Chirindze o jakiegoś mulnika, sierżancie? - spytał kiaftin w nieskazitelnym hausa.

Wysoki, wyprężony samandża znacznie górował nad kiaftinem i Bananem; farabiti zaszokowany brzmieniem mowy hausa w ustach kiaftina po prostu oniemiał.

-Nic o tym nie wiem, sir - odrzekł samandża.

-Farabiti Banan - odezwał się kiaftin - czy dobrze słyszę, że macie akcent z Zazzau? Jesteście z Zarii?

Banan podskoczył z radości, a z jego ust, już niczym nie krępowanych, polały się potoki słów.

-Po czym pan poznał, kiaftin? - wyrzucił z siebie. - Urodziłem się w Saminace. Ale kiedy miałem siedem lat, ojciec mnie posłał do Zarii, żebym się wyuczył kowalstwa. Patron się nie patyczkował. Miał ciężką rękę. - Banan rozpiął koszulę khaki i pokazał na grzbiecie ślady kowalskiego bata; biegly równo, jak wycięte piłą. - Jeszcze sześć miesięcy temu Zarię nazywałem swoim domem, zanim zjawili się dwaj moi najlepsi przyjaciele Yusufu i Iddrisi, których patron, Sulejman, lutował garnki i była z niego jeszcze gorsza zaraza niż z mojego. Yusufu i Iddrisi przyszli pewnego wieczoru, kiedy siedziałem pod drzewem kuka za obejściem Hamzy, syna rzeźnika Abu, którego ojciec też był rzeźnikiem, tak jak dziadek i ojciec tego dziadka; sam Hamza też jest rzeźnikiem. Więc siedziałem pod drzewem za obejściem Hamzy, rozkoszowałem się wieczornym powiewem i dziękowałem Bogu, że stworzył takie piękne gwiazdy, które koją nędzę mego życia; nędzę, bo tuż przed wołaniem na wieczorną modlitwę poczułem na grzbiecie bat patrona. „Ali - powiedzieli Yusufu i Iddrisi - słyszałeś opowieść dnia?” Tak się złożyło, że właśnie wróciłem z wioskowego placu, gdzie garbaty albinos Gizo-gizo snuł jedną ze swoich wspaniałych wieczornych opowieści. Więc pomyślałem, że patron Yusufu i Iddrisiego za karę, za taki czy inny drobiazg, zabronił im dziś słuchać Gizo- -gizo, bo małostkowość tego Sulejmana mogła się mierzyć tylko z draństwem mojego patrona. I zachowałem się wobec Yusufu i Iddrisiego tak,

jak oni by się zachowali wobec mnie, gdybym to ja stracił okazję słuchania wieczornej opowieści albinosa. Siadłem na skrzyżowanych nogach, rozgniotłem orzeszek koli, podzieliłem się i chwając imię Boga, Miłosiernego i Litościwego, powtórzyłem opowieść z tego wieczora tak, jak ją zapamiętałem. Zacząłem „W imię Boga Przebaczającego, Litościwego” i „Niech pokój Boga będzie z tym, po którym nie ma innych proroków. Zdarzyło się - powiedziałem - że pewna kobieta szła ze swym synem, a przelatujący nad nią ptak upuścił jej na głowę to, co zwykle upuszczają ptaki. Matka i dziecko szli dalej swoją drogą, aż doszli do stada bydła. Tam chłopiec zobaczył na trawie łąjno, jedno na drugim. Mamo, powiedział chłopiec, czyż nie jest dobre, że Bóg nie dał latać po niebie krowom? Tb wszystko - powiedziałem. - Pora ściąć łeb szczurowi”. Kiedy skończyłem opowiadać, zamiast podziękowania, a przynajmniej uśmiechu, dostałem po głowie. „Głupi jesteś - powiedzieli. - Nie taka jest opowieść dnia”. Cóż, muszę przyznać, że opowieść garbusa była znacznie lepsza. Ale kto na tym świecie umie tak opowiadać jak garbaty albinos Gizo-gizo, któremu z ust sam miód się leje? „Głupi jesteś - powiedzieli - zapomnij o Gizo- -gizo. Opowieść dnia jest taka, że Kingi Dżodzi, monarcha In- gili, toczy wojnę w krainie Boma i potrzebuje naszej pomocy. Kingi Dżodzi chce, żeby wszyscy mocni mężczyźni poszli do Kaduny i dołączyli do jego wojowników”. Jeżeli mam być szczerzy, to zaskoczyło mnie wezwanie Kingi Dżodzi, nigdy też nie słyszałem o krainie Boma. Aż do tego wieczoru. Zresztą Yusu- fu i Iddrisi też nie słyszeli, ale już postanowili, że odpowiedzą na wezwanie monarchy i pójdą do Kaduny. Przedtem chcieli się tylko dowiedzieć, czy i ja bym poszedł. Moja opowieść jest długa, lecz zaraz sprawię, że się stanie krótka. Jeszcze tego wie- czora Yusufu, Iddrisi i ja ruszyliśmy w drogę i prosto jak strzelił pomaszzerowaliśmy do Kaduny.

Na tym Banan jednak nie skończył. Opowiedział wszystko, co mu się przytrafiło, odkąd przybył do Indii sześć tygodni temu z Yusufu, Iddrisim i innymi młodymi mężczyznami z Zarii, którzy pośpieszyli na wezwanie Kingi Dżodzi, by w Kadunie zobaczyć Alego i jego dwóch przyjaciół, już chępiących się piaskowozielonymi koszulami z czarnymi guzikami z palmowca, bermudami sięgającymi tuż za kolano i włochatymi zielonymi fezami z frędzlem na czubku. Jeśli chodzi o nogi, to młodzi ludzie otrzymali - wśród oficerów szemrano, że był to krok pochopny - specjalnie zaprojektowane buty w „stylu tropikalnym”, szerokie i zaokrąglone po bokach, których kształt kojarzył się z czółnem. I rzeczywiście, kiedy Ali z przyjaciółmi paradowali w tych butach po ulicach Kaduny, wyglądali, jakby mieli na nogach flotyllę czółen, a gdyby weszli do rzeki Kaduna, mogliby pożeglować z pomyślnym wiatrem.

Ali, którego drobne stopy jeszcze nie znały obuwia, nosił te buty z widoczną dumą. Na codzienny rytuał poranny Ałego składała się modlitwa o świcie, musztra, śniadanie i pucowanie. Brał wpieryw jeden but, potem drugi i wilgotną szmatką ścierał cienką powłokę kurzu; na kłębek waty wylewał kroplę lub dwie oleju arachidowego i polerował buty, aż nabrały blasku jak lustra w kasynie oficerskim. Z tych butów był tak dumny, tak skory do chwalenia się, że szybko wynalazł lepszy sposób obnoszenia się z nimi: zamiast wkładać na nogi - zresztą, bądźmy szczerzy, chodzenie boso wciąż uważał za wygodniejsze - wiązał sznurówki i wieszał buty na szyi. Pomysł się przyjął i wkrótce - czemu towarzyszyło niejakię rozgoryczenie brytyjskich oficerów - modą wśród młodych ludzi stało się noszenie butów na szyi zamiast na nogach. Tęgo roku w niektórych dzielnicach Kaduny - miasta, gdzie każdy wiedział, kogo to Kingi Dżodzi specjalnie zaprosił do Bomy, żeby nauczyć rozumu Dżapani - żaden szanujący się zamożny młody człowiek nie wsiadłby wieczorem na rower marki Raleigh bez, jak się wówczas mawiało, koszarowego naszyjnika: lśniącej pary butów na szyi.

ęgo samego dnia wieczorem Banan, rozkładając bambusową matę w przydzielonym mu przez Damisę kącie namiotu, zapytał samandżę:

-Gdzie on się tak dobrze nauczył hausa?

-Kto?

-Kiaftin Gillafsie.

-W kraju Hausa.

Banan zauważył inną matę w innym kącie.

-Czyja to mata?

-Pasza.

-Jęgo tu nie ma.

-Słuszna uwaga.

-A gdzie jest?

-Na warcie.

-Musiał tam spędzić sporo czasu.

-O czym ty gadasz? - Samandża usiłował zasnąć.

-Żę kiaftin Gillafsie tak dobrze się nauczył hausa.

-Spędził tyle, ile trzeba.

-Nie mówi jak biały.

-Naprawdę?

-Nie. Mówi jak my.

-Może dlatego, że się urodził w Kano.

-O! To wszystko jasne, prawda?

-Dlatego cię nie odesłał z powrotem do Chiringi, gdzie pewnie byłby z ciebie lepszy pożytek niż tu. Jeśli kiaftin Gillafsie ma jakąś zasadniczą wadę, to zbyt dobre serce.

-Dlaczego to ma być wadą, samandża?

-Bo nie musiałbym, na przykład, znosić twojego nieprzerwanego gładzenia trzy po trzy, kiedy próbuję chwilę się przespać przed gotowością.

-Co to jest gotowość?

-Przyjeżdżasz tu z samej Zarii walczyć za Kingi Dżodzi, a nie wiesz, co to jest gotowość?

-Tym, czego nie wiem, samandża, niech Bóg cię obdarzy ręką dającą bogactwo, można wypełnić książkę nawet dwa razy grubszą od Świętej Księgi. Niechaj wybaczy mi Bóg, który moje słowa włożył mi w usta i który na pewno każe mi zdać z nich sprawę. Czy pana obraziłem, samandża?

-Dlaczego tak myślisz?

-A dlaczego wciąż pan mówi do mnie jak do dziecka? Ledwie mnie pan dostrzeża, od kiedy mnie pan poznał dziś po południu. Ani razu nie spojrzął mi pan w oczy.

-Ile masz lat?

-Dość, samandża, żeby być w armii, sir! Niechaj Bóg da panu cztery żony, jeżeli pan jeszcze nie ma czterech. I czterdzieścioro dzieci, bo zdaje mi się, że jeszcze pan nie ma czterdziestu. I bogactw, żeby pana żony i dzieci żyły w przepychu.

-Niezłe z ciebie ziółko, co? Ile masz lat, farabiti?

-Podczas ostatniego ramadanu skończyłem siedemnaście.

-Ile masz lat, farabiti?

Głos Banana załamał się.

-Szesnaście, samandża. Mam szesnaście lat.

-Rzeczywiście, wyglądasz na szesnaście - powiedział samandża Damisa, obrócony plecami do Banana. A potem spytał znowu: - A naprawdę, farabiti, ile masz lat?

Przyznając się w końcu do porażki, Banan cicho, właściwie szeptem powiedział:

-Urodziłem się ósmego dnia ramadanu w roku 1348; w dniu modlitwy Dżuma.

Damisa szybko policzył. Piątek, 7 lutego 1930 roku.

Obrócił się na macie i spojrzął na Banana siedzącego w drugim kącie namiotu.

-Wychodzi na to, że masz trzynaście lat, farabiti.

-Czternaście... Już za parę miesięcy - błagalnie odezwał się Banan. Siedział na macie zgarbiony, z głową na kolanach, nogi objął rękami. - Nie powie pan

kiaftinowi, prawda? Proszę, niech mu pan nie mówi. Proszę, niech pan nikomu nie mówi. Koniec ze mną, jeśli pan powie. Odeślą mnie do domu. - Trząśł się.

- Odeślą do domu - powtarzał zrozpaczony.

-Przestań płakać, Ali - powiedział łagodnie Damisa. - To nie grzech, że ktoś chce być mężczyzną.

-Ale ja nie dlatego się zgłosiłem. - Banan był niepokieszony. - Zgłosiłem się przez Yusufu i Iddrisiego. Razem dorastaliśmy. Ich tak jak mnie wyprawiono do Zarii, kiedy byli dziećmi, i chociaż starsi o parę lat, są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Nie znam nikogo z moich braci, żadnej siostry. Jedyni bracia, jakich znam, to Yusufu i Iddrisi. Zgłosiłem się, bo oni się zgłosili.

-Nie gorszy powód niż inne - powiedział Damisa.

Ta łagodność wepchnęła Banana w jeszcze głębszą rozpacz. Teraz rozszlochał się na dobre, wymachiwał rękami.

Kiedy się już wypłakał, wykrztusił:

-Jednego dzisiaj nie powiedziałem kiaftinowi. Nie powiedziałem, że wiem, dlaczego Yusufu, Iddrisi i inni nie upomnieli się o mnie z Birmy, kiedy utknąłem w Chirindze. Podoficerowie wciąż powtarzali, że nie ma miejsca w samolotach z zaopatrzeniem, które codziennie startowały z bazy i leciały w stronę frontu. Jednego nie wiedzieli. Kiedy leżałem w szpitalu w Bombaju z tą okropną wietrzną ospą, Yusufu i Iddrisi odwiedzili mnie tuż przed wyruszeniem do Birmy. Jeszcze w Nigerii przed wyjazdem, a potem przez całą drogę do Indii wciąż powtarzali, że to chyba niedobrze, że wstąpiłem do armii. Nie dlatego, że nakłamałem, ile mam lat. Chodziło im o to, że jeszcze jestem dzieckiem. Mówili, że to źle, kiedy chłopak w moim wieku je- dzie na wojnę do Birmy.

-A nie wiedzieli, ile masz lat, kiedy prosili cię, żebyś z nimi poszedł do wojska?

Ali się zmieszał.

-Tak naprawdę, to tamtego wieczoru - powiedział - nie prosili, żebym poszedł z nimi. Właściwie to mi się roześmiali w nos, kiedy spytałem, czyja też mogą iść. Musiałem odczekać cały miesiąc, a potem sam się wybrałem do Kaduny, do punktu poborowego. Kiedy zobaczyli, że do nich dołączyłem, nie byli zachwyceni. Nawet grozili: powiedzą dowódcy, że go oszukałem, bo nie mam tylu lat. Ale wiedziałem, że tego nie zrobią. Zresztą, gdyby nawet powiedzieli, to co? Ich słowo przeciw mojemu. W końcu tego dnia, kiedy wstąpiłem do wojska, przede mną stali w kolejce poganie i tylko wzruszali ramionami, kiedy sa- mandża pisarz pytał o wiek. Mówili, że nie wiedzą, a samandża pisarz tylko mierzył ich wzrokiem i zamykał sprawę: „Wpisuję osiemnaście lat”. Albo tak opowiadał: „Mój bratanek, skończony głupek, ma osiemnaście lat; ty

jesteś taki wysoki jak on i masz więcej ciała niż ten leniwy bękart, więc ci napiszę dziewiętnaście”. Wcale nie chciałem kłamać, kiedy tam przyszedłem. Samo tak wyszło, bo słyszałem, jak samandża pisarz złości się i wrzeszczy na chłopaka przede mną; aż serce poszło mi w pięty „Co z tego, /e ci broda rośnie?! - krzychał samandża pisarz. - Mój kozioł też ma brodę! A czy to znaczy, że ma szesnaście lat?! Wróc za rok, bękartcie głupi!” Po takiej nauczce, bo biedak wyglądał na dwanaście lat i ani dnia więcej, powiedziałem samandży pisa- i zowi, że mam siedemnaście. A on mi na to, że wyglądam na szesnaście. Na co odpowiedziałem, że jego kozioł pewnie jest starszy ode mnie, bo ja jeszcze nie mam wąsów, a co dopiero mówić o brodzie. Samandża się roześmiał i nazwał bękartem, co puściłem mimo uszu; honor matki jest dla mnie święty, ale na pewno by zrozumiała, że nie po to przyszedłem na piechotę całą drogę z Zarii do Kaduny, żeby wymieniać zniewagi z facetem, który położył sobie pod nogami karabin. Kiedy samandża pisarz już się ze mnie naśmiał, zapytał o nazwisko, o wioskę, z której pochodzę, czy miałem jakieś przypadłości, czy się leczyłem i ile mam żon. Więc powiedziałem, jak się nazywam i skąd jestem. Co do ostatnich trzech pytań, to też powiedziałem prawdę: że nie mam żony i nigdy się nie leczyłem, bo mnie żadna dolegliwość nie dopadła. Stałem i patrzyłem, jak umieszcza w księdze wszystko, co mówię. W końcu tak się odezwał: „Młodsza kobieta samandży magazyniera odzieży urodziła dziś bliźniaki, więc musisz poczekać do jutra, aż samandża magazynier odzieży wróci i dobierze ci mundur. Za to jest na miejscu samandża magazynier butów. Idź do niego, niech zobaczy, jaką masz stopę”. Ale widzi pan, samandża Damisa, od dnia, w którym wstąpiłem do armii, Yusufu i Iddrisi zwrócili się przeciw mnie. A ja nie polepszyłem sprawy, kiedy ich zapytałem, co powiedzieli samandży pisarzowi, kiedy ich pytał o dolegliwość. Bo taka dolegliwość, żółta ropa z członka, sprawiła, że Yusufu i Iddrisi nie raz, ale dwa razy, i to jednego roku, biegali w męce do domu hadżiego Binty, zielarza. Rzecz jasna przynieśli tę chorobę z domu kobiety Jummai, która noc w noc brała ślub z coraz to innym mężczyzną, a czasem z dwoma, jeśli ten pierwszy próbował z nią starej sztuczki i mówił, że właśnie zapomniał portfela u fryzjera. Ale sprawę prostytutki i trypra, którego na niej łapali, poruszyłem tylko po to, żeby pokazać Yusufu i Iddrisiemu, że i ja umiem dochować tajemnicy. To im zamknęło usta, póki nie weszliśmy na ogromny statek, którym ruszyliśmy do Indii. Ledwie postawiliśmy nogę na lądzie, całe moje ciało pokryły krosty. Wtedy Yusufu i Iddrisi powiedzieli: „Widzisz? Bóg miał do wyboru tych wszystkich ludzi na statku, a kogo, jedynego, pokarał ospą wietrzną?” Odtąd się do nich nie odezwałem.

-Mówiłeś, że przyszli cię odwiedzić w szpitalu?

-Tuż przed odlotem 5. batalionu do Birmy. Przyszli odwiedzić, aleja nic, pomyślałem, niech sobie mówią. I co? Rzekomo oni i inni chłopcy z Zarii zastanawiali się razem, bo co wiele głów, to nie jedna, i uradzili, że po wyjściu ze szpitala muszą się przyznać oficerom z bombajskiego sztabu, że okłamałem wojsko w sprawie wieku. Powiedzieli, że to tylko dla mojego dobra i że tak przedstawią sprawę dowódcy naszej kompanii i każdemu, kto zechce słuchać, że się boją zarażenia ospą wietrzną. A białym oficerom powiedzą, że gdybym wrócił, to prócz choroby przyniosę całemu oddziałowi pecha; powiedzą, że wierzy w to cały oddział.

-Wyszedłeś ze szpitala i nie przyznałeś się. Dlaczego?

-Już miałem się przyznać, tylko pomyślałem sobie: skoro jestem taki dobry, że na ćwiczeniach w Kadunie zostałem najlepszym strzelcem plutonu, to mam dość lat, żeby nosić broń i bić się z Dżapani. Naprawdę byłem w plutonie strzelcem wyborowym. Bóg mi świadkiem. No dobrze - westchnął smutno, najwyraźniej pogodzony z losem - teraz mnie czeka sąd wojenny.

W słabym świetle stojącej na środku namiotu lampy sztormowej samandża Damisa przyjrzał się Bananowi.

-Chłopiec jest mężczyzną, kiedy czuje, że jest mężczyzną. Czterdziestoletni mężczyzna może wciąż być dzieckiem, jeżeli jeszcze nie postanowił być mężczyzną. Kiedy dostałem pierwszą pracę, miałem tylko czternaście lat. Co do mnie, to się nie bój o swoją tajemnicę, nie zdradzę jej.

-Niechaj Bóg ozdobi pana głowę pomyślnością - powiedział Banan, któremu znowu zaszkliły się oczy.

Wdzięczność Banan wyrażał wylewnie i górnolotnie, a już po chwili odnalazł znowu swe żywiołowe, niezmordowane ja.

-Podoficerowie z Chiringi mówili, że ten pułk jest częścią specjalnej formacji zwanej zjedz to czy tamto. W hausa na jedzenie mówi się *czy*, ale tu zaraz potem wymawia się *n*.

-Czindici - powiedział Damisa, który już zaczynał żałować złożonej przed chwilą obietnicy.

-Właśnie; wiedziałem, że to ma coś wspólnego z jedzeniem.

-To nie ma nic wspólnego z jedzeniem.

Jak na zawołanie w brzuchu Banana zaburczało.

-W torbie pod ścianą jest trochę kulikuli - powiedział Damisa, kręcąc głową. - Weź sobie.

Banan nie wierzył własnym uszom.

-Tu? W Indiach? Kulikuli? Zaprawdę, Bóg jest wielki.

Miażdżąc zębami pyszne kulki orzeszków ziemnych, wciąż

kręcił głową z podziwu i co pewien czas, zachwycony, wybuchał

śmiechem.

-Pan je przywiózł z domu, taki kawał drogi? - spytał.

-Przywiózł farabiti Dendża. To pożegnalny podarunek od matki.

-Zdziwiłby się pan, co też niektórzy chłopcy próbowali przywieźć - powiedział Banan, głośno żując i czkając. - Byliśmy w morzu, kiedy pod koją Aminu Yerwy znaleziono ponad sto funtów dawadawy, bo ludzie z tej samej kabiny zaczęli się skarżyć na straszny smród. W kabinie bez przewiewu dawadawa się popsuła, w środku już były robaki. - Gryząca woń dawadawy, przyprawy ze sfermentowanych nasion chleba świętojańskiego, może się dać we znaki, nawet kiedy jest świeża. - Dowódca zapytał, po co Aminu zabrał tyle dawadawy, na co Aminu odrzekł, że trochę chciał jej dla siebie, a resztę, już w Indiach, zamierzał w małych porcjach sprzedawać kolegom.

Damisa jęknął. Słyszał już tę historię, znał tuzin jej odmian. Lecz nie dlatego jęknął. Kulikuli, zamiast nasycić Banana i przyprawić o senność, tylko dodała Bananowemu językowi wigoru; teraz się wydawało, że Banan nigdy się nie zamknie.

-Kiedy wieczorem zjrzałem do kantyny, słyszałem mnóstwo ludzi mówiących w hausa - oznajmił Banan, kręcąc się na boki, żeby z wyraźną satysfakcją uczcić wspaniałe kulikuli głośnym puszczeniem wiatrów. - Zdawało mi się, że znowu jestem w Ka- dunie. - Najwyraźniej przymierzał się do następnej opowieści.

-Farabiti? - odezwał się Damisa.

-Tak jest, samandża.

-Czy zamykają ci się kiedyś usta?

-Tylko jak śpię. Ale nawet wtedy...

-To śpij, farabiti. Idź spać. - Damisa uniósł się i zdmuchnął lampę.

-Ale ja mówię nawet przez sen. Opowiadam o wszystkim, 0najróżniejszych rzeczach - zapewnił Banan w ciemności.

Idodał: - Dziękuję, samandża, że jest pan dla mnie taki dobry. Mam tylko dwa pytania, a potem dam panu spokój.

-Co za pytania?

-Pierwsze jest takie. W Chirindze samandżowie mówili, że czinditów wyznaczono do operacji specjalnej. Co to takiego operacja specjalna?

-Tego nikt nie wie. Na pewno będziemy w Birmie. Kiedy wylądujemy i gdzie pójdziemy, tego nikt nie wie. A drugie pytanie?

-O tę pracę, którą pan zaczął, kiedy miał pan czternaście lat.

-Czyli o co?

-Jaka to była praca?

-Nic szczególnego, zwykła praca w więzieniu.

-Był pan strażnikiem w więzieniu, kiedy miał pan czternaście lat?

-Niezupełnie strażnikiem.

-A kim?

-Pracowałem przy celach śmierci. W więzieniu w Sokoto byłem praktykantem u kata.

Banan zaśmiał się nerwowo.

-Pan mnie próbuje wystraszyć.

-Wcale nie - odrzekł Damisa. - Śpij dobrze, farabiti.

Przez resztę nocy z ust Banana nie padło ani słowo. Nawet przez sen.

Siedem następnych dni upłynęło w jakimś zamroczeniu - wyczerpujące ćwiczenia pochłaniały bez reszty. Banan co wieczór wracał do namiotu na chwiejnych nogach i natychmiast padał nieprzytomny na matę. Z każdym dniem wydawało się, że gotowość jest coraz bliżej, a ćwiczenia ciągną się coraz bardziej. W ciągu tego tygodnia Banan żadnej nocy nie spał dłużej niż trzy godziny. A żołądek Banana parokrotnie się zbuntował.

Wymioty ustały pod koniec drugiego tygodnia.

Bananowi groziły natomiast katastrofą uporczywa biegunka i fale zawrotów głowy. Pewnego ranka obejrzał się w lustrze i zobaczył, że jego twarz - od urodzenia czarna jak smoła - żółknie. Pomknął do namiotu sanitariuszy, ale w połowie drogi zmienił kierunek, bo nagle żołądek zgłosił zamiar zapaskudzenia spodni; Banan trafił na koniec bardzo długiej kolejki nie kontrolujących się już mężczyzn o pożółkłych twarzach, którzy rozpaczliwie czekali na wejście do latryny, nad dół wykopany w ziemi. Banan związał się w tej kolejce, z całej siły zaciskał pośladki, przyglądał się tym, którzy z latryny wychodzili, i u każdego dostrzegał to samo żółtawe przebarwienie.

Syn nauczyciela z Onitshy, Godiwillin Nnamdi, który z powodu jakiejś obrazy, zresztą już zapomnianej, zaciągnął się do wojska na złość ojcu, obwieścił złowróźnie, że ledwie tydzień temu dwóch indyjskich nacjonalistów przeciwnych obecności w ich kraju i Brytyjczyków, i Dżapów - gdyby musieli wybierać, woleliby już Dżapów - przyłapano na próbie zatrucia wody

w bazie. Godiwillin napisał o tym do rodziców. Na co ojciec odpisał, że przecież chciał tylko jednego, żeby Godiwillin posłuchał ojcowskiej rady, sięgnął po szkolne świadectwa i został nauczycielem, zamiast mordować ludzi. Ojciec też pisał, że Blessing, siostra Godiwillina, właśnie zdobyła uprawnienia pielęgniarki, brat został przyjęty do Seminarium Świętego Pawła w Igbariamie, a cała rodzina dzień w dzień wspomina Godiwillina w wieczornej modlitwie. Tej odpowiedzi cenzor nie przepuścił i Godiwillin nigdy jej nie

przeczytał.

Pewien Tiw, Bloken Yahimba z Gboko, przekonywał, że też coś wie o tej wodzie, lecz tylko z rysunku w latrynie; jak często bywa, snucie opowieści zaczęło się, kiedy mężczyźni ramię w ramię w kucki oddają to, co należne naturze. Pełne imię i nazwisko Blokena brzmiało Jerome „Broken Bottles” Yahimba. Jerome, bliski osiemnastych urodzin, był łysy od dziecka. Na przezwisko Broken Bottles, „Tłuczone Butelki”, zasłużył w szalonych latach szczęśliwych - między czternastym a szesnastym rokiem życia - kiedy na własnej łysej głowie tłukł czerepy butelek tylko po to, żeby się napatrzeć na przerażone twarze gapiów. Język Blokena wykazywał skłonność do podmieniania litery r na l. Na skutek tej osobliwości przedstawiał się niekiedy jako Jelome „Bloken Bottles” Yahimba. Na krótko przyłgnęło do niego imię Jelome, wołał jednak, żeby go nazywano Bloken, i do wojska zaciągnął się pod takim akurat nazwiskiem.

Haliyu Dendża, wesolek z rybackiej wioski Argungu, prze- stępowanie z nogi na nogę powodowane biegunką natychmiast zmienił w ekstatyczny taniec, który nazwał spazmem tasiemca. Dendża - na którego mówiono z angielska Danger, bo tak też wyglądała pisownia zmyślnego imienia, które w swej wiosce podał jako własne sumiennym i przemęczonym ludziom w punkcie poborowym - utrzymywał, że zna powód żółknięcia oddziału i rozstroju żołądków. Ze znajomością rzeczy oznajmił, że to przez te cztery tabletki, które każdy codziennie ma zażywać. Omieszkął jednak dodać, że wyjaśnili mu to sanitariusze, do których wybrał się po pomoc. Medycy powiedzieli, że wraz z Dendżą połowa ludzi, w tym oficerowie, cierpi na objawy uboczne zażywania mepakryny, nowego środka przeciwmalarijnego, który kazano podawać wszystkim sodża.

Pod koniec trzeciego tygodnia ciało Banana jakoś się dogadało z mepakryną; ustały zawroty głowy, bieganie do latryny i tylko od czasu do czasu Banan zderzał się ze spojrzeniem ziemistej twarzy w lusterku. Wyzbył się za to brzucha.

Nauczył się rzeczy nie takich prostych: zacierania śladów, sztuki wymykania się, pewności siebie w wodzie, przepławiania przez rzeki, umiejętności oceny terenu szeroko otwartymi oczami, operacji nocnych, operacji obronnych, operacji zakamuflowanych, inicjowania akcji w obliczu nieprzyjaciela; taktyki drużyny, plutonu i kolumny, orientacji w dżungli, patrolowania, zwiadu, czytania mapy i przygotowywania terenu do zrzutów. Wraz ze wszystkimi ludźmi z jednostki, w tym z mulnikami, nauczył się posługiwać każdą bronią używaną w jego drużynie.

Wiele zajęć prowadzili specjaliści. Najwięcej zaś nauczyli żołnierzy

oficerowie i podoficerowie, którzy spędzili parę miesięcy w Bush Warfare School; skąd wynieśli umiejętności i gdzie przygotowano ich do szkolenia innych.

Banan uczył się rzeczy, które - jak sądził - zna dobrze, na przykład należytego czyszczenia broni.

-Zanim zaczniecie czyścić karabin - mówiąc to, samandża Damisa wziął leenfielda Haliyu Dendži - musicie się zawsze upewnić, że broń nie jest nabita. Kiedy się upewnicie, że nie jest, sprawdźcie lufę. Zaczniecie czyszczenie, szukając śladów prochu lub ołowiu. Z karabinu powtarzalnego cztero-taktowego, jak tego tu chłopaka, wyjmijcie zamek. Sprawdźcie lufę, kierując wylot do światła. Patrzcie uważnie od komory nabojeowej po wylot; jeśli znajdziecie ślady rdzy albo ołowiu, przetrzyjcie lufę wyciorem. Potem przeciągnijcie szmatkę, ale wpieryw sprawdźcie, czy jest sucha. Dla pewności jeszcze raz przeciągnijcie szmatkę, a potem, na zakończenie, sięgnijcie po szmatkę lekko naoliwioną. Wyczyśćcie komorę zamkową

iczołko zamka. Rozbierzcie karabin i *przeczyśćcie* wszystkie części, szmatami i szczotkami. Na koniec - powiedział samandża - lekko pociągnijcie wszystko oliwą, dla pielęgnacji. Potem starannie złożcie razem. Wtedy, chłopcy, wasz karabin będzie jak nowy. Powtarzajcie tę operację codziennie. Nauczcie się, że to pierwsza rzecz do roboty po przebudzeniu. Po użyciu czyśćcie karabin przy pierwszej okazji; czyśćcie go zwłaszcza wtedy, kiedy przez jakiś czas nie był używany.

Żołnierze uprzejmie słuchali, starając się ukryć znudzenie. Jeżeli chodzi o czyszczenie broni, Damisa nie powiedział ani nie pokazał nic, czego by nie wiedzieli. Nawet Banan był przekonany, że ten czas spędziłby z większym pożytkiem, ćwicząc z Haliyu Dendżą spazm tasiemca.

-Wiem, co myślicie - powiedział Damisa z uśmiechem wyższości. - Uważacie, że marnujecie wasz czas, prawda? Dobrze, zobaczymy, jak to jest. - Utkwił wzrok w mężczyźnie, który kiwał się łagodnie obok Banana. - Farabiti Zololo weźmie teraz swój no. 4 mark 1 i pokaże nam, jak się czyści broń.

Zololo wybudził się z drzemki, wystąpił naprzód, zdjął karabin ze stojaka i zabrał się do czyszczenia. Bananowi zdawało się, że Zololo robi to bezbłędnie. Sam czyściłby tak samo. Czyszczenie wyglądało tak, jak pokazał Damisa, mimo to samandża nie wyglądał na zachwyconego.

-Zrób to jeszcze raz, Dogo - powiedział do Zolola, używając tym razem przezwiska. Zololo znowu rozebrał karabin, wyczyścił go, naoliwił i *złożył*. Damisa wciąż był niezadowolony.

-Co farabiti Zololo zrobił źle? - zapytał ludzi.

Wszyscy tępo wlepiali spojrzenie w Damisę, ten zaś zwrócił się do Zolola.

-Dlaczego przed czyszczeniem nie sprawdziłeś, czy broń nie jest załadowana?
-Bo wiedziałem, że nie jest załadowana - powiedział zje- żony Zololo. - Rano sam ją rozładowałem. - Zololo był kiedyś kofurem, ale po tym, jak w Katsinie pobił się z pewnym malij- skim kupcem o dług karciany, odebrano mu belki.
-Wpierw poprosiłem farabitego Zolola, bo go znam i wiem, że to pierwszorzędnny sodża - rzekł Damisa. - Podczas kampanii w Afryce Wschodniej walczyliśmy ramię w ramię. Lecz nawet dobry sodża popełnia błędy. Kiedy bierzecie do ręki broń palną - powiedział, podnosząc karabin Dendzi tak, żeby wszyscy widzieli - zawsze sprawdzajcie, czy jest nabita. Nawet jeżeli wiecie, że nie jest. Zawsze obchodźcie się z nią tak ostrożnie, jakby była załadowana. Bo jeśli to zlekceważycie, chłopcy, to pewnego dnia weźmiecie broń do czyszczenia, wiedząc, że jest rozładowana. Przypadkiem ściągniecie język spustowy, wypali nabój, o którym jakoś zapomnieliście tego ranka przy opróżnianiu magazynka, a on wam zrobi w głowie dziurę wielką jak pięść. I to już będzie wasze ostatnie czyszczenie karabinu.

Na początku następnego miesiąca, tuż po czterdziestych urodzinach Banana, do Hajlakandi zawitał człowiek zwany przez wszystkich Dżenar. Wizytę złożył wieczorem, kiedy żołnierze jedli kolację pod gołym niebem, przy pełni księżyca. Banan siedział naprzeciw samandzi Damisy i farabitego Zolola, ci zaś wspominali sławną bitwę, stoczoną w 1941 roku w Abisynii na przełęczy Babilie.

Zololo był w połowie opowieści i właśnie roztrząsał kulminacyjny moment starcia z kampanii w Afryce Wschodniej, kiedy jego wzrok utkwiał gdzieś za plecami Banana i nagle Zololo przerwał opowieść.

-Dżenar - powiedział zdumiony. - Jest z nami Dżenar.

Wszyscy odsunęli talerze. Żołnierze i oficerowie zamilkli, ogarnięci nabożnym podziwem.

Banan spojrział za siebie. Mężczyzna nie był wyższy od Banana, może trochę niższy. Wkroczył między nich powoli, raczej niezgrabnie, z rękami założonymi za plecy. Wymiętoszona bluza wyglądała, jakby w niej spał, mył się i nie ściągał jej z grzbietu od bardzo dawna. Miał brodę - gęstą, czarną i rozczochraną. Spod oliwkowego afrykańskiego hełmu tropikalnego - tkwiącego niedorzecznie na głowie w księżycową noc - spojrzenie oczu zniewalająco błękitnych, głęboko osadzonych, na pozór gorączkowo rozbieganych, co chwila nieruchomiało; zdawało się wówczas, że przewierca człowieka na wskroś, ciało i myśli. Mężczyzna wyglądał jednak na zmęczonego, szerokie plecy garbiły się, a kiedy Dżenar niespiesznie kroczył

przez pełną ludzi, pylistą polaną, zdawało się, że lada chwila przewróci się i zaśnie.

Dżenar przemówił; głos, naznaczony lekkim jękaniem, brzmiał zgrzytliwie. Od czasu do czasu przybysz unosił rękę idrapał bliznę na szyi. Wyglądała okropnie, jakby ranę niegdyś rozerwał i na nowo szył w pośpiechu ktoś, komu paskudnie trzęsły się ręce. Mimo to z ust Dżenara słowa płynęły potoczyście, pełnymi zdaniem; zdawało się nawet, że Dżenar nie potrzebuje przerw na oddech. Z widzianego przed chwilą trochę niezgrabnego, nawet niepewnego siebie mężczyzny Dżenar przemienił się w postać natchnioną. Kiedy skończył po półgodzinie - a wydawało się, że mówił dziesięć minut - zatonął w ciemnościach, jak przedtem kruchy, powłóczący nogami, a ludzie wciąż trwali pochłonięci jego wizją, pijani od jego słów.

Ludzie z drużyny D, małego pododdziału Damisy, nie kładli się spać i rozmawiali o wizycie Dżenara. Nie kwapili się na legowiska, lecz zeszli się w namiocie samandzi, tylko sześcioro, bo Godiwillin pełnił wartę, a Bloken leżał na izbie chorych z zapaleniem migdałków. Początek spotkania nie wypadł najlepiej.

Niewiele brakowało, by wieczór zatrąła kłótnia między Zo- lolem i Paszem, bliska przerodzenia się w bójkę; swarliwy nastrój udzielił się pozostałym i gniewne słowa dobiegały z każdego kąta.

Z siedzących w namiocie jedynie Zololo i Damisa widzieli już wcześniej Dżenara. Zololo tylko z daleka, w Addis Abebie, podczas defilady zwycięstwa przed cesarzem Hajle Sellasje, po wypędzeniu włoskiej armii okupacyjnej. Przemarsz otwierał Dżenar na wielkim białym koniu. Natomiast Nigeryjczyk Damisa, oddelegowany wprost do Gideon Force, służył bezpośrednio pod dowództwem Dżenara. I teraz, podczas tej wizyty, Dżenar niemal doprowadził go do łez, kiedy tuż przed wyjściem podszedł do stołu Damisy, powiedział: „Widzę, że jest tu lampart”, i ruszył dalej, podobno z ledwie dostrzegalnym uśmiechem w oczach.

Ta chwila, wielki tryumf Damisy, sprowokowała jednak późniejszą awanturę, kiedy ludzie zebrali się w namiocie samandzi.

Dzielący kwaterę z Damisą Banan i Pasz już tam byli, potem zjawili się farabiti Dendża i farabiti Guntu. Wreszcie przyszedł Zololo i pierwszy zaczął mówić o tym, co ich zbliża tego wieczoru.

-To istny cud, na Boga, co Dżenar zrobił na odchodnym - zaczął Zololo. - Pamięta pana po tylu latach. Przecież były was w Abisynii tysiące, a on wciąż pamięta samandżę Damisę.

Damisa próbował to umniejszyć; udawał, że w sumie nic się nie stało.

-Mnie ludzie zawsze pamiętają - zaśmiał się zakłopotany i palcem wskazał bok

głowy, skąd niegdyś wyrastało ucho.

-Ale on zapamiętał nie tylko pana, zapamiętał też imię, a to już coś - stanowczym tonem powiedział Zololo.

Żołnierze przytaknęli. Nie ma co, Dżenar to szlachetny pan. A samandża Damisa to chluba piechoty, tak w zachodnioafrykańskiej Frontier Force, jaki Pułku Nigeryjskim; wszyscy, którzy służyli pod jego dowództwem, poczytują to sobie za zaszczyt.

Sprzeczką zaczęła się, kiedy Zololo, przekonany, że na twarzy kofura Pasza maluje się niepewność, odezwał się do kofura po angielsku:

-Dżenar nazwał samandżę lampartem. W języku hausa damisa znaczy...

-Lampart - odrzekł Pasz, zapalając papierosa. Jego twarz wcale nie wyrażała niepewności. Pasz szukał tylko zapalniczki.

-Twój hausa poprawia się z dnia na dzień - zauważył Zololo, przechodząc znów na hausa.

-Tak samo twój joruba - zza obłoku dymu odpowiedział po angielsku Pasz.

-Teraz kofur mnie obraża - oznajmił Zololo, a jego oczy zaślnęły groźnie. - Kofur wie, że nie mówię językiem joruba.

-Rozchmurz się, Dogo. - Pasz mówił teraz w hausa i użył innego imienia Zolola. - Ja tylko żartowałem. Weź, pociągnij lucky strikea. A przy okazji, na imię mam Faszanu, nie Paszami. Fasz, nie Pasz.

-Kofurowi lepiej dziś dopisuje humor niż pamięć - powiedział Zololo. - Ja nie palę.

-A może powinienes - odrzekł Pasz. - Mam też trochę rumu, gdybyś chciał się napić.

Damisa dobrze znał Zolola i wiedział, że trzeba już wkroczyć, w przeciwnym razie wieczór się może zakończyć morderstwem. Wstał, podszedł do Pasza i poczęstował go siarczystem policzkiem.

-Na Boga - krzyknął - co się z tobą dzieje, Olu?!

-Mam już dość Dogo i wszystkich, którzy kpią z mego hausa - powiedział Pasz. Twarz piekła go od uderzenia, piekła też z gniewu. Nazywano go za plecami Kofur Jeden za Drugim, bo często mylił zwroty. Mawiał na przykład *dai dai*, co znaczy „jeden za drugim”, chociaż wydawało mu się, że mówi *daidai*, co oznacza „w porządku”. Myślał, że mówi „jesteś w porządku”, naprawdę zaś mówił „jesteś jeden za drugim”. Co było powodem nie kończącej się uciechy wszystkich z wyjątkiem samego Pasza. Bardzo nieśmiały osiemnastolatek nie umiał znieść śmieszności.

-Myślisz, że to coś rozwiąże, kiedy pobijesz się z Dogo?

-Ja wiem, że mówię hausa z akcentem - zaczął Pasz.

-Twój problem to nie akcent. Twoja gramatyka jest potworna - uprzejmie

wyjaśnił Zololo, zanim Damisa kazał mu się zamknąć.

-Wiem, że popełniam wszystkie możliwe błędy - przyznał Pasz. - Nic na to nie poradzę. To nie mój język. Nie jestem Hausa. Jestem Joruba.

-A także dobry chrześcijanin - zauważył niewinnie Zololo. Aż tak niewinnie, że i on zarobił u Damisy siarczysty policzek.

-Co w tym złego, że nazwałem człowieka chrześcijaninem?! - wrzasnął oburzony Zololo.

-W nazwaniu człowieka chrześcijaninem nie ma nic złego - zgodził się Damisa. Wiedział jednak, co Zololo mówi naprawdę: że Pasz nie jest muzułmaninem.

-Więc dlaczego pan mnie uderzył, samandza? - Zololo wydawał się ciężko pokrzywdzony.

-Bo nieładnie komuś przypominać to, co sam wie aż za dobrze - powiedział farabiti Guntu, próbując przyjść z pomocą. - To jak przypomnienie, że ja mam na imię Guntu. - Miał gromki, wysoki głos; z dumą twierdził, że kiedyś za jego pomocą pozbawił przytomności muchę, wrzasnąwszy, żeby go zostawiła w spokoju, skoro pochłonięty swoimi sprawami chce się nacieszyć owocem mango. Niegdyś Guntu jadał mnóstwo owoców mango. Pewnego roku zjadł ich tyle, że musiał zlikwidować swój stragan z mango w Birnin Kebbi. Wyprawiając się do Birmy, uciekł przed kolejkami plantatorów mango, którym wciąż był winien masę pieniędzy.

Prawdziwe imię Guntu brzmiało Dogo, czyli wysoki, chociaż Guntu był niski. Ponieważ do farabitego Zolola, który był wysoki, też się zwracano Dogo, dla uniknięcia nieporozumień postanowiono, że niski Guntu - który naprawdę nazywał się Dogo - winien nosić imię Guntu, czyli niski, natomiast dryblas Zololo winien nosić imię Dogo. Z początku dezorientowało to niskiego Dogo, ale po jakimś czasie przyzwyczał się do imienia Guntu, chociaż nosił inne. W rzeczywistości nie nazywał się też Dogo. Naprawdę miał na imię Guntu, ale zaciągając się do wojska, zmienił je na Dogo, żeby nie ścigali go ci wszyscy plantatorzy, którym wyjadł owoce mango.

-Czy szeregowy Guntu mówi, że jest coś złego w byciu chrześcijaninem? - wypytywał nadal Pasz.

-A czy Kofur Jeden za Drugim mówi, że jest coś złego w byciu niskim? - bez namysłu odpalił Guntu.

Po tym wybuchu Guntu zapadła głucha cisza. On sam, dosłyszawszy, co palnął, wytrzeszczył oczy; rozdziawione usta Guntu wyglądały jak krąg pełen przerażenia. Zaczął jąkać przeprosiny.

Pasz ich jednak nie słuchał.

-Jak mnie nazwałeś? - Przewiercił wściekłym spojrzeniem głowę Guntu.

Szukając pomocy, Guntu spojrzął na Damisę, ale samandża tylko wzruszył ramionami. Guntu westchnął boleśnie, jego ciało wyrażało teraz rezygnację. Potem utkwiał wzrok w Zololu,

z którego twarzy nie znikał uśmiezek pełen wyższości, i nagle tak wrzasnął, że wszyscy aż podskoczyli.

-To on! - wydarł się, oskarżycielsko mierząc palcem w Zo- lola. - On pierwszy nazwał kofura Kofur *Dai Dai*. Wystarczy spytać samandżę Damisę. Był przy tym.

-Samandża? - spytał Pasz. Ale Damisa nie chciał się w to mieszać.

Pasz powoli obrócił się w stronę Zolola.

-To prawda? - Spokój w głosie Pasza nie wróżył nic dobrego.

Nie wiadomo czemu w tym momencie postanowił włączyć się do awantury Dendża, siedzący koło Banana.

-A ty nawet się nie nazywasz Guntu - zauważył Dendża. - Nazywasz się Dogo.

-Skoro mówię, że się nazywam Guntu - wściekły Guntu napadł Banana przekonany, że to Banan się wtrąca - to znaczy, że się nazywam Guntu.

-Ależ ja nic nie mówiłem - zaprotestował Banan.

-Do tego nazywasz mnie kłamcą - ostro odpalił Guntu.

-Nic podobnego - powiedział Banan, wystraszony salwami śliny. - W ogóle nic nie mówiłem. Jeżeli masz ochotę na bójkę, to idź i poszukaj sobie kogoś takiego wielkiego jak ty

Tak się złożyło, że Guntu był najdrobniejszy w całym namiocie, więc uznał to oczywiście za kolejną zniewagę. Wstał.

-Trochę za dużo tych obelg jak na jeden wieczór. Jeżeli pan pozwoli, samandża, to wrócę do namiotu.

-Siadaj, Guntu - warknął Damisa.

Guntu siadł.

-Byliście tu wszyscy dziś wieczorem, kiedy Dżenar przed całym oddziałem wymienił moje nazwisko - zaczął Damisa. - Wymienił je, bo jest wspaniałym człowiekiem. Wymienił je, bo mnie zapamiętał z Abisynii. Dżenar zapamiętał nie tylko mnie, ale i tysiące Nigeryjczyków, nie wyłączając Dogo, którzy

w zaciętej wojnie z Włochami dzielnie walczyli pod jego dowództwem wraz z dwoma tysiącami ludzi. Słyszałem, że Dżenar, kiedy usiadł i zaczął planować tę wyprawę do Birmy, zażądał co najmniej jednej brygady nigeryjskiej. Jak mówią, chciał Nigeryjczyków, bo w Somalii i Abisynii sam widział, jakimi jesteśmy dzielnymi wojownikami i że się nie oszczędzamy. Nie wiem, czy to prawda, ale lubię pomyśleć, że może jest. Zauważcie: z sześciu brygad składających się na czinditów tylko jedna jedyna nie została uformowana z Anglików, Szkotów czy Amerykanów, i to jest właśnie nasza 3.

Brygada Zachodnioafrykańska, Brygada „Thunder”. Nawet Gurkhowie nie mają swojej brygady. A słyną z dzielności i biją się jak wściekli do upadłego. Drużyna D to ośmiu ludzi. Ośmiu ludzi, którzy jeszcze niedawno byli rolnikami, kupcami, rybakami, krawcami i kowalami w dalekiej krainie zwanej Nigerią. Teraz wszyscy jesteście żołdzą, którzy przyjechali bić się na wojnie króla Jerzego. Jesteście w Indiach, a jak słyszeliście dziś wieczór od Dżenara, nie minie dziesięć dni, a będziecie w Birmie. W domu, w Nigerii, w większości w ogóle się nie znaliśmy. Niektórzy poznali się podczas rejsu na statku, inni dopiero w Indiach, na miejscu. Niektórzy z nas to chrześcijanie, niektórzy muzułmanie, niektórzy czczą swoich przodków. Niektórzy z nas mówią językiem hausa, niektórzy ibo, niektórzy joruba, niektórzy tiw, niektórzy innymi językami. Mnie nie obchodzi, jakiego czcicie boga i jakim mówicie językiem; mnie nie obchodzi, czy ktoś jest wysoki czy niski, chudy czy tęgi; mnie nie obchodzi, czy ktoś umie czytać i pisać, czy wolno mu się napić czegoś mocniejszego, czy też starcza mu woda. Dla mnie liczy się tylko to, czy umiecie dobrze strzelać

ito, że wszyscy jesteście teraz braćmi. Trzymamy się razem albo razem zginieemy. Mówię o śmierci, bo wiem, że niektórzy z nas, obecni tu tego wieczoru, już nie wrócą z Birmy. To nie wróżba, po prostu taka jest wojna. Niektórzy wrócą do domu cali, nawet nie drażnięci, nawet bez swędzącej blizny. Ale chciałbym pomyśleć, że jeśli zginę w Birmie, to ktoś z was, kto tu siedzi dziś wieczorem w tym namiocie, może za pięćdziesiąt lat zbierze wnuki pod drzewem w czas pełni i powie: znałem kiedyś pewnego człowieka, walczyliśmy w Birmie w okopach, na imię miał Abdul, niczego nie owijał w bawełnę, ale był w porządku, dla mnie jak brat. Znałem kiedyś pewnego człowieka, który zginął w Birmie.

W namiocie zapadła cisza, ludzie oniemieli. Ogarnął ich dziwny nastrój; coś, co wszyscy odczuli dojmująco i z czym się zmagali - bliskość łez. Właśnie wtedy wszedł Godiwillin.

-Widzę, że słyszeliście już nowinę - powiedział głucho.

-Co za nowinę, Will? - pytali ludzie.

Do Godiwillina zwracano się Will nie dlatego, że miał na imię William, ale dlatego, że imię Godiwillin było za długie, nie chcieli zaś zwracać się do niego God, jak do Boga, bo to przysługuje tylko Wszzechmogącemu.

-Nie wiecie? Dżenar nie żyje - powiedział. - Jego samolot rozbił się niecałe dwadzieścia minut po tym, jak Dżenar się z nami pożegnał. Przed chwilą powiedział mi to kapitan Gillespie.

Dwusilnikowy bombowiec Mitchell B-25 z dziewięcioma ludźmi na pokładzie wbił się w górskie zbocze koło Bisznupuru przy granicy

birmańskiej, roztrzaskał się doszczętnie, wszyscy zginęli na miejscu.

Aberdeen

Nocą, parę dni po śmierci Dženara, doliny Hajlakandi zanosły się hukiem. Jedna za drugą z ogłuszającym rykiem lądowały dwusilnikowe maszyny, do których weszło kolejno osiemnastu oficerów, trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi niższej rangi, ponadto piętnaście kuców, siedemdziesiąt mułów i osiemnaście wołów.

Parę godzin wcześniej kiaftin Gillafsie zebrał wszystkie drużyny swego plutonu.

-Słyszę, że jesteście partyzantami - powiedział w hau- sa. - Mówią tak nawet czindici. Powinni wiedzieć coś więcej. Jesteście partyzantami w takim sensie, że działamy w małych grupach i nauczono nas, jak uderzać znienacka, a potem znikać bez śladu, jeśli trzeba. Ale to nieporozumienie uważać się za partyzantów. Nie jesteście partyzantami. Jesteśmy, jak mówił zmarły dżenar Wingate, grupą głębokiej penetracji. Brigadije Calvert, dowódca bratniej 77. Brygady „Emphasis”, który ściśle współpracował z dżenarem Wingateem w planowaniu tej kampanii, znalazł najlepsze określenie tego, kim jesteście. Jak powiedział brigadije, osiem kolumn Brygady „Emphasis” i sześć kolumn „Thunder” - 3. Brygady Zachodnioafrykańskiej - oraz pozostałe brygady czinditów, „Galahad”, „Enterprise”, „Profound” i „Javelin”, nie mówiąc o siłach pomocniczych, będą oddzielnie penetrować najrozmaitsze tereny, jak palce jednej ręki rozcapierzone na wszystkie strony, żeby się potem skoncentrować i uspiwszy czujność nieprzyjaciela, zacisnąć na jego gardle jak szpony, albo uderzyć jak pięść w jakiś ważny cel: most czy skład amunicji. Innymi słowy, my, chłopcy z „Thunder a”, maszerujemy oddzielnie, lecz walczymy ramię w ramię.

Żołnierze zaczęli skakać i wiwatować, raz po raz krzycząc: „«Thunder»!, «Thunder»!, «Thunder»!” Kiedy już się rozeszli do namiotów, żeby dokończyć pakowanie, zniknęło targające nimi dotychczas napięcie. Poczuli się odurzeni jasnością zamiarów, a to dodało sprężystości ich krokom.

Urużynę D wyznaczono do ostatniego rzutu.

W dakocie było ciemno. Kadłub śmierdział skórą i płynem hydraulicznym. Ryknęły silniki, wpierv jeden, potem obydwa, wkrótce światła pasa startowego zlały się w smugę koloru miedzi, ginącą w tyle wraz z gwałtownym przyśpieszaniem samolotu, który glucho stęknął, a potem zaczął się stromo wzbijać, ostro szarpnąwszy, przez co Banan spadł z siedziska. Uderzył głową w coś twardego, co okazało się kostką farabitego Zolola. Zamroczony, dopełznął na swoje miejsce i zacisnął dłonie na metalowym

uchwycie.

-Samandża! - krzyknął w hausa, starając się, żeby to zabrzmiało spokojnie. - Jak się nazywa to miejsce w Birmie, dokąd lecimy?!

Z ciemności dobiegł głos kiaftina.

-Nazywa się White City! - odkrzyknął Gillaftsie. - Lecimy do White City!

Farin Birni, powtórzył po cichu Banan, Białe Miasto.

Sądząc po głosie, nawet kiaftin był podniecony.

To było przedwczoraj, zaledwie przedwczoraj, tymczasem Alemu Bananowi, zmagającemu się z podejściem pod kolejne wzgórze, zdawało się, że dawno, bardzo dawno temu. W świetle księżyca majaczył przed nim Dendża. Uginał się pod ciężarem ekwipunku. Co pewien czas podciągał ładunek, ale po paru minutach wszystko zsuwało mu się po plecach.

Czy wyżej, na krętej ścieżce, ukradkiem sięga do bukłaka Will czy Bloken, chociaż podczas marszu nie wolno pić wody pod żadnym pozorem? Nikt nie ma pojęcia dlaczego. Jedni mówią, że to źle wpływa na żołądek, inni - że na wytrzymałość. No tak, to Godiwillin podpił z bukłaka.

Spojrząwszy jeszcze raz, Banan pomyślał, że nie. To nie Will. I to nie mógł być Bloken. Gdzieś w zakamarku świadomości błąkało się przypomnienie, że mozolnie maszerujący Banan minął Blokena, może godzinę temu. Bloken upadł pod drzewem; twarz rozciągnął mu grymas bólu i zmęczenia. Banan zatrzymał się, a po chwili, jak ci żołnierze idący rzędem przed nim i za nim, bezgłośnie pomaszerował dalej. Bloken upadł i nikt dla niego nie mógł nic zrobić. Bloken mógł się ratować tylko sam.

Za Bananem dyszał Zololo, który wcześniej poddał się i osunął na skałę, ale potem zebrał siły, ruszył i już dogonił oddział, wcale głośno przeklinając tych „Thik Hai” którzy nadawali tempo na czele. Chodziło o Gurkhów. *Thik hai* w języku hindi zapożyczonym przez nepalskich Gurkhów znaczyło „w porząd-

ku” i właśnie tak nieodmiennie brzmiała odpowiedź Gurkhów w każdej sytuacji oraz na każde pytanie, z jakim się do nich zwracano. Nigeryjczycy zaczęli zatem samych Gurkhów nazywać Tliik Hai. Drobne ciała tych ludzi - byli nisey i szczupli - kryły się dzikiego bawołu wodnego. Maszerowali wielkimi, energicznymi krokami, a jeśli człowiek był na tyle blisko, żeby się przyjrzeć ich stopom, wydawało się, że jedna już rzuca się do przodu, zanim druga zdąży dotknąć ziemi. Zresztą niewielu piechurom udawało się zbliżyć do Gurkhów na tyle, żeby się przyjrzeć, jak maszerują. Oni zaś mogli iść tak przez cały dzień, w ogóle nie opadając z sił i nie zatrzymując się ani na chwilę

dla wyrównania oddechu.

Wzrastała odległość między ostatnim żołnierzem w sznurze maszerujących a paroma, którzy padli śmiertelnie wyczerpani i nie mogli bądź nie chcieli iść dalej. Maruderów zostawiano samym sobie. Nie mieli prawa się skarżyć; wiadomo było - co wielokrotnie powtarzano przez miesiące ćwiczeń - że podczas marszu każdy jest zdany na siebie. Gdyby żołnierza, który upadł, poniosł inny żołnierz - z trudem już trzymający się na nogach - straty byłyby większe. Po zeszłorocznej, pierwszej wyprawie czinditów wiadomo było, że ludzie, którzy upadli i nie mogli iść dalej, często ginęli nie z wyczerpania czy głodu, lecz z rąk japońskich patroli. A chociaż kolumna jeszcze nie natknęła się na Japów, maszerujący wiedzieli, że w okolicy aż się od nich roi. Skały i doliny Haungton, które przemierzali, leżały trzysta dwadzieścia kilometrów za birmańską linią frontu i w japońskim władaniu była tu każda piędź ziemi. Ta wiedza dodawała żołnierzom bodźca, chociaż ciała miały już dość. Strach przed tym, co mogą z nimi zrobić Japy, sprawiał, że chociaż ludzie padali, to wstawali, strach przekonywał, że trzeba się podnieść i nawet pełznąć, byle dołączyć do oddziału.

Ogień, który wcześniej przeraził Banana i niemal skłonił do ucieczki, już przestał kogokolwiek niepokoić. Wcale nie był ogniem, lecz milionami świetlików zlewających się w ogromny płomień, który dawno przygasł. Mimo to lęk nie opuścił Banana. Farabiti zapomniał już o podnieceniu, które go ogarnęło ledwie przed dwoma dniami. Tamto uczucie zniknęło; zastąpił je tępy, niemal obezwładniający strach.

iało być inaczej. Wiedzieli, że po wylądowaniu w Birmie czeka ich marsz, lecz tego akurat marszu nie było w planie. Wymusiły go wydarzenia.

Lot z Hajlakandi upływał gładko. Tak się zdawało, jeszcze gdy samolot obniżył pułap i wszedł w chmury. W dole pojawiły się pola ryżowe, wkrótce też rzeka: kiaftin Gillafsie rozpoznał Czinduin.

-Mocno się trzymać, chłopaki - powiedział. - Podchodzimy do lądowania. Zaraz będzie White City.

Kiaftin przedwcześnie zapowiedział White City, za to na czas poradził, żeby się mocno trzymać. W chwilę potem, zaledwie kilometr przed pasem, dakota zniecka zadarła nos i zaczęła się wzbijać. Widocznie Gillafsie nie uszanował własnej rady, bo wraz z paroma plecakami przetoczył się przez całą długość kadłuba. Samolot wzniósł się o kilometr, potem zmienił kurs i równie nagle zaczął schodzić ku ziemi. Po dziesięciu minutach wylądowali na prowizorycznym lądowisku w dolinie zamkniętej przez *TAUNGIY* pradawne wzgórza wyglądające, jakby spadły wprost z nieba i roztrzaskały się na

krawędziach innych wzgórz. Ponad doliną, po obu stronach ogromnej rozpadliny, wzgórze tak się piętrzyły, kończyły takimi urwiskami, jakby się niemal stykały. Wznosiły się nad doliną niczym na wpół rozsunięty ruchomy dach.

Zdawało się, że pobocza pasa startowego to cmentarzysko samolotów i szybowców. Wszędzie widać było albo C-47, ma-

szyny jak ta, z której się wysypywali, z nosami wetkniętymi między skały i sterczącymi ogonami, albo szybowce, które tak gruchnęły o ziemię, że pozapadały się do środka, zanim resztki pofrunęły na wszystkie strony.

Jakaś postać majacząca w ciemności warknęła do Blokena:

-Plazma?

-Nie, sir - brzmiała odpowiedź. - Bloken Jahimba, postrach Japów.

-Gdzie jesteście? - spytał podoficer Jamees Show, Brytyjczyk.

-W Aberdeen - odburknął ten w mroku.

-Co za plazma? - spytał samandża Show, ale mężczyzna odszedł.

-Plazma? Przywieźliście plazmę? - wypytywał załogę.

-Jemu chodzi o krew - Show wytłumaczył Blokenowi. - To medyk.

Kiaftin Gillafsie wyjaśnił drużynie, że wylądowali w Aberdeen, ponieważ tej nocy, tuż przed ich podejściem do lądowania, Japończycy ciężko zbombardowali White City. Dlatego sześć dakot z ludźmi z ich kolumny przekierowano do Aberdeen. Wszyscy tu spędzą noc, a bladym świtem ruszą do White City.

Nikt, nawet samandża Damisa, nie palił się, żeby zapytać, ile ich czeka marszu. Gillafsie jednak wiedział, jak dręczy ich niepewność.

-To tylko siedemnaście mil - powiedział.

Kiedy kiaftin był już daleko, samandża Show zaśmiał się ponuro.

-Tylko siedemnaście mil - powiedział do Banana. - Z tym, że po drodze jest drobny problem, drobna góra problemów.

Samandża Show dołączył do nich tuż przed odlotem z Indii; w Hajlakandi wysiadł z samolotu lecącego prosto z Nigerii, gdzie służył jako sierżant sztabowy, więc starszy rangą od sierżanta. Tak go ciągnęło do Cyrku Wingatea, że po ogłoszeniu ochotniczego naboru dla sierżantów zgodził się na obniżenie stopnia, byle trafić na listę.

-Że być drobny? Co drobny? - spytał stojący w oddali samandża Damisa. - Farabiti Ali nie mówić angielski. Cały nic nie rozumieć.

-Nie rozumiesz? - spytał Show.

-Mało-mało - odparł Banan. Rozumiał brytyjskiego samandżę. Po prostu

Banan jeszcze nie umiał po angielsku mówić. A teraz był zajęty wcale dokładnym tłumaczeniem sobie na hausa tego, co powiedział sierżant; niemniej nie mógł się połapać w czym rzecz.

-Chyba strugacie ze mnie wariata - powiedział samandża Show w barikanczi, łamanym hausa używanym w wojsku, i odszedł do swojej drużyny.

Godiwillin nie znał tak dobrze hausa jak Bloken, który teraz przykucnął obok i zmagął się z ekwipunkiem.

-Co takiego sierżant powiedział Bananowi? - spytał Godiwillin.

-Chyba mówił o problemie po drodze. - Bloken niezbyt uważnie przysłuchał się rozmowie.

-Co to za problem? - pytał zaniepokojony Godiwillin.

-Nie wiem - odrzekł Bloken - ale jest na jakiejś górze.

-Nie pora na żarty - odpalił Godiwillin.

-Ależ Will, ja nie żartuję. - Głos Blokena brzmiał poważnie. - Powtarzam, co usłyszałem.

Bloken odwrócił się, żeby coś dopowiedzieć, ale Godiwillin już odszedł; stał teraz przy Zololu i kiwał głową na znak, że rozumie.

-Co mówi Dogo? - spytał Bloken, kiedy Godiwillin wrócił po rzeczy.

-Radzi się wyspać, bo się zanosi na taki marsz, że „matka kobiety, która sprzedaje swoje ciało”.

Aberdeen było bazą „Enterprise”, jednej bratnich brygad. Kiedy znaleźli się w środku, za zasiekami, każdy rzucił się śpiesznie szukać kawałka okopu na legowisko. Paru sięgnęło po saperki; ci okopywali się sami do snu. Paru śmiałków, zbyt zmęczonych, żeby kopać, znalazło schronienie we wrakach dakot.

obudkę zarządzono o czwartej. Tuż po śniadaniu byli już w drodze, eskortowani przez czterech Gurkhów, którzy też się musieli dostać do White City, oraz trzech Karenów, zwiadowców urodzonych tu, w górach Birmy.

Tokio

Z początku szło im się łatwo. Żołnierze niespiesznie przemaszzerowali przez wioskę, gdzie nad strumieniem spłoszyli gromadkę myjących się dziewcząt. Uśmiechały się speszone, lecz kiedy żołnierze odpowiedzieli uśmiechami, rozbiegły się i ukryły na polach ryżowych.

Przystanęli nad tym strumieniem, żeby napęłnić bukłaki. Zapowiedziano im, że pod żadnym pozorem nie wolno pić ze strumieni, zanim oficer - najlepiej sanitarny - sprawdzi, czy woda jest zdatna do picia. Ponieważ w oddziale nie było oficera sanitarnego, bukłak napęłnił samandża Show. Miał

czterdzieści lat, był najstarszy w oddziale.

U wodopoju w dole strumienia piło stado bawołów.

-Jeśli ta woda nadaje się dla nich, pewnie nada się i dla nas. - W wywodzie samandzi Showa uderzający był zdrowy rozsądek.

Przeszli przez następną wioskę, ta jednak - nie licząc wałęsających się psów, wyraźnie skorych pociągnać za oddziałem - wydawała się nienaturalnie spokojna; z tekowych i bambusowych chat nie dobiegał żaden odgłos. Potem, po dziesięciomilutowym odpoczynku na picie, natrafili na kolejną opuszczoną wioskę; jedynym mieszkańcem okazał się Budda w pozłacanej pagodzie. Przez oddział przemknęła plotka, że Karenowie - idący na czele kolumny wraz z Gurkhami, nazywani też *bur-rifs*, delegowano ich bowiem z pułku Burma Rifles - uznali opuszczoną wioskę za bezsporny dowód, że niedawno byli tu

Japończycy i że wciąż mogą krążyć po okolicy. Przede wszystkim ta plotka sprawiła, że oddział zaczął się stopniowo rwać. Po pojawieniu się pogłoski za każdym krzakiem i każdą skałą mógł czyhać japoński snajper, a byle odgłos zaczynał uchodzić za strzał do kogoś z ludzi. Psychoza była zaraźliwa. Wkrótce nawet przybłąkane psy powarkiwały płochliwie, ilekroć ludzie spoglądali ku nim, licząc na ostrzeżenie. W końcu, kiedy równina ustąpiła miejsca stromym wzgórzom, a słońce brutalnie pokazało, na co je stać, psy po prostu przystały i smętnie gapiąc się na ludzi, pozwoliły im odejść.

Banan przywykł do słońca tak palącego, że nawet ziemia, po której człowiek stąpa, piecze stopy jak tłący się węgiel. Lecz tutaj żar z nieba był niepodobny do żaru w rodzinnych stronach Banana. To nie tylko był żar. Tutaj dopadało człowieka zupełne odwodnienie. Banan przemierzał las tak gęsty, jakiego nie widział nigdy w życiu, mimo to w pobliżu nie drgnął, nie zaszleścił żaden liść. Powietrza nie poruszał najłżejszy powiew.

Nie pomagał też ładunek, który każdy dźwigał na plecach. Prócz bukłaka z pół galonem wody w chlebaku zawieszonym u pasa obok dwóch sakw z granatami i magazynkiem do brena Banan dźwigał jeszcze wzmocniony stelażem plecak „Himalayan”, a niósł w nim zapasową bluzę, zapasową parę spodni w barwach ochronnych, parę miękkich butów na gumie, cztery pary skarpetek, trzy pary zapasowych sznurówek, podkoszulek, sweter, dwulitrową manierkę z wodą, mały ręcznik, kawałek mydła, szczotkę do zębów, cążki do paznokci, maskę gazową, płachtę brezentową, koc, menażkę, nóż, widelec i łyżkę, kubek, tabletki do dezynfekcji wody, opatrunek i plaster, komplet do szycia, wodoszczelny portfel na listy, flakon mepakryny, trochę kremu przeciw moskitom, moskitierę, sakwę z żelazną racją na pięć dni i dwie pomarańczowe chusty z mapą Birmy wydrukowaną po obu stronach, które

należało założyć na głowę, by ułatwić identyfikację własnym samolotom. Ponadto żołnierz niósł karabin, pięćdziesiąt nabojów, bagnet, *kukri* lub maczetę w pochwie, linę wspinaczkową, saperkę i składany nóż. Oficerowie i podoficerowie Brytyjczycy nosili jeszcze zegarek, kompas pryzmatyczny, lornetkę, latarkę i mapy, a także ołówki i notatniki. Wszyscy otrzymali też po dwadzieścia pięć rupii srebrem, do wykorzystania wyłącznie w sytuacji krytycznej. W sumie każdy żołnierz dźwigał plecak ważący ponad trzydzieści kilogramów.

Z nadejściem zmierzchu, kiedy zmęczenie zaczęło się dawać we znaki, padł rozkaz postoju. Oficerowie wybrali miejsce położone na tyle wysoko, żeby móc dostrzec napastników podkradających się z dowolnej strony, na tyle zaś nisko, żeby nie zwróciło uwagi przelatującego japońskiego bombowca. Kolumna miała tu na noc rozłożyć biwak.

Przez parę minut wszyscy leżeli na wznak na trawie jak nieżywi i rozkoszowali się wieczornym podmuchem, bo po zachodzie powiało. Pili z bukłaków, potem siadali, by zająć się czymś okropnym, lecz nieodzownym: zjedzeniem kolacji. Prowiant połowy typu K, znany częściej jako „racja K”, składał się z trzech porcji w jednym opakowaniu i był wynalazkiem amerykańskim; posiłek skomponowano dla oddziałów w sytuacji krytycznej, kiedy nie sposób zapewnić ludziom wyżywienia. Składał się z batonu owocowego, puszki mięsa i paczki biszkoptów, przy czym wszystko to, posklejane, przypominało pulpę papierniczą, a smakowało jak kocia karma; uzupełnienie stanowiła racja rafinowanego cukru gronowego, którego smak niewiele miał wspólnego z cukrem bądź gronami i wzniewał w żołądku taką rewolucję, że wzbraniały się go zreć nawet muły, ponadto paczka oranżady w proszku tak przesyconej kwasem, że lepiej nadawała się do zmywania podłóg niż do picia. Jedynie dodawana do porcji kolacyjnej paczka czterech papierosów - cameli, lucky strikeów lub chesterfieldów, uchodzących za coś lepszego niż papierosy dostarczane przez armię

brytyjską i wysoko cenione wśród sodza - nadawała jakiś sens mękom spożywania „racji K”

Tej nocy obowiązywało jednak zaciemnienie, a tym samym zakaz palenia.

Po kolacji przygotowali kwadratowe obozowisko, z ulokowanym pośrodku sztabem, łącznościowcami, saperami, oficerami i różnymi specjalistami nie biorącymi udziału w walce. Każdy żołnierz okopał się do snu, z każdej grupy wyznaczono wartowników i rozstawiono na flankach. Ludzie osunęli się do okopów, wiedząc, że przeszli tego dnia dziesięć mil, zostało więc tylko siedem.

Większość przespała całą noc, bo zmęczenie wzięło górę nad lękiem, i

śniła, że tak już będzie do końca marszu. Banana budził natomiast nawet najłżejszy odgłos. Snu z powiek nie spędzał mu lęk, lecz czysta niesamowitość tego, że w końcu znalazł się w Birmie, żeby się bić za Kingi Dżodzi. Podczas jednego z postojów zastanawiał się na głos, jakie są szanse, żeby prędzej czy później spotkać przyjaciół z dzieciństwa, Yusufu i Idris-siego, którzy też są gdzieś w Birmie. Damisa przekonał jednak Banana, że to wprawdzie możliwe, ale mało prawdopodobne. Samandża sięgnął po jedną z pomarańczowych chust z mapą i pokazał dlaczego.

-Tu jest White City - powiedział - dwieście mil za liniami japońskimi, tymczasem 6. Brygada znajduje się na tym garbie, w obrębie linii brytyjskich, rzecz jasna po tamtej stronie Japończyków. Granicę między liniami stanowi Czinduin, o tu, rzeka, nad którą przelatywaliśmy wczoraj w nocy. Żeby Yusufu i Iddrisi mogli cię odnaleźć, najpierw musieliby się przepawić przez Czinduin, który wypływa na północ z tych gór, blisko stąd. Czinduin to potężna rzeka. Płyne na północny zachód doliną Hukawng, pełną tygrysów i dzikich słoni, potem zawraca na południe wzdłuż granicy z Indiami, a w Górnej Birmie wpada do wielkiej rzeki Irawadi. Twoi przyjaciele po przepawie przez Czinduin, gdzie rzeka stanowi granicę z Indiami, o tu, musieliby się jeszcze przedrzeć przez linie japońskie, nie lada wyczyn, a potem raz-dwa, bo po kilkuset milach marszu, byłiby już w White City. To po prostu niemożliwe, Ali. Nieprędko zobaczysz swoich przyjaciół

M!oże dlatego, że osłabły ciała, może dlatego, że z nieba lał się żar jeszcze gorszy, przemaszerowanie nazajutrz pierwszej mili zajęło ludziom bite dwie godziny. Po drodze napotkali więcej opuszczonych wiosek. Kolejna sfera błakających się psów przyłgnęła do nich, by później ich porzucić. Podejścia stawały się coraz bardziej strome. Chociaż indyjskie wzgórza i doliny, gdzie odbywali ćwiczenia, przypominały tę okolicę, zdawało się, że ćwiczenia przyniosły niewiele pożytku. A może wiele. Może pierwszy żołnierz, który upadł tuż po południu, upadłby znacznie wcześniej.

Rzecz jasna pomocą mogło być parę dodatkowych przystanków i dłuższe chwile wytchnienia. Byłoby lepiej, gdyby kiaftin Gillafsie, jak wczoraj, zarządził godzinną przerwę na lunch, zamiast ją skrócić do dwudziestu minut.

-Coś wisi w powietrzu - zapewniał Pasz, otwierając opakowanie z lunchem. - Skoro kapitan tak mówi, to coś wisi w powietrzu.

-Ale co? - spytał Zololo.

-W moim miasteczku mamy takie porzekadło - powiedział Pasz z pełnymi ustami. - Człowiek nie wchodzi bez powodu w ciernie: albo poluje na węża, albo wąż na niego.

-Zabawne - rzekł Zololo. - W moim miasteczku mamy to samo porzekadło. Chociaż trochę inne. Mówimy: człowiek nie biega bez powodu nago: albo poluje na węża, albo wąż na niego.

-Może w obu waszych miasteczkach załęgły się węże - zadumał się Banan.

-Może obaj gonili tego samego węża - powiedział Damisa i podniósł się. - Koniec lunchu. Wstajemy i w drogę.

-Nawet nie zaczęliśmy - poskarżył się Guntu.

-No cóż - powiedział Pasz - znacie tę historię o głodnym chłopcu?

-Która? - spytał Dendża.

-Ojciec i syn wędrują przez dżunglę - powiedział Pasz. - Taką jak ta. Syn mówi do ojca: „Jestem głodny, tato!” „Coś podobnego?!”, wykrzykuje ojciec...

-...,Przecież jadłeś przedwczoraj!” - dokończył za niego Banan.

Pasz z udawanym zdziwieniem spojrzał na Banana.

-Nie mów, że też pochodzisz z mojego miasteczka. - Wyszczrzył zęby.

-Chyba nie - odrzekł zakłopotany Banan. - W Zarii wszyscy się znają. Zapamiętałbym twoją twarz, gdybym cię spotkał.

-Może to twój dawno zaginiony brat? - powiedział Dendża.

-Chyba nie - odrzekł Banan.

-Gdzie jest twój dawno zaginiony brat? - spytał Zololo.

-Nie wiem. - Głos Banana brzmiał żałośliwie.

-A skąd znasz koniec historii Olu? - spytał Guntu.

-Bo mi ją opowiedział godzinę temu, kiedy się poskarżyłem, że jestem głodny.

-Nie wiedziałem, że masz brata i że ten brat zaginął - powiedział Damisa.

-Ja też nie wiedziałem - odrzekł Banan, jeszcze bardziej zmieszany.

Zdezorientowany Damisa patrzył spod przymrużonych powiek.

-Kpisz sobie? - spytał.

-Dlaczego miałbym kpić, samandża? Z czegoś takiego? -

Banan zastanawiał się, co się stało, że teraz wszyscy się z niego śmieją. Śmiali się tak od paru dni, on zaś nie mógł dociec, dlaczego nagle stał się taki śmieszny. Parę dni temu, wieczorem, jeszcze w Hajlakandi, Bloken opowiadał historię o człowieku, który zgubił w domu obrączkę. Bez powodzenia szukał przez pewien czas w domu, potem wyszedł na zewnątrz, by szukać dalej. Sąsiad zapytał go, co zgubił.

-Obrączkę.

-Gdzie ją zgubiłeś? - wypytuje sąsiad.

-W domu.

-To dlaczego szukasz na dworze? - pyta sąsiad.

-Bo tu jest jaśniej.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, czym Banan się zdziwił. Czekał

niecierpliwie, aż śmiech ucichnie, wreszcie zapytał Blokena:

-I co dalej?

-Że co dalej? O co ci chodzi? - odrzekł Bloken.

-Czy obrączka tam była? Znalazł ją przed domem?

Banana zupełnie zbił z tropu jeszcze większy wybuch śmiechu. A pytał tylko dlatego, że i jemu zdarzyło się zgubić obrączkę ważnego klienta, kiedy Banan uczył się kowalstwa. Historia Zo- lola sprawiła, że się zastanowił: może trzeba było szukać gdzieś na zewnątrz, zamiast spędzić całe popołudnie na przetrząsaniu podwórka, gdzie zgubił tę obrączkę. Może dzięki temu byłby teraz wciąż w domu, już nie jako uczeń, lecz dobrze płatny pracownik patrona, bo prawdę mówiąc - uznał teraz Banan - patron mimo wszystko nie był taki zły. Gdyby Banan nie zgubił wtedy obrączki, może nie byłby tutaj, może by nie trafił do tego dziwnego kraju pełnego ludzi pragnących go zabić.

-Czemu się wszyscy śmiejecie? - pytał Banan podczas marszu. Zwrócił się do Damisy. - Samandza, dlaczego oni się śmieją?

Damisa obdarzył go zatroskanym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Zauważył u Banana stopniową zmianę w ciągu paru ostatnich tygodni. Zniknął wyniosły młody człowiek, który kocha brzmienie własnego głosu podczas rozwlekłych tyrad. Banan pozbył się maski mądrali i przedzierzgnął w niewinnego siedmiolatka. Co zauważyli też inni, i chcąc nie chcąc, obrali sobie Banana za cel żartów.

Tymczasem Damisa miał na głowie ważniejsze sprawy. Oparł się pokusie i zataił przed Paszem, że - istotnie - polują na węża, a może wąż na nich. Dlatego nie zatrzymywali się, żeby odsapnąć i ugasić pragnienie. I dlatego tak krótko trwała przerwa na lunch.

Tego ranka tuż po pobudce, a przed śniadaniem, kiaftin Gillafsie nawiązał kontakt radiowy z dowództwem w Indiach. W górzystej okolicy sygnał zanikał, lecz w końcu Gillafsiemu udało się poskładać strzępy wiadomości. Dowiedział się, że ataki na White City, przez które nie wylądowali w tej bazie, trwały całą noc; zostały zresztą odparte. Może zaczęło się oblężenie. Ważniejsza była jednak inna sprawa. Gillafsiego poruszyła wiadomość z dowództwa o przechwyconych japońskich rozkazach dotyczących ruchów wojsk: jeśli Gillafsie i jego ludzie dotrą do Maulu przed zmierzchem, będą mieli świetną okazję przywitać ogniem konwój japońskich ciężarówek, które między północą a wpół do czwartej rano powinny się zjawić na drodze. Wioska Maulu leżała dwa kilometry na południe od White City. Gillafsiego zarazem poważnie zaniepokoił meldunek zwiadowców z Aberdeen, Karenów, którzy dostrzegli japoński pluton w pobliżu jednej z wiosek, przez które przeszedł Gillafsie ze swymi ludźmi. Było wielce prawdopodobne, że Japy

wpadły na ich ślad.

Gillafsie miał przed sobą trudny wybór: bądź trzymać się obranej już drogi, dzięki czemu znaleźliby się w Maulu dobrze przed zmierzchem i miałiby czas zorganizować zasadzkę, bądź wrócić po własnych śladach i sprawić niespodziankę tropiącym ich Japom. A może dalej iść do White City, lecz inną drogą, zapewne bezpieczniejszą, lecz dłuższą? Ta dłuższa była dłuższa tylko trochę, lecz nierównie trudniejsza. Biegła mniej więcej

o trzy kilometry na wschód od szlaku, którym szli, równoległe do niego. Podczas operacji Longcloth, poprzedniego wypadu czinditów na głębokie tyły wroga, tamta trasa ocaliła życie wielu ludziom, kiedy Japończycy deptali im po piętach. Sama zebrała jednak śmiertelne żniwo. Wielu, którzy szukali schronienia przed Japończykami, padło ofiarą skalistego labiryntu w zdradzieckiej dżungli.

Gillafsie naradził się z dowódcami grup. Kareńscy zwiadowcy byli za marszem dotychczasową trasą. Wywodzili, że jeśli oddział ma za plecami Japów, to przecież ich wyprzedza co najmniej o pół dnia i chociaż Japy słyną z wytrzymałości, chociaż

o ich wyczynach krążą legendy, to żar, który dobija czinditów, Japończyków też nie oszczędzi. Trzeba przyznać, że Japy dobrze się biją w dżungli, ale też warto wiedzieć, że dżungla usłana jest ich kośćmi. Z Karenami zgodzili się Gurkhowie, chcieli jednak przyśpieszyć marsz. Samandża Show, także dowódca drużyny, chciał, żeby ludziom wyjaśnić sytuację. Wyczuwał, że to ich może zmobilizować. Zawsze jednak istniała jakaś rywalizacja między podoficerami brytyjskimi a ich nigeryjskimi odpowiednikami, ci ostatni zaś sądzili - rzecz jasna - że ludziom lepiej nic nie mówić. Przedkładali rozsądny powód. Większość ludzi jeszcze się nie sprawdziła w bitwie, a póki człowiek nie przejdzie próby ognia, to nikt, nawet on sam, nie zdoła przewidzieć, czy strach pomoże mu ratować życie, czy - przeciwnie - przeszkodzi. Wiadomość, że Japończycy deptają oddziałowi po piętach, może żołnierzy zmobilizować, to jasne, lecz może też wywołać panikę.

-Bzdury - powiedział Show. - Byłem cztery lata w Nigerii. Znam tych ludzi jak siebie samego.

Kiaftin Gillafsie, który pierwszych siedem lat życia spędził w Nigerii, a następnych dziewiętnaście różnie, to tu, to tam, nic nie powiedział.

Gillafsie postanowił, że będą się trzymać wybranego szlaku, że należy zmniejszyć liczbę odпочыnków i że żołnierzom nie ujawni się nowin. Na wszelki wypadek wysłał z powrotem zwiadowcę, żeby wciąż mieć na oku trasę, którą już pokonali.

Przerwa i lunch posłużyły ludziom. Wydawali się rześcy jak w chwili wymarszu z Aberdeen, dżungla zaś utraciła moc wzbudzania trwogi. Już nie widzieli za każdym drzewem tekowym snajpera, a kiedy potężny konar odłamał się nagle od pnia, nawet nie mrugnęli.

Jeden z ludzi nawet zaczął pogwizdywać, więc kazano mu się zamknąć. Gwizdał pamiętny wrzask Tarzana z filmów *Człowiek małpa* i *Miłość Tarzana*, które oglądał w kinie Rex w Kano, w swojej dzielnicy Sabon Gari, tuż przy bazarze.

-Grali je w *majigi* - tęsknie powiedział Dendża.

-Pierwszy czy drugi? - spytał Guntu.

-Oba. Ja wolę drugi. Pierwszy jest nudny - oświadczył Zo- lolo z miną znawcy. Wiedział, co mówi: pierwszy z tych filmów oglądał dwa razy, bo pierwszy seans przespał, natomiast drugi film widział cztery razy, bo nie mógł się połapać, o co chodzi. Bardzo szczegółowo wdał się w opowieść o tych i innych *dodon bango*, złych duchach na ścianie, tak bowiem brzmiała jeszcze jedna nazwa popularnej rozrywki, dostępnej za szylinga cztery razy w tygodniu; w każdym razie szylinga kosztował bilet do kina Rex. Rozmawiali też o najbliższym celu wędrowki, o twierdzy White City. Bloken chciał się dowiedzieć, dlaczego White City nazywane jest twierdzą.

-To z Biblii - wyjaśnił Godiwillin. - Z księgi Zachariasza. „Wróćcie do twierdzy, więźniowie nadziei”. Stąd wziął się pomysł Dżenara. - Podniesionym głosem zapytał: - A dewiza twierdzy...?

-Nigdy się nie poddaje! - odpowiedzieli ludzie.

Uczono ich, że twierdza to schronienie dla rannych czinditów. To magazyn z zapasami. To bronione lotnisko, centrum zarządzania dla lojalnej ludności, a także środek orbity, po której krążą kolumny brygady. To także baza lekkich samolotów wspierających piechotę w akcjach przeciw najważniejszemu celom. Przede wszystkim zaś twierdza to *machan*, skąd widać związane koźle mające znieść japońskiego tygrysa. Innymi słowy, twierdza to czerwona płachta powiewająca przed rozjuszonym bykiem.

„Po pierwsze, chcemy spotkania z nieprzyjacielem na otwartym terenie, a najlepiej w zasadzkach przygotowanych przez nas”, pisał Dżenar w tajnej instrukcji stanowiącej podręcznik czinditów. „Po drugie, należy nieprzyjaciela prowokować do ataku tylko na nasze bronione umocnienia. Następnie, żeby mieć pewność wykorzystania naszych atutów, biorąc też pod uwagę, że znajdujący się w okolicy nieprzyjaciel będzie nas przewyższał liczebnie, będziemy na nasze twierdze wybierać obszary niedostępne dla transportu kołowego. Narzucimy nieprzyjacielowi naszą wolę”.

Maszerujący rozmawiali o tym i owym, i tamtym. Głosy stopniowo cichły,

w końcu słyhać było już tylko walkę o zaczerpnięcie tchu. Aż dziw, jak nieuchwytnie potrafi dopaść zmęczenie; człowiekowi właśnie się zdaje, że może iść bez końca, a już za chwilę koniecznie chce usiąść, po prostu na parę sekund usiąść, samandża, tylko na parę sekund.

Po wschodzie słońca wzmógł się żar i ludzie zaczęli padać bez tchu. Na szczęście dla takich jak Zololo, który upadł, lecz potem zebrał siły, żeby iść dalej, oddział zwolnił na tyle, że marsz wydawał się niewiele szybszy od czołgania. Zololo mógł więc dogonić swoich.

Banan wkrótce po tym, jak się wystraszył chmury świetlików, zaczął cicho pojękiwać z bólu i zastanawiać, czy wytrzyma. Zololo przeważnie szedł bez słowa, ale od czasu do czasu odzyskiwał mowę i z całego serca przeklinał Gurków idących na czele. Samandża Show też przeklinał. Nagły szlag, słyszał Banan, cholera jasna.

Banan nie mógłby lepiej wyrazić swego stanu uczuć, był jednak zbyt skonany, żeby przyłączyć się do przekleństw. Zresztą przeklinanie nie pasowało do Banana. Usłyszał inny, znajomy głos i podniósł wzrok. Kiaftin Gillafsie, który szedł blisko czoła, teraz zmierzał na koniec kolumny, podchodził do ludzi i ponaglał. Banan spojrział na kiaftina po raz pierwszy od chwili, w której tamten wkrótce po ataku świetlików wyszedł zza pleców Banana i pośpieszył na czoło kolumny.

Pojawił się też znowu Damisa. Zniknął był wkrótce po kiaftinie, lecz poszedł w drugą stronę.

-Wracam za chwilę - szepnął do Banana - a gdyby ktoś pytał, powiedz, że przystanęłam za potrzebą.

W rzeczywistości Damisa wracał po Blokena, po Guntu, po Dendzę i innych, którzy się wykruszyli. Zbyt wielu ludzi opadło z sił, a Damisa uważał, że może zachęcić jednego czy dwóch maruderów, żeby się podnieśli i maszerowali dalej. Teraz Damisa wrócił. Banan nie pytał, jak mu poszło. Samandża wrócił w pojedynkę - wiadomo.

-Która godzina? - spytał Banan. - Chyba północ albo później.

-W Nigerii tak. Ale tu, w Birmie, jest szesnasta zero zero - odrzekł samandża Show. - Mimo to masz rację. Zrobiło się ciemno jak o północy.

-Ale księżyc, samandża, księżyc - powiedział niepewnie Banan i unióś palec.

-Co za księżyc? - spytał Zololo, na przekór nastrojom krztuszając się ze śmiechu.

To, co Banan uznał za księżycową poświatę, wzięło się w rzeczywistości z niezwykłego o tej porze dnia pociemnienia nieba.

Chmury zaczęły się zbierać jeszcze przed rozbłyskiem świetlików.

Kilka minut później zbrocza przecięła błyskawica, z grzmiącego nieba

lunęły potoki, a przez całą kolumnę przebiegło głośne westchnienie ulgi. Kolumna stanęła, ludzie zrzucili ładunki z grzbietu i usiedli wprost w strugach wody, uśmiechając się bezmyślnie, szczęśliwi jak dzieci.

Ulewa trwała kwadrans, zamieniła się w mżawkę, potem wyjrzało słońce, rozżarzone jak przedtem. Ale skwar już tak ich nie nękał. Nawet przestało się liczyć, że ekwipunek jest teraz cięższy. Kiedy ruszyli, znowu nabrali animuszu, co było widać nawet po kroku, jakim szli.

Dwie godziny później, kiedy w oddali pojawiła się wioska Maulu, wszyscy, którzy wcześniej odpadli, dołączyli już do plutonu.

U czwartej rano wciąż nic nie zwiastowało japońskiego konwoju. Gotowi do ataku czindici leżeli, klęczeli, stali i siedzieli na zamaskowanych pozycjach wzdłuż drogi do Maulu, z karabinami, brenami, granatami i odpalanymi z ramienia granatnikami przeciwpancernymi Piat. Od leżącej na północ wioski dzieliła ich tylko mila. Za ich plecami, równoległe do drogi, biegła linia kolejowa. Od kiedy Gillafsie i jego ludzie doszli tu przed dziesięcioma godzinami, nie przejechał nią żaden pociąg. Gdyby jednak przejechał, zarosła i drzewa wśród głązów spiętrzonych nad drogą sprawiały, że byli niemal niewidoczni.

Na zasadzkę Gillafsie wybrał miejsce, w którym biegnąca z południa droga pięła się wpierrw jakieś pięćdziesiąt metrów pod górę, a za pagórkciem wiała się w dół też około pięćdziesięciu metrów i ostro zakręcała na północ. Cel miał się zjawić z południa, ale nieważne było, z której strony nadjedzie. W każdym wypadku pojazdy musiały zwolnić, pokonując wzgórek. Do grupy uderzeniowej Gillafsie wybrał najlepszych. Rozlokował ich w punktach przewidywanego kontaktu z oczekiwanym konwojem. Byli wśród nich Damisa i Zololo. Wyżej i nieco w głębi rozmieszczeni byli w różnych punktach ludzie innej grupy; mieli osłaniać ogniem atakujących. Ta druga grupa była równie ważna, a dowodził nią samandża Show, który uchodził za pierwszorzędnego Strzelca. Mieli otworzyć ogień tylko wówczas, gdyby nieprzyjaciel zaczął uciekać, atakujący zaś musieliby porzucić kryjówki i odsłonić się w pościgu. Łącznościowcy oraz mulnicy z mułami stali na warcie paręset metrów dalej, w kryjówce z trzciny bambusowej, strzegąc tyłów, gotowi dać umówiony sygnał, gdyby działo się cokolwiek podejrzanego.

Banan znalazł się w jeszcze innej grupie; leżał koło Aluwonga, mniej więcej dziesięcioletka. Aluwong pochodził z Kagaro, górskiej wioski leżącej wśród urwisk w pobliżu górniczego miasta Jos. Banan parę razy spotkał Aluwonga w bazie w Indiach, ale ich ścieżki skrzyżowały się dopiero teraz. Między chłopakami leżała skrzynka granatów, podobna - obaj to zauważyli - do koszyka z cebulą. Mieli sięgnąć do niej w chwili, kiedy grupa

uderzeniowa otworzy ogień, i rzucać granatami we wszystko, co się rusza i przypomina nieprzyjaciela.

Ludzie otrzymali bezwzględny rozkaz: nie otwierać ognia, ani drgnąć, nawet jeżeli nieprzyjaciel zbliży się do ich kryjówki, dopóki kiaftin Gillaftsie nie da znać, że wszyscy żołnierze mają już cel na muszce. Wówczas z jednostrzałowego, ładowanego odtylcowo pistoletu sygnalizacyjnego wzięci żółta flara i na krótko rozświetli ciemności.

Kiedy kiaftin wydał kolumnie ostateczne instrukcje i ludzie mieli już obsadzić pozycje, na chwilę zebrała się drużyna D.

-Nie strzelajcie za wysoko - powiedział Damisa. Już to wiedzieli, wbijali to sobie do głowy podczas miesięcy ćwiczeń, dla Damisy jednak wszyscy jego żołnierze, z wyjątkiem Zolola, byli jeszcze dziećmi. Takie przypomnienie nie powinno ich dotknąć.

-Choćby nie wiem co - powtórzył - nie strzelajcie za wysoko. Cel wybierajcie uważnie. Jeśli ktoś, kto jest bliżej, ma cel na muszce, wybierzcie inny. Nie strzelajcie wszyscy do tego samego celu.

-Chyba że się pokaże tylko jeden Jap - powiedział Dendża. Nikt się jednak nie zaśmiał i po chwili śmiech Dendży ustąpił przed zakłopotaniem.

Guntu chciał, żeby grupa pomodliła się wspólnie, ale Damisa się nie zgodził. Stwierdził, że nie czas na takie rzeczy.

-Pomódlcie się każdy za siebie - powiedział. - I przypomnijcie sobie słowa Proroka: „Ufaj Bogu, ale porządnie spętaj swego wielbłąda”.

Bloken modlił się do amuletów zawieszonych na rzemieniu na szyi. Jeden dawał mu odporność na kule. Inny czynił niewidzialnym dla wroga. A jeszcze inny sprawiał, że nie mógł spudłować.

Tak to wyglądało mniej więcej przed pięcioma godzinami, dotąd jednak nic nie zwiastowało nieprzyjaciela.

To Banan i Aluwong pierwsi wyczuli ledwie uchwytnie drżenie ziemi. W skupieniu nasłuchiwali, lecz do ich uszu nic nie docierało, prócz stłumionych oddechów żołnierzy ukrytych w pobliżu. Chwilę później znowu poczuli to drżenie. Spojrzeli po sobie i postanowili zaryzykować reprimendę od dowódcy. Aluwong szturchnął Banana i wskazał pozycję kiaftina.

-Nie - szepnął Banan. - To ty mu powiedz.

Aluwong jednak szturchnął Banana nie dlatego, że bał się odezwać.

-Jesteś bliżej - szepnął ze złością.

Banan słyszał łomot swego serca, kiedy szykował się do meldunku.

Myśląc w hausa, nieco podniósł głos i zawołał do kiaftina:

-To oni, sir! - I nagle uświadomił sobie wstrząśnięty, że z ust wyszły mu słowa w języku, którego, jak mu się dotąd zdawało, nie rozumie. Odezwał się po

angielsku.

Z początku nikt nic nie usłyszał, nic nie świadczyło, że Banan ma rację. Minęły niemal trzy minuty, zanim z południa dobiegł pomruk silników. Dotychczas pluton sprawował się cicho, lecz teraz wszyscy tak zamarli, że brzęczenie komara wydawało się równie głośne jak nadjeżdżające samochody. Ledwie ważyli się oddychać, lecz byli też spokojni, nawet cierpliwi, szczęśliwi, że potrafią trzymać ręce na wodzy, dopóki kiaftin nie wyda rozkazu. Wkrótce na pierwszy pagórek podjechała ciężarówka, a kiedy zaczęła powoli zjeżdżać, pojawiła się następna, potem

trzecia. Jechały bez świateł, a ciemności były tak gęste, że ludzie właściwie mogli coś dostrzec najwyżej na metr. Każdy z samochodów ujawniał swoją obecność warkotem silnika i zgrzytami skrzyni biegów, gdy wjeżdżał na pagórek, a potem przy zjeździe. Do uszu oddziaływały też szmer: spokojne gwarzenie Japończyków, przy czym głośniejsze wypowiedane słowa konkurowały z warkotem maszyn. Kiedy pierwsza ciężarówka dopłynęła do ostrego zakrętu na północ, na pagórku pojawiła się czwarta. Rozbłysła flara wyrzeczona z pistoletu sygnału Gila i w tej samej chwili otwarli ogień. W gęstych jak smoła ciemnościach wszyscy, ludzie i karabiny, stali się teraz niosącą śmierć wspólnotą. Serie pocisków rozpruwały metal. Najpierw wybuchła ciężarówka na czele, a tuż po niej ta, która zamykała konwój. Noc rozświetliły wielkie kule ognia. Zaraz potem, zanim dogasły eksplozje, w świetle jeźców ognia zobaczyli twarze zabijanych ludzi. Niektóre szpeciła furia, niektóre strach.

Za ciężarówkami wybuchnął ciężki pocisk, rozpadając się na mnóstwo odłamków, uderzył w drzewo jak siekiera o tysiącu ostrzy, pociął gruby pień na kawałki, a oderwaną górną część z koroną potrzaskanych gałęzi strącił na gęste poszycie z tyłu. W nozdrza żołnierzy wdarł się swąd palonej gumy, palonego drewna i palonego ciała. Atak z zasadzki trwał najwyżej pięć minut. Trzeba było jeszcze paru, nim zaczęła zamierać strzelanina z lekkiej i cięższej broni i przestały wybuchać granaty. Wkrótce ucichły też jęki i krzyki z ciężarówek.

Nie mogli sprawdzić, czy rozprawili się z wszystkimi Japończykami. Wiedzieli tylko, że trafili wszystkie cztery ciężarówki, noc była jednak tak ciemna, jakby między nimi a biegnącą niżej drogą wyrosła czarna stalowa ściana.

Gorzkie doświadczenia nauczyły Brytyjczyków, że jeśli jacyś ludzie ocaleli z zasadzki, to pewnie są blisko miejsca starcia. Jeżeli brytyjski żołd przeżył zasadzkę, wiał co sił w nogach. Inaczej Japończyk. Zaszywał się w dżungli, okopywał i - jeśli nie dopadł go pościg - czekał, aż pod lufę nawinie się

jeszcze jeden aliancki sódza.

Gillafsie postanowił, że z oceną zniszczeń poczekają do świtu. Nie było wrzaskliwego świętowania, żadnego zwycięskiego wycia. Nie dlatego, że współczuli ludziom, których pozabijali. Dlatego, że ledwie trzymali się na nogach. Marzyli tylko, by się chwilę przespać. Cicho zaczęli szykować obozowisko między linią kolejową a drogą. Okopali się do snu i chociaż zbliżała się piąta, niemal świtało, ci, którzy nie stali na warcie, ułożyli się w wąskich dołkach strzeleckich i zaraz posnęli.

Banan dzielił z Aluwongiem ten sam okop; zapadając w głęboki sen, uświadomił sobie, że nie pamięta imienia towarzysza, i postanowił, że zaraz z rana zapyta o nie Damisę.

Po niecałej godzinie nagle wyrwały go ze snu krótkie serie z brena. Zwinięty w kłębek Banan rozprostował się jak sprężyna, sięgnął po karabin, sprawdził, czy jest załadowany, a potem wyjrzał z dołka. Blisko czterdzieści par oczu podobnie popatrywało z okopów, próbując dociec, co się dzieje. Ze wschodniej części obozowiska dobiegły głośnie, wściekle rzucane przekleństwa, a po nich śmiech podszyty skruchą. Banan znów ułożył się w dołku, przyłożywszy dłoń do czoła, żeby uśmierzyć nagły ból rozsadzający czaszkę.

Nie wiedział, co spowodowało strzelaninę, i nawet go to nie obeszło, dopiero rankiem usłyszał, że to był powrót Ko Ye, kareńskiego zwiadowcy, którego wczoraj kiaftin wysłał z powrotem pod Aberdeen. Ko Ye doszedł tropem kolumny aż do samej bazy, ale nigdzie nie wytropił ani śladu plutonu Japów. Poruszał się samotnie, z pełnym ekwipunkiem na grzbiecie; wędrowka do ufortyfikowanej bazy Aberdeen i z powrotem zajęła mu piętnaście godzin. Kiedy znalazł się na obrzeżach Maulu, odszukanie kolumny zajęło mu trochę czasu, kiedy zaś ją odnalazł, ludzie czatowali w zasadzce na konwój. Ko Ye obawiał się, że mogą go wziąć za Japończyka i zostanie zastrzelony przez swoich, więc na wszelki wypadek okopał się mniej więcej

o kilometr od kolumny i stamtąd śledził wynik starcia. Z po-

dejściem do obozowiska poczekał na świt i światło dzienne. Strzelanina okazała się sprawką zmordowanego przeczulonego wartownika, który nie usłyszał podchodzącego zwiadowcy. Na szczęście, prócz rozsierdzenia i paru zadrapań po tym, jak musiał paść na ziemię, Ko Ye nie przytrafiło się nic gorszego. Był - mówiąc językiem Gurkhów - *thik hai Johnny*.

Taką wersję tej historii Banan usłyszał od Godiwillina, ten od Pasza, Pasz zaś, jak twierdził, od samego Ko Ye. Aluwong oponował:

-Samandża Grace nie dlatego strzelił do Ko Ye. Samandża Grace strzelił, bo Ko Ye nie mógł sobie przypomnieć hasła.

-Kto ci to powiedział? - spytał Banan.

-Samandża Grace. To dowódca mojej grupy.

Dołączył Guntu.

-A ja słyszałem - powiedział - że Grace wziął go za nieprzyjaciela, i to tutejszego, bo Ko Ye podszedł do obozowiska bez munduru. Ten człowiek ma tyle żywotów co kot. To samo przytrafiło mu się w Aberdeen.

-Kto ci to powiedział? - spytał Aluwong.

-Słyszałem, jak rozmawiali o tym samandża Damisa i kiaftin.

W tym momencie pojawił się sam Ko; wyglądał jak wszyscy: zmordowany, z zaczerwienionymi oczami. I jak wszyscy był w mundurze.

-Kiedy wczoraj ruszał w drogę, nie miał munduru - powiedział Guntu, a odchodząc, z wyrzutem popatrzył na mundur armii brytyjskiej Ko Ye, jakby zwiadowca sprawił mu zawód.

-Ilu ich tam jest? - spytał Aluwong. Stali na skraju obozowiska i patrzyli z góry na spiętrzone ciężarówki, podziurawione, poszarpane, pełne trupów.

-Samandża Damisa naliczył trzydzieści pięć par butów. Niektórych rozerwało na strzępy, od pasa w górę, ale każdy wciąż ma na nogach buty.

-Nieszczęsne sukinsyny. Ciekawe, co się stanie z tymi butami?

-Spalimy ich w butach, kiedy grupa przeczesująca wyjdzie z dżungli z resztą ciała.

-Samandża Damisa mówił, że niektórzy mają złote zęby - odezwał się Banan, patrząc na poskręcane ciała.

-Co on tam robił? Zaglądał w zęby nieboszczykom? Czego szukał?

-Poszedł na dół z dziesięcioma ludźmi. Szukali rzeczy, które się mogą przydać sekcji wywiadu w Indiach.

-Skąd wiedzą, czego szukać?

-Nie wiedzą. Po prostu zabierają wszystko, zwłaszcza notesy, zapiski i odsyłają do wywiadu. Jeden z nich miał miecz samurajski.

-Co to takiego?

-No miecz - wyjaśnił Banan i ziewnął szeroko. Zwrócił się do Aluwonga. - Jak myślisz, zabiliśmy kogoś?

Przez chwilę Aluwong wydawał się zmieszany. Potem powiedział:

-Tymi nanasami?

Karbowane żeliwne granaty obronne rzeczywiście wyglądały jak ananasy.

-Właśnie. Oberwali jakimś naszym nanasem?

-Nie wiem. - Aluwong tarł oczy. - Po prostu wyciągałem zawlecзки i rzucałem najszybciej jak mogłem. Za bardzo się bałem, żeby się jeszcze przyglądać.

Zapadła dłuższa cisza.

-Aż dziw, co mogą zrobić takie nanasy - odezwał się wreszcie Banan i schował za siebie ręce, które zaczęły się trząść.

-To miejsce przypomina mi moje miasto - powiedział Aluwong. - Te skały, bambusy, kaktusy. Wszystko mi przypomina Kagoro. Nie zdziwiłbym się, gdyby tu rosły mangowce. Boże, wsunąłbym teraz mango.

-A ja bym teraz przespał cały dzień.

-Ja też. Pierwsze, co zrobię, jak już dojdziemy do White City, to wykopię sobie przyjemny, głęboki dół, rozłożę płachtę i wyciągnę się jak król.

-Wiem. Już mi to wczoraj mówiłeś - odrzekł Banan. - A ja miałem zapytać samandzę, jak tylko go zobaczę, żebym nie musiał znów cię pytać, ale zapomniałem. Bo, widzisz, samandża...

-Który samandża?

-Damisa. Nigdy nie zapomina nazwisk. Powiedz mi, Aluwong, jak masz na imię. - Banan powiedział: *Sunan kaya bace mini*, „Twoje imię umknęło mi z pamięci?”. Przeszła mu się trząść ręce i czekał, aż Aluwong odpowie, on jednak tylko się wpatrywał w Banana. Dopiero po chwili Banan zorientował się, dlaczego zapytany milczy.

-No jasne: Aluwong.

-Śmieszna historia - rzekł Aluwong. Pomyślał chwilę i dodał: - Strasznie śmieszna. - Jednak się nie śmiał; był zbyt wyczerpany zbyt wielkim wysiłkiem. Naprawdę uważał, że to śmieszna historia, chociaż nie wiedział dlaczego.

-Nie uwierzysz, jakie dziwne rzeczy przytrafiają mi się ostatnio - powiedział Banan. - Na przykład wczoraj, podczas marszu, kiedy weszliśmy w tę chmurę świetlików...

Myśli Aluwonga pobiegły ku czemu innemu, chłopak nie słuchał Banana.

-Wczoraj zapomniałem wziąć mepakrynę... - zaczął.

Nie dokończył. Z głębi dżungli aż nad drogę poniósł się ogień

brenów, karabinów i lekkich japońskich karabinów maszynowych, wybuchały granaty. Padli płasko na brzuchy, nad głowami świstały im zabłąkane pociski; Banan odwrócił się do Aluwonga, żeby zapytać, czy ta japońska broń, która tak gorączkowo strzela, to ów morderczy nambu, przed którym ich ostrzegano, a nawet nauczono się nim posługiwać. Aluwong leżał nieruchomo, prawą połowę twarzy kryła trawa, w szeroko otwartych oczach malowało się łagodne zdziwienie, a z dziury w czole ściekała krew zmieszana z kawałkami mózgu. Pociski wciąż gwizdały w górze. Lgnąc do ziemi, Banan odpełznął z obrzeża obozowiska i z twarzą umazaną ziemią z trudem doczołgał się do swego ciasnego bezpiecznego dołka strzeleckiego.

Ledwie wpełznął do okopu, usłyszał warknięcie Damisy:

-Chodź, Ali, grupa przeczesująca potrzebuje wsparcia.

Banan nie mógł udawać, że nie słyszy. Samandża patrzył z góry, na pozór nieświadomy, że zewsząd świszczą kule.

Aluwong wciąż leżał tam, gdzie padł. Ktoś nakrył ciało płachtą.

-Weź maczetę - powiedział Damisa, patrząc ponuro na Aluwonga. - Może się przydać. I bagnet.

Parę minut potem Banan wraz z pięcioma ludźmi przekraczał drogę w ślad za samandżą. Zatkali nosy i śpiesznie minęli ciężarówki. Zrobiło się niesamowicie cicho. Ustała strzelanina.

Minęli drzewo tekowe, na którym ktoś niedawno wyrzył:

TOKIO 2972 MILE

Na skraju dżungli natknęli się na Zolola i Blokena, którzy podtrzymywali idącego w środku, kulejącego Pasza.

-Jap przywalił mi z nambu w kolano - powiedział Pasz tonem przeprosin. - Ale to tylko zadrapanie. Dogo przygwoździł go, zanim Jap zdążył narobić szkody.

Upierał się, że sam dojdzie na skraj obozowiska. Próbował ustać o własnych siłach, ale się przewrócił. Bloken wyciągnął manierkę rumu i przytknęła do ust Pasza. Po pierwszym łyku oczy rannego rozbłysły.

-Takiego właśnie pokrzepienia człowiek potrzebuje - po-

wiedział, zaciągnąwszy się papierosem, który wetknął mu teraz w usta Zololo. - Jeżeli z powodu zadrapania w kolano tak się rozpieszczą człowieka, to może wróćę i poproszę Japa o więcej. - Rum dobrze mu zrobił. Uwieszony na ramieniu Gurkhi pokuśtykała do obozowiska; twarz lśniła mu od potu i zadowolenia.

-Kofur Jeden za Drugim! - zawołał za nim Zololo.

Pasz odwrócił się.

-Tak, Dogo? - spytał.

-Uważaj na to kolano. Nie idź tak szybko - powiedział Zololo.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Pasz, mimo zaprzeczeń, jest jednym wielkim bólem.

-W tych zaroślach aż się roi od Japów - odezwał się Zololo, kiedy stanęli na skraju dżungli. - Ale większość chyba już dorwaliśmy.

Ojakiś dwieście jardów na zachód znów wybuchła strzelanina. Potem ucichła.

-To pewnie Dendża i Will - rzekł Zololo. - Pójdę zobaczyć, czy tam wszystko w porządku. Wy idźcie dalej. Po prawej jest Grace z samandżą Ko i Thik Hai.

Ruszył na zachód, za nim Bloken. Damisa z Bananem poszli na wschód i zaledwie po pięćdziesięciu krokach natknęli się na Grace a i Gurkhów.

-Człowiek przeżyje człowieka, ale nie Boga. Okazja jest tylko raz. - Grace grzmocił się w piersi. - Bogatemu sąsiedzi są kuzynami, a biedaka nawet brat nie chce znać - obwieszczał.

Na tym nie skończył.

-Strzeżcie się sprzedaj nych kobiet - nauczał uroczyście. - Pamiętajcie, że nie wiecznego. Stracona okazja nie wróci. Głodna rodzina nie naje się dobrą radą. Uważajcie na ladacznice i gromady przyjaciół. Nie wiercie, że was kochają. Pieniądze trudno dostać, łatwo przepuścić. Ambicja to ostatnie schronienie kłęski. Miłość na rogu ulicy to nie miłość. Kiedy przychodzi kłopot, nie bije w dzwon.

Tańczył taniec wojownika; ostry jak brzytwa *adda* ociekał jeszcze krwią.

Gurkhowie wpatrywali się w Gracea w nieopisanym zdumieniu.

-Było ich trzech - odezwał się Gurkha, którego *kukri* też nosił ślady niedawnego użytku. - Czy można tu zostawić ciała? Grace mówi, że kapitan chce wszystkie zwlec pod ciężarówkę.

-Wszystko j edno, gdzie leżą. Kiaftin chce tylko wiedzieć, ilu ich jest - odpowiedział Damisa Gurce wymęczoną mieszaniną hindustani, gurkhal i łamanej angielszczyzny.

Z przeciwnej strony zarośli dobiegał głos Zolola. Słyszeli też Dendzię. Zololo śmiał się z jakiegoś powiedzenia Dendzi. Zamknijcie się, durnie, wykrzykiwał w myśli Banan, przerażony, że samandża pośle go tam, żeby się dowiedział, co ich tak bawi. Ale pogwarki i śmiech Zolola najwyraźniej upewniały tylko Damisę, że wszystko jest w porządku. Samandża powiedział, że mogą teraz wracać do obozowiska z Gurkhami i Graceem. Dochodzi dziewiąta; kiaftin Gillafsie chce być w White City przed południem.

Ko powiedział, że każdy Jap to podstępny sukinsyn. Chce umrzeć, ale wpierv cię zabije. Żeby. się upewnić, że Jap jest rzeczywiście trupem, trzeba go przebić bagnetem, nawet gdy się go przedtem zastrzeliło; innej rady nie ma. Samandża Grace wciąż przepraszał Ko Ye za to, że omal go nie zabił. Banan przypomniał sobie Aluwonga; mówił, że Grace jest dowódcą jego grupy. Ciekawe, czy Grace już wie o Aluwongu? Wynurzali się z zarośli i wkraczali na drogę, Banan miał już nowinę na końcu języka, lecz nagle usłyszeli za plecami serię szybkich, potężnych wybuchów, potem wycie z bólu. Dopiero na widok jakiejś czarnej postaci chwiejnie kroczącej w ich stronę wychynęli zza drzew, za którymi się skryli. Twarz i mundur postaci były pokryte krwią i kawałkami ciała. Kilka sekund później pojawili się jeszcze Dendża i Godiwillin, tak samo zbryzgani.

-Gdzie Dogo? - spytał Damisa.

-Dogo nie żyje, samandża - powiedział Bloken.

Damisa zamrugał, wydawał się zmieszany.

-Przecież przed chwilą słyszałem, że się śmieje - powiedział.

-Dogo nie żyje - powtórzył Bloken, ścierając z łysej głowy strzęp ciała.

-Skoro nie żyje, to gdzie ciało?

-Z Dogo nic nie zostało - powiedział Godiwillin. - Mijaliśmy trupa Japończyka, to znaczy myśleliśmy, że nie żyje, a on nagle wybuchnął, wyleciał w powietrze. Musiał mieć pod sobą, sukinsyn, wiązkę granatów. Pewnie zobaczył, jak nadchodzimy, wyciągnął zawleczeni, a łyżki przygniótł ciałem do ziemi. Dogo przechodził nad nim i wtedy to wszystko walnęło, a my padliśmy plackiem. Z Japa nic nie zostało. I nic nie zostało z Dogo.

Zmęczony Damisa oparł się o drzewo. Miał tylko dwadzieścia sześć lat; w oczach Banana zawsze zachowywał się jak mężczyzna dwa razy od niego starszy. Ale teraz, z głową opartą o pień drzewa tekowego, wyglądał na zagubionego chłopca.

-Idźcie - powiedział. - Chcę być przez chwilę sam. Muszę pomyśleć.

Gdy powoli ruszyli, Damisa zawołał:

-Bloken, nic ci się nie stało w głowę?!

-Z głową w porządku - odrzekł Bloken. - To tylko wstrząs, nic więcej. Będzie całkiem dobrze, kiedy się umyję.

-Najdalej za godzinę będzie wymarsz do White City - powiedział Damisa. - Bloken i Pasz nic nie niosą. Podzielcie ich ekwipunek między pozostałych. Nie bądźcie, chłopcy, tacy spłoszeni. White City jest tuż za rogiem. Najwyżej godzina marszu.

-Przecież mogę nieść plecak, samandża - zaprotestował Bloken.

-Wiem, że możesz - odpowiedział Damisa. - Ale może masz wstrząs mózgu. Musisz uważać, dopóki cię nie obejrzy medyk w bazie. Ty, Ali, idź po miotacz ognia. Powiedz Gun- tu, żeby ci pomógł. Musimy przed wymarszem spalić te ciała w ciężarówkach.

Banan obrócił się i ruszył po miotacz płomieni, ale zatrzymał go głos Damisy.

-Powiesz Guntu, żeby ci pomógł - powtórzył samandża. Potem najwyraźniej jeszcze coś sobie przypomniał. - Kolano Pasza wygląda paskudnie. - Spojrzał na Dendżę i Godiwilli- na. - Trzeba mu zrobić kule. - Zwrócił się znowu do Banana. - Zostaw miotacz. Zabitymi Japończykami zajmą się samandża Show i jego grupa. A ty wyszukaj w obozie odpowiednie miejsce i wykop grób dla Aluwonga. Powiedz Guntu, żeby ci pomógł.

Samandża skończył, a Banan obrócił się do Gracea, ciekaw, jak zareaguje na wiadomość o śmierci Aluwonga. Sądząc z wyrazu twarzy, do Gracea nie jednak nie dotarło. Wciąż był pogrążony w radosnym oszołomieniu.

Zostawili Damisę i wrócili do obozowiska. Grace stopniowo dochodził do siebie; powtarzał, że to był długi marsz, że im szybciej dotrą do White City, tym lepiej. Mówił w pidgin, przez co nie rozumieli go Gurkhowie. Ko Ye powiedział, że tego ranka słyszał odgłosy ciężkich walk w pobliżu White City. Blokena dręczył dojmujący ból głowy i w gruncie rzeczy nie mógł otworzyć ust.

Wciąż zaprzątnięty tym, jak najrychlej dotrzeć do White City, samandża Grace nagle się zatrzymał. Z chmurną twarzą chwycił za gardło Banana.

-Niby dlaczego Aluwong potrzebuje grobu? - spytał w hau- sa. Dopiero teraz dotarło do niego ostatnie polecenie, które Damisa wydał Bananowi.

-Pan mnie udusi, samandża - z trudem wykrztusił Banan.

-Przepraszam, farabiti. To niechący. - Grace puścił Banana, po czym cicho spytał: - Gdzie on jest?

-W obozowisku, sir - odrzekł Banan. - Przykro mi. Właśnie miałem panu powiedzieć.

Grace nie słuchał. Biegł do obozowiska.

Pozostali milczeli. Nie przyśpieszyli. Bananowi zdawało się, że widzi kilka krążących w górze sępów, lecz miał się na baczności, bał się przywidzeń, obrócił się więc do Blokena i spytał:

-Czy to sępy tam w górze?

-Tak - usłyszał zza pleców. - Robią porządek.

To był Damisa. Dogonił ich.

-Wróciłem tam i przynajmniej tyle znalazłem - powiedział. - Będziemy mogli coś pochować.

Trzymał hełm, z dziurą jak pięść. Poczerniała stal błysnęła w porannym słońcu, a Banan pomyślał, że wszystko to zły sen; teraz budzi się z niego, a do obozowiska wraca z nimi Zololo; wkrótce wszyscy razem ruszą do White City.

-Dogo - szepnął - myślałem, że cię już nie ma.

-Jestem, jestem - odrzekł trochę zniecierpliwiony Zololo. - Co tam trzyma Damisa?

-Twój hełm - odrzekł Banan. - Nie poznajesz swojego hełmu?

-To nie mój hełm - odparł Zololo. - Powiedz im, że nie mój.

-Jeżeli nie twój, to czyj?

-Japa.

-A gdzie twój hełm?

-Normalnie, na głowie - powiedział Zololo. I rzeczywiście. Helm farabitego Zolola znajdował się tam, gdzie powinien.

-Ali! - zawołał ktoś z tyłu.

Banan obejrzał się i zobaczył, że ukradkiem dołączył do nich Aluwong.

-Co robi samandża Grace? - spytał Aluwong.

-Kopie ci grób - odrzekł Banan.

-Aha - odpowiedział Aluwong; najwyraźniej zaspokoił ciekawość.

Zatrzymali się przy drogowskazie do Tokio.

Aluwong spytał Zolola:

-Do Tokio czy do domu, Dogo?

-Do domu - odrzekł Zololo.

-Dlaczego nie do Tokio, Dogo?

-Te japońskie sukinsyny pewnie nie będą nami zachwycone, nie uważasz?

-Chyba masz rację, Dogo. Ale ja zawsze chciałem pojechać do Tokio. Do Tokio i do Nowego Jorku. Może następnym razem. Chodźmy do domu, Dogo.

Obyło się bez łzawych pożegnań; po prostu sprężysty bezbłędny salut, a potem w powrotną drogę do Aberdeen ruszyła dwuosobowa brygada jodłująca jak cały stadion futbolowy:

Gdyyyyy byleeeee sooodźaaaaa

Gdyyyyy byleeeee sooodźaaaaa

Gdyyyyy byleeeee sooodźaaaaa

Gdyyyyy byleeeee sooodźaaaaa

Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra

Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra

Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra

Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra

Przez dłuższą chwilę Banan patrzył w ślad za nimi, a w myśli śpiewał to samo. Kiedy ich plecy zmalowały w dali, zasalutował, a potem zastanowił się, czy powinien powtórzyć samandży, co Zololo mówił o helmie. Zdecydował, że zachowa to dla siebie. Rozejrzał się i stwierdził, że jest sam. Widocznie tamci go zostawili, zobaczywszy, jak rozmawia z Zololem i Aluwongiem.

Przeszedł przez drogę, a mijając ciężarówkę, zatkał nos. Zaraz potem napotkał samandżę Showa, który niósł na plecach miotacz ognia.

W obozowisku Grace kopał wciąż grób Aluwonga. Banan przyspieszył kroku. Chciał spojrzeć jeszcze raz na Aluwonga, zanim przykryje go ziemia.

White City

White City wpieryw wyglądało j ak obłok szarych kropek; kiedy podeszli bliżej, kropki okazały się białymi czasami spadochronów. Czasze zwiślały z

ogromnych drzew rosnących na obszarze mniej więcej kilometra kwadratowego - wznoszące się spiralnie wzgórza i przepastne doliny wychodzących na szeroką, otwartą połąć pól ryżowych i zielony mroczny las. Wysoka ściana zwojów drutu kolczastego wyznaczała granicę garnizonu.

Baza White City była nie do zdobycia, a gdyby linię prostych umocnień próbował przekroczyć nieproszony gość, musiał się liczyć z tym, że zginie, zanim zbliży się do okalających bazę zasieków. Na wszystkich podejściach do bazy szczerze rozlokowano miny i pułapki przeciwpiechotne tak pomyślane, że pocisk przeszywał ludzkie ciało od stóp do głów. Jeżeli intruza nie dosięgłyby miny ani pułapki, patrzący spode łba żołnierze obsadzający umocnienia mieliby okazję wypróbować na nim swe breny i steny. Za linią wart stały potężne działa Boforsa oraz załadowane i skierowane we wszystkie strony haubice; ich obsługa zmieniała się co dwanaście godzin, gotowa reagować na najmniejszy niepokojący sygnał.

Pod okopami, schronami, ziemiankami rozciągała się sieć telefoniczna, cały teren oplatały przewody, a najnowszy wynalazek zwany walkie-talkie, przenośny aparat nadawczo-odbior- czy, zapewniał stabilne połączenie między ogniwami obronnego mechanizmu bazy.

-Stąd właśnie się wzięła nazwa White City. - Samandza

Show pokazał Bananowi czasie. - Każdy z tych spadochronów to zaopatrzenie, które zostało na drzewie. Większość zahaczyła się tej nocy, w której ów skrawek dżungli zamieniono w twierdzę. Z początku naszym chłopcom się zdawało, że to prosta sprawa, że wystarczy wejść na drzewo i odciąć ładunek. Ale szybko się przekonali, że to niemądry pomysł. Japoński snajper strącał każdego nieszczęsnego skurczybyka, który się wdrapał. Więc nasi dali sobie spokój z odzyskiwaniem spadochronów, a latający tu piloci wymyślili nazwę White City, Białe Miasto. To nawet miły akcent, bo w Londynie jest takie miejsce sławne z psich wyścigów, gdzie biegają charty, i nazywa się właśnie White City.

Banan ziewnął.

-A jak się miała nazywać ta baza?

-Cztery pozostałe nazwano na cześć sławnych miejsc.

-Chowringhee to ulica w Kalkucie. Broadway - w Nowym Jorku. Picadilly jest w Londynie, na West Endzie. Bazę Aberdeen nazwano na cześć szkockiego miasta, skąd pochodzi rodzina Dženara. Właściwie nie wiem, jak mieli nazwać White City, bo po prawdzie nie planowano tu bazy. Spójrz w lewo, zobaczysz linię kolejową. White City usadowiono wprost na tym szlaku. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jechały tędy pociągi z Rangunu z zaopatrzeniem dla japońskich oddziałów na północy. Teraz nie mogą. Po to

założono tę bazę. Wprost na torach. I dlatego Japy tak wierzgają. Dziś rano wypawiliśmy na tamten świat posiłki dla oddziałów, które dzień i noc szturmują White City

-White City to wspinała nazwa - powiedział Dendża. - Ale jeszcze lepsza by była Argungu.

-Bo jesteś z Argungu?

-Dziękuję za to Bogu, samandża.

-Zeszłego roku świetnie się tam bawiłem na festynie rybackim.

-Niemożliwe, samandża! Ja też tam byłem, niech się rozwiodę! Byłem jednym z tych trzech tysięcy rybaków. Dlaczego pan mnie nie zawołał? Poczęstowałbym pana legendarnymi daniami mojej żony - to *tuwon shinkafa* i *miyan kuka* z najsmakowitszym sumem, jakiego miał pan w ustach.

-Ach, duszone suszone liście baobabu i mąka ryżowa. - Samandża Show westchnęła nostalgicznie. - No i sum. To by była uczta, Dendża. Ale jeszcze tydzień temu w ogóle cię nie znałem.

-To prawda, samandża. Ale nie usprawiedliwienie.

Dziesiątki nieufnych wartowników wpatrywało się w nich

beznamiętnie zza drutów bazy. Szpaler ze zwojów drutu kolczastego prowadził do wejścia tam, gdzie tor kolejowy zderzał się z wałem worków z piaskiem. Przez wejście przechodzili pojedynczo, modląc się, żeby Japy akurat teraz nie przeprowadziły nalotu.

Modlitwa została wysłuchana, lecz kiedy ostatni sódża precyzyjnie się między drutami, rozległ się okrzyk: „Kryj się!” Po chwili dobiegł jednak następny: „Dakota!”, co oznaczało, że alarm zostaje odwołany. Nadlatywał samolot, ale nie była to maszyna nieprzyjacielska.

Nad głowami pojawiła się dakota, lecz nie lądowała.

Ktoś mruknął:

-Cholerny ciągnik. - Dakota holowała szybowiec.

Chwilę po tym, jak C-47 zniknął z nieba, pojawił się szybowiec Waco, który wyczepił się z holu, podchodząc do White City. Kierował się na lądowisko na zachodnim skraju bazy. Nagle u podejścia do lądowiska zanurkował w gąszcz drzew na wzgórku. Nie rozbił się, nie runął na ziemię, lecz zaraz wynurzył się spomiędzy nich kompletnie przemieniony; już bez skrzydeł, które gładko i zgrabnie odpadły. Było oczywiste, że zaraz się roztrzaska. Tymczasem znów stało się coś dziwnego. Kiedy się wydawało, że kadłub wbija się nosem w ziemię, kokpit nagle uniósł się ku niebu, jakby tysiące olbrzymów wewnątrz szybowca nagle przetoczyły się do tyłu. Z waco wypadł buldożer wielkości dorosłego słonia i pomknął ku ziemi. Pomyślnie skończywszy procedurę porodu, szybowiec rozbił się w dżungli. Za chwilę z

wraku ostrożnie wyczołgała się załoga. Brodaty sodża z Brygady South Stafford wdrapał się na buldożer i wcisnął starter. Silnik zakrztusił się i ożył.

Dla kofura Olu Faszanu wojna skończyła się dwie godziny po tym, jak kolumna dotarła do White City. W lazarecie w centrum bazy, tuż obok dowództwa brygady, sanitariuszom starczył rzut oka na strzaskane kolano; zapowiedzieli, że oznacza to powrót do Indii. Zamiast się cieszyć, Pasz rozpląkał się z gniewu i upierał, że zostanie. Wystarczy trochę wypoczynku, a kolano wkrótce samo wydobrzeje. Lekarze poczęstowali go morfiną, a potem na noszach trafił do lekkiego samolotu, który ewakuował rannych.

Drużyna D zebrała się przy lądowisku, ludzie chcieli go pożegnać. Kofur był niepocieszony.

-Przykro mi - powtarzał każdemu, kto podchodził z pożegnalnym uściskiem.

Łkał jak dziecko. Tuż przed startem kiaftin Gillafsie wybiegł z bambusowej chaty stojącej powyżej schronu, w którym kwaterowało dowództwo brygady. Gillafsie zdał dwie belki z rękawa Pasza, a na ich miejscu ulokował trzy skierowane w dół szewrony. Łkanie samandzi Pasza przybrało na sile. Łkał nadal, kiedy samolot wzbil się i wziął kurs na Hajlakandi. Przrzekł, że wróci, jak tylko rana się wygoi, lecz wszyscy wiedzieli, że nie ma o tym mowy. Wprawdzie lekarze nic nie mówili Paszowi, ale zdradzili kiaftinowi Gillafsie, że zaraz po wylądowaniu w Indiach Pasz trafi nas stół, gdzie utną mu nogę na wysokości kolana.

Potem drużyna D powędrowała powoli w stronę rzeki Bagno, w południowej części bazy. Wszędzie niez mordowanie trajkotały telefony i walkie-talkie. Paru ludzi montowało sześć dodatkowych boforsów i cztery dwudziestopięcioletki zeszłej nocy zrzucone pod ciężkim ostrzałem z dwudziestu pięciu dakot. Kompania wypadowa Pułku Leicester, wysłana w celu nękania nieprzyjaciela, wróciła po paru godzinach uboższa o dziesięciu ludzi. Ale każdy zabity Brytyjczyk kosztował Japów dziesięciu żołnierzy. Kompania Pułku Lancashire Fusiliers zawędrowała do Indaw, piętnaście kilometrów dalej, gdzie wysadziła w powietrze japoński skład amunicji.

Banan nigdy w życiu nie widział tylu brodaczy w jednym miejscu. Kiedy ludzie z drużyny D zmierzali spokojnie nad wodę, mijali swe nowiuieńkie sypialnie: labirynt rowów strzeleckich, które sami wykopali tuż po przybyciu, przed paroma godzinami. Na łóżko składały się dwie brezentowe płachty, spodnia i wierzchnia, oraz przeróżne elementy wywleczone z szybowcowych wraków zaścielających teren bazy. Nad okopami w charakterze dachów ludzie poukładali poprzecznie podkłady kolejowe i nakryli jedwabnymi czaszami spadochronów dla ochrony przed słońcem. Na to narzucili łopatomy ziemię, tak że z samolotu obszar wyglądał na nienaruszony. Zostawili tylko wąską

szczelinę, okno na świat zewnętrzny, i tyle miejsca, żeby swobodnie oprzeć na przedpiersiu broń. Ta szpara służyła zarazem za wejście i wyjście z ich sypialni na wzgórzu Obserwatorium, w ich nowym domu na południowym skraju bazy.

Wzgórze otrzymało tę nazwę w pierwszych dniach istnienia bazy; wznosiło się tak wysoko, że uzbrojeni w lornetki Barr & Stroud czindici mogli stamtąd swobodnie obserwować Maulu. Na zachodzie piętrzyło się wzgórze Pagoda. Wcześniej było bazą Japów. Kiedy ich stamtąd wykurzono, zostawili po sobie niewielką świątynię szintoistyczną; stąd nazwa. Na wschodzie znajdowało się wzgórze Glaca, ogołocone z drzew. A na północy, u podnóża Atrapy - to wzgórze wzięło z kolei nazwę od imitacji lądowiska, którą sprokurowano w pobliżu, żeby

iw ten sposób wiązać Japów - płynęła rzeka Bagno.

Nad wodę tłoczyły się muły i kuce, a także ludzie. Wcześniej przyszli tu ze swymi drużynami samandża Show i samandża Grace.

-Nie pijcie tej wody, choćby nie wiem co - ostrzegł Show.

-Dlaczego? - Guntu umierał z pragnienia.

Show wskazał znak ustawiony w widocznym miejscu na brzegu.

-Co tam piszą? - spytał Guntu. Radził sobie z adżami, zapisem języka hausa alfabetem arabskim; uczył się tego w dzieciństwie. O alfabecie łacińskim nie miał pojęcia.

Godiwillin przeczytał na głos:

Uwaga!

Trupy Japów w Bagnie

Wodę bezwzględnie chlorować

Rzeka Bagno nie jest bagnista, wyjawiał samandża Show. Tak ją nazwano, bo lepiej tej wody nie pić.

Guntu odrzekł, że doskonale się obejdzie bez mycia.

-Znajdźcie mi na świecie rzekę bez trupów - szyderczo mruknął Dendża. I skoczył do wody.

Długo nie wypływał; ktoś już nerwowo zażartował, że drużyna D w ciągu jednego dnia traci trzeciego człowieka. Po chwili jednak Dendża wynurzył się, uśmiechnięty od ucha do ucha. Ten rybak po raz pierwszy od bardzo dawna miał okazję porządnie popływać.

wwego popołudnia Guntu przeżył nad rzeką paskudne spotkanie z Japem. Skoro już postanowił, że z powodu tych trupów nie zaryzykuje kąpieli w Bagnie, odszedł parę metrów na bok i przysiadł pod gęsto ulistnionym drzewkiem, żeby zapalić. Zaciągnął się pierwszym, iście niebiańskim dymkiem, oparł

Opień - i przewrócił się na wznak. Kiedy znów usiadł, zobaczył, że drzewko czmycha między zasiekami i znika w dżungli. Podczas tego pośpiesznego odwrotu nastąpiło jednak na minę

lwyłęciało w powietrze, rozerwane na strzępy. Guntu skrócił sjęstę papierosową i uciekł prosto do rzeki, mogło się bowiem okazać, że inne drzewa też mają nogi. Odtąd - aż po ostatnie tchnienie - Guntu nie ufał żadnemu drzewu.

W drodze powrotnej do podziemnych kwater na Obserwatorium żołnierze minęli Fort Reno: wielki wykop pokryty szynami, na których rozłożono worki z piaskiem. Fort Reno był stajnią mułów.

Ledwie wrócili do okopów, ledwie się umościłi z myślą

o zasłużonym odpoczynku, usłyszeli potężny huk dobiegający z okolic Maulu.

-Kryj się! - zakrzyczały megafony.

Wszyscy przypadli twarzami do ziemi; próbowali się stać jak najmniejsi. Przez kilka sekund wydających się wiecznością stabilizowany obrotowo pocisk raketowy z wyciem wspinał się nad dżunglą stromym łukiem, by zaraz potem runąć na nich. Im bliżej, tym wył głośniejsi, gniewniejsi, groźniejsi. Granat moż-

dzierzowy kalibru sześć cali wybuchł gdzieś za nimi, wśród drzew, nieopodal lądowiska dakot. Odłamki rozprysnęły się z taką mocą, że ścięły wierzchołki drzew, jakby przejechała po nich gigantyczna piła. Zaraz potem nadleciał następny pocisk. Potem następny.

„Węglarki”, jak nazywano te ciężkie granaty móździerzowe, uchodziły wśród czinditów za najpotworniejsze w japońskim repertuarze ogniowym. Miały przykry zwyczaj wybuchać, zanim żołnierzy dobiegł przesywający wizg, który wydawały w locie, i bardzo często zanim zdążyli się ukryć.

White City odpowiedziało ogniem baterii szybkostrzelnych, wyposażonych w celowniki peryskopowe dwudziestopięcio- funtówek, zdolnych pięć razy na minutę słać na dwanaście kilometrów stalowy czerep nadziany potężnymi środkami wybuchowymi, gwarantujący rozerwanie człowieka na strzępy.

„Węglarki” i inne mknące z zawrotną prędkością japońskie pociski móździerzowe gwizdały, chichotały, wybuchały to za drużyną D, to przed nią, to na wschód od niej, to na zachód, albo przed nosem żołnierzy, lecz jednocześnie zaczynało ustępować przerażenie, które wcześniej ogarnęło Banana. Rozluźniły się mięśnie klatki piersiowej, dzięki czemu Banan znowu oddychał. Jeśli przyjdzie śmierć, to przyjdzie, pomyślał. Może tylko liczyć na Boga; może Bóg jeszcze nie uzna, że czas na Banana. Do twarzy ludzi w pobliżu przylgnęła ziemia, kamyki

isurowe mięso; bo fruujące w powietrzu drobne szczątki - może ludzi, może mułów czy kuców - z łatwością przelatowały przez prowizoryczny dach i padały na żołnierzy.

Ramię Godiwillina rozciął zbłąkany kawałek żelaza, odłamek japońskiego pocisku moździerzowego, wielkości kuli kalibru .38, który przeszedł przez ciało jak brzytwa, a potem wbił się w okop nad głową Godiwillina i zniknął w ziemi.

Natomiast Bloken, którego wiary w wiszące na szyi amulety nic nie zachwiało, zachowywał kamienny spokój. W pewnej chwili, najbardziej przerażającej podczas tego bombardowania, pociski padały po dwa, trzy, a nawet cztery. Ku zdumieniu wszystkich Bloken wybrał sobie ten właśnie moment na wystawienie głowy nad przedpiersie. Potem z zimną krwią zaczął malowniczo opisywać armagedon nad ich głowami. Dopiero Damisa zdołał Blokena zapędzić do kryjówki, grożąc, że go wypchnie z okopu.

Podczas chwilowej przerwy w ostrzeliwaniu Damisa obejrzał ranę Godiwillina. Nie była tak groźna, jak się wydawało w pierwszej chwili.

-Ale tutaj, Will, niewiele brakowało. - Guntu wyciągnął ze ściany odłamek. - Ktoś się o ciebie upominał.

-Urodziłem się w Onitszy 6 kwietnia 1925 roku. - Godiwil- lin patrzył przed siebie wzrokiem znużonym i obojętnym. - Tydzień później ochrzczono mnie w katedrze Świętej Trójcy. Zo stałem ochrzczony jako Godwilling Lucky Nnamdi. Na drugie imię mam Lucky, szczęśny. Dzisiaj skończyłem dziewiętnaście lat. Nie umrę we własne urodziny.

Pocisk moździerzowy padł zaledwie o metry od ich kryjówki. Bananowi wnętrności podeszły do gardła, pod sam mózg.

By uczcić urodziny Godiwillina, Bloken zapalił papierosa i puścił w obieg. Nawet Banan, który nigdy jeszcze nie miał w ustach papierosa, zaciągnął się z wdzięcznością. Potem wszyscy zwrócili się do solenizanta.

-Wszystkiego najlepszego, Will - powiedział Damisa.

-Wszystkiego najlepszego, Will - powiedział Bloken.

-Wszystkiego najlepszego, Will - powiedział Dendza.

-Wszystkiego najlepszego, Will - powiedział Guntu.

Nadeszła kolej na Banana. Ale jego życzenie wszystkiego najlepszego zagłuszył następny wybuch.

Jadowita wymiana ognia, ciężkich pocisków brytyjskich i japońskich, trwała bez ustanku ponad godzinę. A potem, kiedy się zdawało, że jest po wszystkim, i ludzie zaczęli wychodzić z okopów, zawyły syreny i znowu zanurkowali do swych nor.

Nad bazą pojawiło się sześć mitsubishi zero, bazujących na lotniskowcach rumaków bojowych japońskiej cesarskiej marynarki wojennej. Nadlatywały w idealnym szyku, łyskając czerwonymi znakami na skrzydłach. Jedno za drugim kolejno zrzucały bomby. Linia upadku zaczynała się koło Obserwatorium, ciągnęła przez Glacę, obok Fortu Reno, przez Atrapę i kończyła nad Bagnem. Wybuchom padających bomb towarzyszyło tępe ra-ta-ta-ta wymierzonych w ziemię średnich karabinów maszynowych w skrzydłach i osłonach silników.

Natychmiast odezwały się trzy automatyczne działa Boforsa. Ich obsady celowały lepiej niż piloci zer. Trzy samoloty zatrzęsy się, trafione. Żadna japońska bomba nie spadła bezpośrednio na schron ani okop, lecz zera całkowicie zniszczyły jedną z dakot na lądowisku. W pobliżu Atrapy, w miejscu, w którym rozciągały się zwoje drutu kolczastego, powstał lej głębokości wanny i długości basenu pływackiego.

Zera budziły respekt, ale nie odmieniły losów White City, nie zostawiły też zbyt trwałych śladów w topografii. Saperom wystarczył zwój drutu kolczastego i dziesięć minut, żeby zamknąć wyrwę po bombach. Podczas trwającego sekundy nalotu z wysokości czubków drzew zera zdołały zabić tylko dwóch ludzi

itrzy muły, okaleczyć paru żołnierzy, paru innych tak nastraszyć, że zapragnęły ukryć się z powrotem w macicach matek, wpełznąć tam i już nigdy nie wyściubiać nosa na świat; jeszcze innym zera odebrały ochotę do oglądania wszelkich wojen, paru zaś ludzi nalot tak rozwścieczył, że dla nich istnienie - może nieświadomie - sprowadzało się już tylko do tego, żeby zabijać lub dać się przy tym zabić.

Po odlocie myśliwców nastąpiła cisza, długo przerywana krzykami umierających i rannych. Zbliżał się zmierzch. Wkrótce miały zapaść gęste jak smoła ciemności, a wraz z nimi - jeżeli nie zmienili zwyczaju - mieli się zjawić Japończycy.

Damisa radził ludziom, żeby wykorzystali przerwę i przespali się choćby przez chwilę. Dla wszystkich z wyjątkiem Blokena - który nie rozstawał się z amuletami i zdaniem Guntu zamiast mózgiem myślał tymi amuletami - był to najbardziej przerażający dzień w życiu. Nawet Damisa, który już to wszystko widział, musiał przyznać, że podczas kampanii wschodnioafrykańskiej nic go nie przygotowało na taką grozę.

Wszyscy z wdzięcznością myśleli o okopach. W strasznym miejscu nazywanym Birmą ludzie ukryci w śmierdzącej dziurze w ziemi, na isticie trumiennym postaniu, czuli się jak w pałacu.

Zamknąwszy oczy, Banan wyciągnął się na płachcie polowej. Nie czuł się

może jak księżę, niemniej cieszył się myślą, że żyje. Parę minut później wyrwał go ze snu i postawił na równe nogi głośny wybuch w dżungli, gdzieś za nim. Nazajutrz rano natrafiono tam na martwego Japa; w drobnym ciele o wąskich ramionach i krótkich nóżkach ziała wyrwa od lewej stopy po tył głowy.

-Ja też nie mogę spać - rozległ się w ciemności głos Dami- sy. - Napijesz się herbaty? Zagotowałem wodę.

-Chętnie, samandza - odrzekł Banan. Sięgnął do chlebaka po blaszany kubek i po omacku przekradł się do samandzi pod ścianą, nad paroma chrapiącymi ciałami. Przepelniony wdzięcznością, siedząc przy Damisie i popijając herbatę, zauważył w ręku samandzi nadpalony hełm z zasadzki.

-Nie chce pan tego pochować? - spytał.

-Nie - odrzekł Damisa. I dodał: - To nie hełm Dogo. Kiedy podniosłem ten hełm i przyjrzałem mu się po raz drugi, zobaczyłem odbłask słońca. To nie hełm Dogo. Słońce nie odbijało się od hełmu Dogo. Trzymam go tylko na pamiątkę zasadzki i dnia, w którym Dogo zginął.

-Długo pan go znał?

-Dogo? Poznaliśmy się w pierwszym dniu pracy, jako praktykanci u kata w więzieniu Urzędu Krajowego w Sokoto. To było w roku 1930, w którym się urodziłeś. Dogo miał wtedy jedenaście lat. A ja rok więcej.

Obaj chłopcy byli *al-Madžirai* - uczniami szkół *allo*, zrujnowanych medres pod gołym niebem, gdzie posyłała dzieci ..biedota, żeby uczyły się na pamięć Koranu. Uczniowie, często liczeni na setki, żyli w brudzie i nędzy w domu, który zapewnił im malam - imam sprawujący władzę za pomocą bykowca. W zamian za utrzymanie i naukę uczniowie ruszali w małych grupkach między wiernych żebrac: dla siebie o jedzenie, dla mistrza o pieniądze.

-Czystym przypadkiem - opowiadał Damisa - mój malam i malam Dogo doszli tego samego dnia do tego samego wniosku: że nasze zdolności żebracze pozostawiają wiele do życzenia. To, co przynosiliśmy, Dogo czyja, wcale nie świadczyło, że warto nas dalej utrzymywać. I obaj malamowie wpadli na pomysł, żeby wysłać nas do pracy u kata, który rozpuścił wiadomość, że potrzebuje pomocników. Nie wiedzieliśmy, ani Dogo, ani ja, nie wiedział nawet kat, że rozpoczynamy praktykę w dniu, w którym w Sokoto dokonana zostanie ostatnia publiczna egzekucja. Trzech mężczyzn, skazanych za morderstwo przez sąd sułtański, wyprowadzono z więzienia na plac targowy i wystawiono na widok publiczny, zanim spotkali się z przeznaczeniem.

Egzekucja polegała na ścięciu mieczem. Zmuszano skazanego, żeby z rękami związanymi na plecach uklęknął i wyprostował kark. Zazwyczaj, kiedy ścinano tylko jednego, pomocnicy kata odwracali uwagę skazańca:

przechadzali się przed nim, dobywając miecza, tymczasem kat podchodził z tyłu i ścinał go, kiedy wpatrywał się on w miecz przed sobą. Tym razem skazańców było jednak trzech i ta metoda była do niczego. Musieli uklęknąć rzędem i czekać na swoją kolej. Byli młodzi. Najstarszy miał najwyżej trzydziestkę. Nie okazali jednak ani śladu strachu. Po prostu patrzyli przed siebie i spokojnie czekali. Nasz kat był mężczyzną potężnej budowy. Nagi do pasa, trzymał miecz oburącz. Do pierwszego podszedł z boku i odrąbał mu głowę jednym cięciem. Tłum jęknął, lecz dwaj klęczący wciąż obojętnie czekali. Kat podszedł do drugiego i znów jedynym cięciem odciął mu głowę. Tłum znowu cicho jęknął, a trzeci skazaniec klęczał nieporuszony. Kat podszedł, miecz błysnął i opadł znowu, ale tym razem chybił i głównia, zamiast w kark, uderzyła między ramię a plecy. Kat wyszarpnął miecz, trysnęła krew, tłum wstrzymał oddech, ale skazaniec nie okazał strachu ani nie dał po sobie poznać bólu. Obrócił się i zmierzył kata spojrzeniem od stóp do głów. „Dlaczego? - powiedział z wyrzutem. - Chyba potrafisz to zrobić lepiej”. Szczerze przejęty kat przeprosił. Za drugim razem już nie chybił. I tego dnia poznałem Dogo. Szybko staliśmy się przyjaciółmi. Po paru latach tak bliskimi, że obaj ożeniliśmy się tego samego dnia. Moja pierworodna córka i jego pierworodny syn urodzili się w odstępie paru dni. Jednego dnia wstąpiliśmy do wojska. Nie zdziwiłbym się, gdyby Bóg zechciał, żebyśmy też umarli jednego...

Ostatnie słowo zagłuszył potężny wybuch, który zatrzęsł wzgórzem Obserwatorium. Wrócili Japończycy i na początek uderzyli od południa. Śpiący żołnierze drużyny D zerwali się, sięgnęli po pistolety maszynowe i napełnili kieszenie granatami. Stanęli u przedpiersia ze stenami i ostrożnie starali się zorientować w sytuacji. Z początku nie widzieli nic poza oszalałymi konstelacją wzlatujących rozżarzonych odłamków i wybuchów pocisków artyleryjskich. Nad dżunglą śmignęły dwa zera, zrzucając bomby kilkaset metrów przed granicą bazy; wybuchy zainicjowały eksplozję setek min starannie założonych na podejściu.

Po kilku minutach z dżungli wynurzyło się około pięćdziesięciu postaci, które z krzykiem rzuciły się na zasieki. Japończycy byli uzbrojeni w „torpedy bangalorskie”, rurowe ładunki wydłużone, które rzucali na zasieki, żeby zrobić w nich przejścia i zdetonować miny. Ginęli natychmiast, zabici przez własne ładunki lub w powitalnej ulewie pocisków z bazy. Ta nowinka taktyczna była dziełem tych samych strategów, którzy wymyślili kamikadze. Samobójcza misja samobójczych grup z „torpedami bangalorskimi” powiodła się: w zasiekach powstała spora • wyrwa, z dżungli wypadły setki Japów - poprzedzone tuzinem nadlatujących „węglarek”, które przygwoździły

obrońców do okopów - i wlały się do bazy, strzelając na wszystkie strony i rzucając granaty.

Trzydzieści vickersów, z których jeden obsługiwał samandża Show z ludźmi ze swojej drużyny, a także tysiące stenów, broni i granatów obronnych złożyło się na zabójczą nawałnicę, która skosiła Japów; ocaleli rzucili się z powrotem do dżungli. Wielu wypatrzyła drużyna D i bez trudu dobrała im się do skóry. Banan wymierzył w Japę mniej więcej własnej postury, by naszpikować mu ołowiem plecy i głowę. Chłopak wpatrywał się w męczycznę, który padł jak kłoda i umarł.

Powietrze wypełnił zapach kordytu.

Ciemności nad dżunglą wokół White City rozproszyły wystrzelone z moździerzy setki flar na spadochronach. Każda płonęła przez parę minut z jasnością dziesiątków tysięcy świec; noc przemieniła się nagle w dzień i na wszystko co się rusza runęła nawała ognia broni strzeleckiej i artylerii. Guntu najwięcej uwagi poświęcał drzewom choćby trochę podobnym do człowieka. Tej nocy ciężko ranił dwóch Japów i zastrzelił dziesięć drzew.

Z bazy Broadway nadleciały z pomocą dwa amerykańskie P-51 *Mustang*. Z dużej wysokości raz po raz ostrzeliwały pozycje nieprzyjaciela. Właśnie wracały z nalotu na lotniska Japów, podczas którego unicestwiły dziesięć zer. Mustangom zostało z tego zadania parę bomb odłamkowo-burzących. Przed powrotem do bazy - jako *sajonara* - zrzuciły je na Japów, zmiatając ich setkami z powierzchni ziemi i orząc w dżungli dziurę mogącą się równać z kraterem meteorytowym.

To uspokoiło Japów niemal na godzinę. Ale wrócili. Tym razem zespół samobójców z ładunkami wydłużonymi rzucił się na druty w pobliżu Bagna i otworzył w nich przejście. Japy znowu zostali energicznie odparci i znowu musieli uciekać do dżungli. Tej nocy wracali jeszcze dwa razy, atakując jednocześnie przez oba wyłomy: koło Obserwatorium i nad Bagnem. White City broniło się gorączkowo, wręcz histerycznie, napastników potraktowano ogniem siedmiu baterii przeciwlotniczych boforsów. Jakiś pechowy zero, który miał bombami oczyścić podnóże Pagody z min przeciwpiechotnych, nadział się na ogień niemal pięćdziesięciu boforsów, szczerzących jak jeden. Zero eksplodował i runął w dżunglę jakieś pięćset metrów przed bazą. Rozleciał się na strzępy, największa część tej maszyny o perkatym nosie znaleziona rano nie była większa od książki. Załoga najdosłowniej wyparowała.

Wreszcie tuż przed świtem Japy dali za wygraną i wrócili do garnizonu w Maulu. Ale wybuchy nie ucichły. Dzień wcześniej wysunięte pododdziały przygotowały przemyślną sieć zasadzek na wracających do bazy,

zmordowanych japońskich sodża. W promieniu dwóch kilometrów od White City gęsto poukrywano bardzo przykre niespodzianki dla ludzi generała Tojo.

Tej nocy zginęło piętnastu czinditów. I blisko trzystu japońskich sodża.

Jeśli wcześniej woda Bagna uchodziła za niezdatną do picia, to teraz rzeką mogły się nacieszyć tylko sępy. Jak okiem sięgnąć nurt niósł setki wzdętych japońskich trupów: część kolumny, która wdarła się do White City nieopodal Atrapy. Przed ogłoszeniem, że wyłom zamknięto i teren bazy jest znów niedostępny, nie dało się uniknąć brudnej roboty: brodzenia i obszukiwania sinych, pokiereszowanych zwłok, przy których mogły się znajdować materiały cenne dla wywiadu.

Do tego nieprzyjemnego zadania wyznaczono grupę, w której znalazła się też drużyna samandzi Gracea. W maskach, w grubych gumowych rękawicach pechowi sodża skrupulatnie zabrali się do dzieła. Zajęło im ono pół dnia, ale zdobyli dzięki temu istne skarby: mapy, listy i depesze, zapewne nigdy nie wysłane, w których miejscowy japoński dowódca błagał przełożonych o posiłki.

Wczesnym popołudniem, kiedy drużyna D mocowała ostatnie zwoje drutu kolczastego, zamykając wyłom pod Obserwatorium, przez radio i telefony wezwano samandzię Gracewor-thyego Zumę, żeby bezzwłocznie zameldował się w dowództwie brygady. Jak dotąd samandża się tam nie zjawił i jeszcze tego popołudnia uznano go za zaginionego, wraz z dwoma innymi Nigeryjczykami - kofurem i farabitim - którzy wyszli z nim na akcję.

Guntu natychmiast oświadczył, że tych ludzi uprowadziły drzewa. Pomaszerował prosto do kiałtina Gillafskiego, przed któ-

rym rozwinął swoje przypuszczenia. W ciągu ostatnich trzech dni Gillafskie przespał niespełna dwie godziny; teraz, spokojnie spoglądając na Guntu, spytał, czy w ubiegłym tygodniu farabiti nie zapomniał zażyć przewidzianej dawki mepakryny. Guntu zgodnie z prawdą odrzekł, że nie zapomniał. Potem Gillafskie zapytał, czy Guntu ma skłonność do alkwanu. Grzecznie, lecz nie bez irytacji Guntu odparł, że czasem zdarza mu się napić i nie odczuwa przykrości z tego powodu, niemniej alkwanu nie brał do ust od nocy, w której z Indii wyruszyli do White City. Gillafskie wyjaśnił, że niczego mu nie zarzuca, o nic nie oskarża; chciał tylko zaproponować drinka. Kiałtin wyciągnął z plecaka wciąż pełną do połowy butelkę johnniego walkera. Nalał do dwóch szklanek po porcji mocnego szkockiego alkwanu, dla siebie i dla Guntu. Wypili nawzajem swe zdrowie, następnie Gillafskie kazał się farabitemu odmeldować i trochę się przespać, bo nocą pewnie znowu się zjawią Japy.

Zanim po zmierzchu wrócili Japończycy, zamknięto wszystkie wyłomy z ubiegłej nocy, ranni czindici zostali ewakuowani, zabici pochowani,

uszkodzone schrony naprawiono, a miny i pułapki rozmieszczono na nowo.

Wcześniej pewien wypadek sprawił, że Bloken, który z grupą Gurkhów zakładał miny przeciwpiechotne, jeszcze bardziej umocnił się w wierze w amulety; chroniły go nie tylko przed potwornościami zgotowanymi przez nieprzyjaciół, lecz i przed ogniem swoich.

Do wypadku doszło niedaleko Pagody. Jeden z saperów, zapewne przemęczony, zawadził nogą o drut odciążowy zapalnika zastawianej właśnie miny pułapki. Wybuch urwał prawą stopę żołnierzowi zamykającemu grupę saperską, idącemu tuż za Blokenem. Pozostali, szczęśliwym trafem nietknięci, nic nie mogli na to poradzić. Wybuch zdetonował kolejną minę, umieszczoną za blisko pierwszej, i nagle Bloken przekonał się, że stoi sam pośrodku pola minowego, a wkoło wybuchają ładunki przeciwpiechotne, on zaś wciąż jest cały. Uratowała go absolutna pogarda dla tych głupich małych demonów, które mają czelność wybuchać, kiedy wciąż stoi wśród nich on, niezwyknięty Jelo-me „Bloken Bottles” Yahimba. Aby nędznym bombom, głupim granatom i idiotycznym ładunkom rozpryskowym okazać swe niezadowolenie, Bloken stał jak wryty i wyniośle piorunował je wzrokiem. Ocalał, bo się nie ruszył.

Później, kiedy opowiadał o wypadku swej drużynie D, nawet Guntu, bardziej niż ktokolwiek zirytowany wczorajszą Blokenową błazenadą, spoglądał na niego z jakimś odkrywczym podziwem. To pierwszy wypadek, o jakim słyszę, zauważył Guntu, że człowieka ratuje od śmierci kompletna, czysta głupota. Powiedział to z uznaniem. Mówił bez żadnej ironii, jakby głupota była nową religią, którą on, Guntu, rozpaczliwie pragnie wyznawać. Zwłaszcza teraz, kiedy się okazuje, że drzewa nie tylko chodzą, ale i porywają ludzi.

Podobnie jak inni żołnierze drużyny D, Guntu zjawiał się w Birmie chroniony od stóp do głów przez potężne amulety. Nosił je wokół kostki, a były to fragmenty Świętego Koranu zamknięte w nanizanych na nić paciorkach. Guntu nie wiedział, co sądzić o tym, że barbarzyńskie amulety Blokena - całkowicie bezużyteczne, o czym wie każde dziecko - mogą komuś zapewnić tak beztroską wiarę w siebie. Jeden z amuletów Guntu zawierał wszystkie dziewięćdziesiąt tajemnych imion Boga, mimo to Japy za plecami Guntu wciąż przemieniali się w drzewa. Przejmował się tym nie na żarty.

Guntu wszędzie widział strachy. Wpadał w panikę. Tego popołudnia niewiele brakowało, a byłby się zabił z przerażenia. To niebyła próba samobójcza, lecz przypadek pomylenia tożsamości. Stało się to tuż po tym, jak Guntu pożegnał się z Gillafsiem i wyszedł z ziemianki kiaftina. Znakomita whisky rozgrzała mu wnętrzności i zachęciła do oddania powinności naturze w

jednej z latryn, w dole wykopanym na obrzeżach bazy. Skończył i właśnie wracał do okopu, kiedy z drzewa, pod którym przechodził, ktoś próbował się na niego rzucić. Guntu przypadł do ziemi i sięgnął do kieszeni, a pierwszą rzeczą, która mu wpadła w rękę, był granat odłamkowy. Guntu wyciągnął zawleczkę, rzucił granat w stronę prześladowcy i padł, żeby przeczekać wybuch. Po minucie zerwał się na nogi i zaczął przeczesać zarośla w poszukiwaniu szczątków napastnika, którego zabił przed chwilą w samoobronie. Nic jednak nie znalazł, z wyjątkiem śladów po odłamkach. Prócz Guntu nie było nikogo. Tak myślał, dopóki szósty zmysł nie kazał się mu odwrócić. Odwrócił się więc i zobaczył, że prześladowca właśnie próbuje się ukryć. Guntu sięgnął po służbowy pistolet i parokrotnie wypalił w Japa. Czindici, których ściągnął wybuch granatu, odstępili, czekając, aż opróżni magazynek, po czym rzucili się na niego i obezwładnili. Kiedy sanitariusze w punkcie opatrunkowym pytali, dlaczego próbował zastrzelić własny cień, Guntu spojrział na nich jak na wariatów. Po co, na Boga, miałby robić coś takiego, zapytał. Delikatnie zwrócili mu uwagę, że przyłapano go na strzelaniu do własnego cienia.

-Ja nie strzelałem do własnego cienia - wyjaśnił. - Chciałem zastrzelić Japa, który się zamienił w mój cień.

-Naprawdę? - pytali sanitariusze.

-Naprawdę - odrzekł Guntu. - Wczoraj widziałem na własne oczy, jak drzewko nagle zamieniło się w Japa. Co mam począć, skoro te Japy wciąż się zamieniają we wszystko, co chcecie? Muszę się bronić, uważać na siebie. Nie mam ochoty skończyć jak nieszczęsny samandża Grace i ci dwaj chłopcy, których dziś rano porwały Japy, pewnie przebrane za drzewa, a może za cienie.

Sanitariusze szybko zbadali Guntu i ocenili, że cieszy się on wyjątkowa dobrym zdrowiem. Wynnioskowali, że trzymają się go żarty bądź - co też możliwe - udaje pomyleńca, bo liczy, że uznają go za niezdolnego do służby i odesłają do Indii. Zastryk-nęli mu w ramię placebo, rzekomo na nerwy, i wyprawili z powrotem na Obserwatorium.

Jeżeli chodzi o stan ducha, to zastryk działał cuda, niemniej Guntu ani nie żartował, ani szukał pretekstu, by odesłano go do Indii. Dobrze widział tego Japa i to, jak sukinsyn zaszył się w jego cień. Guntu dopiero wtedy odzyskał cień, kiedy nafa- szerował go ołowiem. Podejrzewał, że Jap wkradł się w cień, kiedy właściciel cienia składał daninę naturze. Odtąd przez resztę swych dni Guntu nocami srywał tylko w miejscach odległych od źródła światła, za dnia zaś jedynie wówczas, kiedy mógł swój cień mieć na oku.

Bloken uznał, że Guntu postradał rozum. Jak to inaczej wytłumaczyć? Ten

kurdupel ma Blokena za głupca, ponieważ Bloken jest niepokonany. Szepnął coś o tym Damisie, bo nie chciał wszczynać kłótni. Damisa odrzekł, że dopóki Guntu nie zacznie *wyc* jak wściekły pies, pośpieszne wnioskowanie o jego zdrowiu umysłowym jest nierozważne. Nie powie, czy Bloken jest głupi, czy niezniszczalny, czy jedno i drugie. Ale przyrzeka przyłożyć mu kolbą karabinu, jeżeli Bloken jeszcze raz zrobi z siebie takie widowisko jak wczoraj. Sodża niezniszczalny jest dużo bardziej pożyteczny niż nieżywy, zapewnił Damisa.

Dendża uważał za świństwo ze strony Japończyków, że tak tłumnie dali się pozabijać akurat w Bagnie. Dendża z utęsknieniem czekał na codzienną kąpiel, jedyny luksus, na jaki może liczyć w White City, a teraz tę niewymyślną w końcu przyjemność odebrały mu wzdęte trupy. To po prostu nieładnie.

Banan powiedział, że *we śnie* objawił mu się Kingi Dżodzi i powiedział, że wojna się skończyła. Kingi Dżodzi wyglądał jak Dżenar, ale ubrany był w powłóczystą szatę emira Zarii. Banan bardzo się rozczarował, kiedy po przebudzeniu wyszło na jaw, że Kingi Dżodzi go okłamał. Z iskierką w oku Dendża pocieszył Banana, że i on snił właściwie ten sam sen. Z tym, że *we śnie* Dendży to emir Zarii powiedział, że wojna się skończyła. Emir ubrany był w powłóczystą szatę Kingi Dżodzi. Po przebudzeniu Dendża też poczuł zawód, że emir go okłamał. Opowiadając to, Dendża się roześmiał, czym niezmiernie rozzłościł Banana. Co się takiego dzieje ze światem, krzyknął Banan, że już nie można wierzyć królom ani emirom?!

Godiwillin, który nie mógł zasnąć, bo wczoraj omal nie zginął w dniu swych urodzin, poprosił, żeby wreszcie przestali hałasować.

Nocą znowu runęły na bazę „węglarki”; tak wściekle, że chwilami wprawiało to w zdumienie dowództwo. Potem włączyły się zera. A zaraz po nich, w dwóch odrębnych grupach, pojawiły się samobójcze zespoły z „torpedami bangalorskimi”. Pierwszy rzucił się na zasieki nad Bagnem; zrobienie wyłomu przypłaciło życiem pięćdziesięciu Japończyków. Kiedy brytyjskie lufy skierowane były rój Japów wlewających się jak woda, przez dziurę ziejącą w zasiekach w północnym sektorze bazy, druga grupa samobójców rzuciła się na nie o pięćset metrów dalej, u podnóża Głacy. Zrobiła ogromną wyrwę, przez którą wjechały - ni mniej, ni więcej - dwa lekkie czołgi o wieżach zionących ogniem na wszystkie strony. W niespełna pięć minut zabiły one w White City więcej czinditów, niż Japończycy zdołali zabić od początku oblężenia. Wtargnięcie czołgów mogło rozwścieczyć podwójnie, były to bowiem czołgi brytyjskie, które Japy zdobyły przed dwoma laty, kiedy to niezwyciężona armia japońska ścigała Brytyjczyków po całej Birmie. Maszyny musiały się w końcu wycofać pod zaporowym ogniem broni

przeciwpancernej. Walki toczyły się przez całą noc, ustały dopiero przed świtem.

Kolejnej nocy czołgi wróciły, tym razem jednak baza była przygotowana. Podczas dziennej przerwy w walkach saperzy wyszli na zwiad na wszelkie prawdopodobne podejścia czołgowe wokół bazy i starannie podłożyli w pobliżu zapór trochę potężnych min wybuchających pod dużym naciskiem.

Okrągłą minę przeciwczołgową w stalowym pancerzu, która nie mogła wybuchnąć pod stopą nawet najcięższego człowieka, uzbrajał obrotowy przełącznik osadzony na szczycie cylindrycznego żelaznego zapalnika, powiązany za pośrednictwem miedzianej osłony z płytą naciskową. Kiedy czołg wtaczał się na minę, dociskał płytę do osadzonej tuż pod nią iglicy. Iglica uderzała tkwiący jeszcze niżej detonator, ten odpalał tak zwany łącznik ogniowy zapalnika, co przypominało strzał prosto w beczkę prochu i powodowało wybuch ładunku głównego. W przeciwieństwie do przeciwpiechotnych kuzynek, często projektowanych tak, by się rozpadły na tysiące odłamków, przeciwczołgowy potwór walił w jeden punkt, przepalał pancerz, wdzierał się do celu i rozrywał go na milion frunących na wszystkie strony kowalskich młotów. Te podziemne bomby ukryte wokół całej bazy stanowiły ekipę powitalną czekającą na wizytę czołgów najbliższego wieczora.

Przeciwlotnicze buldogi z White City przez cały dzień odstraszały japońskie maszyny od nieba nad bazą i pilnowały, żeby wszechobecne zera nie rozprawiły się z minami metodą toporną, ale skuteczną, czyli bombardowaniem pól minowych z dużej wysokości. Mimo woli przyniosło to ten korzystny skutek, że Japy - za cenę życia dziesiątków swoich żołnierzy - zostały zmuszone do usuwania min przeciwpiechotnych ulokowanych daleko, w bezpiecznej odległości od przeciwczołgowych: słowem, jedne zastępy samobójcze torowały drogę następnym. Dzięki temu zespoły przeciwpancerne czinditów wyposażone w piaty doskonale wiedziały, gdzie się kierować, którędy wtoczą się czołgi, kiedy idące przodem oddziały samobójcze wylecą w powietrze.

Natychmiast po tym, jak pierwszy czołg najechał na swą nemezis i został rozerwany na strzępy, dziesiątki pocisków przeciwpancernych przecięły nocne niebo i runęły na drugą maszynę. Widok tego, co zostało z czołgów i ich załóg po ostrzelaniu piatami, nie był sielanką. Ale cóż, toczyła się wojna. Kiedy w drżącym świetle flar na spadochronach ukazały się upiorne czołgowe wraki, wielki wrzask radości z White City doleciał aż do Maulu.

Baza atakowana była tak od tygodni, noc w noc, od zmierzchu do świtu

Tydzień po zniknięciu samandzi Gracea wraz z kofurem i fa-rabitem w White City odebrano sygnał, który mógł naprowadzić na trop zaginionych

sodża. Stało się to około drugiej nad ranem. Grupy samobójcze przedarły się już do bazy i pomaszerowały dalej w słodkie zaświaty; artyleria przeciwlotnicza strąciła z nieba kolejnego zero, a nieco wcześniej pewien laftana z Pułku Leicester nagle upadł i zmarł bez widocznego powodu. Uważne oględziny zwłok ujawniły potem, że ma w żołądku pocisk, który wdarł się tam od strony ujścia przewodu pokarmowego.

Innymi słowy, była to w White City jeszcze jedna noc jak inne; martwi byli już martwi, żywi natomiast albo ranni, albo w dobrym stanie, jeśli nie liczyć rozpaczliwej potrzeby snu i jakiegoś przyzwoitego, ugotowanego po ludzku jedzenia.

Właśnie energicznie odparto główny atak. Poturbowanym Japonom odechciało się wszystkiego i ludzie z drużyny D mieli już nadzieję, że zasną wcześniej, kiedy nagle z dżungli dobiegło wołanie.

-Czarny człowieku! - ktoś krzyczał. - Biały nie jest twoim przyjacielem! Biały jest twoim ciemieżcą! Dlaczego masz umierać za białego człowieka?! Zostaw go! Zostaw go zaraz! Niech sam toczy swoją wojnę.

Obelgi Japów nie były niczym nadzwyczajnym w White City. Obrzucali nimi obrońców mniej więcej co drugiej nocy, oni zaś odpowiadali im językiem równie dosadnym. Ale tej nocy żołnierzy drużyny D zdumiało, że Japy nie wydzierają się do nich

po angielsku, tylko w nieskazitelnym, wyzbytym śladu obcego akcentu czy wahań języku hausa.

Kiedy początkowy szok minął, pierwszy do odpowiedzi zgłosił się Dendża.

-*Uwar ka!* - wrzasnął. Twoja matka. W ślad za tekstem poleciał granat obronny Millsa.

Po paru sekundach z japońskiej strony odpowiedział ten sam głos.

-*Uban ka!* - krzyknął Jap. Twój ojciec. Zaraz potem nadleciał granat zaczepny zwany kiska. Upadł i eksplodował o wiele za daleko, żeby wyrządzić komuś szkodę.

-*Buran uban ka!* - zawołał Guntu. Penis twojego ojca. Potem cisnął millsa za druty.

-*Durin uwar ka!* - odpowiedział Jap. Wagina twojej matki. Za tekstem pofrunął kiska.

-*Na ci uwar ka!* - odezwał się Banan. Jebałem twoją matkę. I rzucił millsa.

-*Uban ka dan Daudu ne!* - odpowiedział Jap. Twój ojciec to babski pedzio. I w stronę bazy pofrunął granat kiska.

-*Uwar ka kifî ce!* - ryknął Bloken. Twoja matka to lesba. I rzucił millsa.

-*Bakin kuturu!* - rozdarł się Jap. Czarny trędowaty. Co wstrząsnęło Blokenem i tak rozwścieczyło, że trzeba go było trzymać, żeby nie wyskoczył z okopu i

nie pogonił za Japem.

-*Haba jaki!* - wrzasnął Banan do Japa. - *Ai kai ma ka wu ce gona da ri.* - Teraz już przesadziłeś, dupo jedna.

-Kurwa jego mać - wymamrotał Bloken. - Matkojebca.

-I starczy tego dobrego - powiedział Damisa żołnierzom.

Samandża Show i kiaftin Gillafsie, którzy przysłuchiwali się tej soczystej wymianie zdań, podczołgali się ze swego okopu do drużyny D.

-Zaginęło trzech moich braci! - krzyknął Damisa do Japa. - Są tam przy tobie?!

-Co rai po tobie czy twoich braciach?! - odpowiedział głos z dżungli. - Żaden z ciebie pożytek, z żywego czy umarłego!

-Ci żołnierze to dobrzy ludzie! - ryknął Damisa. - W imię Boga proszę cię, powiedz, czy żyją!

-Wszystkie winy składa się u drzwi hieny! - odkrzyknął Jap. - Ale hiena nie ukradła worka bawełny! Ja nie kradnę ludzi, tylko zabijam!

-To znane przysłowie! - włączył się Gillafsie. - Gdzie się tak dobrze nauczyłeś hausa?!

-Nie do ciebie mówiłem, biały sukinsynu! - odkrzyknął Jap po angielsku i zakończył rozmowę gradem kiska.

Już nigdy nie usłyszeli Japończyka mówiącego w hausa. A los samandżi Grace a na zawsze pozostał tajemnicą.

Guntu oświadczył, że samandżę Gracea porwano. Uprawdzili go Japończycy przebrani za drzewa.

-Za cienie, chciałeś powiedzieć - zarechotał Bloken.

Trudno i darmo, Banan musiał wesprzeć Guntu.

-Samandża Grace musi być w rękach niewiernych - powiedział. - Któż mógł tych barbarzyńców nauczyć hausa?

Damisa przecząco pokręcił głową.

-Ten człowiek nie mógł się tak dobrze nauczyć mówić w tydzień - powiedział.

- A na pewno nie mógł się nauczyć hausa od Gracea. Chyba że jest czarownikiem, skoro mówi lepiej od nauczyciela. Grace aż tak dobrze nie mówi w hausa.

Grace, ze szczepu Gwari, często miał kłopoty z akcentem.

-A skąd ona wiedziała, że tu są sodża Hausa? - spytał Go- diwillin, któremu w hausa zdarzało się mylić zaimki. Kobieta, którą tu wspomniał, była japskim sodżą; głos żadną miarą nie mógł uchodzić za damski.

-Japy mogły jakoś podsłuchać naszą łączność - powiedział kiaftin. - W Londynie jest wielka szkoła, gdzie uczą wielu języków z całego świata; nazywa się Szkoła Studiów Orientalnych. Uczy w niej ten szechu, który napisał

pierwszy hausanski kamus.

I pewnie Jap tam się nauczył hausa. W Anglii przed wojną studiowało wielu Japończyków.

Banan wiedział, kto to jest shehu. Był to bardzo mądry ma- lam, który czytał mnóstwo, ale to mnóstwo książek. Banan nie wiedział jednak, co to jest kamus. Spytał więc Dendzę.

-Kamus - odrzekł Dendża - to wielka księga, która tłumaczy, co znaczą słowa.

-Po co książka, która tłumaczy słowa? Nie można kogoś zapytać?

-Kiedy jest taka książka, już nie musisz nikogo pytać.

-Ja lubię pogadać z ludźmi.

-No dobrze, ale przypuścimy, że ten, kogo pytasz, też nie wie.

-To zapytam kogo innego.

-W takim razie kamus nie jest dla ciebie, trudno.

-A jak to działa?

f - Kamus? Zwyczajnie. Na przykład, żeby się dowiedzieć, co znaczy „kamus”, po prostu zaglądasz pod literę k.

-Ale dlaczego? - Banan wydawał się zdezorientowany.

-Bo gdybyś zajrzał pod literę j albo literę l - cierpliwie wyjaśniał Dendża - nie znalazłbyś tam słowa „kamus”.

-Dlaczego bym nie znalazł? - spytał Banan.

-Bo „kamus” zaczyna się od litery k - wyjaśniał trochę już poirytowany Dendża.

-A co z „shehu”?

-,„Shehu” zaczyna się od sz. - W hausa dwudziesta trzecia litera to sz. - Żeby się dowiedzieć, co znaczy „shehu”, zaglądasz pod literę sz.

-Ja wiem, kto to jest shehu - powiedział Banan.

-No cóż - odrzekł Dendża - niepotrzebny ci kamus.

Kiedy Dendża i Banan niegłośno gwarzyli, rozmowa pozostałych zesła z samandzi Gracea i Japończyka mówiącego w hausa na coś innego. Kiaftin Gillafsie opowiadał, jak pobożny był Dżenar i jak ta pobożność prowadziła czasem do nieporozumień z niektórymi żołnierzami służącymi pod jego komendą, którzy tacy pobożni nie byli.

-Niedługo przed śmiercią - mówił Gillafsie - Dżenar wizytował Kameruńczyków ze Scottish Rifles na parę dni przed ich odlotem do Chowringhee. Dżenar Wingate, jak to on, zawsze lubił porozmawiać ze swymi ludźmi. „Mam dla was dobrą wiadomość i złą wiadomość - powiedział Kameruńczykom. - Zła wiadomość jest taka: w Birmie armia Tojo będzie od was liczniejsza. Dobra wiadomość jest taka: pobijecie ją”. „Mam nadzieję, że tak, sir” - powiedział kofur, ze zdziwieniem patrząc na hełm Dżenara.

„Wszyscy uczestniczymy w wymianie zwanej wojną - powiedział Dżenar. - Nasz wróg sprzedaje strach i nieszczęście. My zaś niesiemy nadzieję i zbawienie. W Birnie będziemy szerzyć nieogarnione miłosierdzie Boga”. Kiedy Dżenar to powiedział, kofurowi zaszklily się oczy. Zawsze myślał, że poleci do Birny walczyć za króla i kraj. „W Birnie - ciągnął Dżenar - będziecie wysłannikami gniewu Bożego przeciw cesarstwu zła generała Tojo. Będziecie w Birnie tryumfować, bo będziecie uzbrojeni w najwspanialszą broń, jaką wynaleziono, najpotężniejszą broń, jaką zna człowiek”. „Co to będzie, sir?” - spytał kofur. „Będziecie uzbrojeni - powiedział Dżenar - w Miecz Sprawiedliwości, a chronić was będzie Pancierz Prawości. Jeśli stoi za wami Bóg, któż stanie przeciw wam? Niektórzy z was mogą nie wrócić. Niektórzy pozostaną na drogach i wzgórzach Birny, używając ziemię. Ale taka jest wojna. Co o tym sądzisz, żołnierzu?” - zapytał Dżenar kofura. „Tak jest - odrzekł kofur ze Scottish Rifles. - Tak jest, sir; i pan, i Pan Bóg, kurwa, świetnie poradzicie sobie z tym sami, sir!”

Nawet Bananowi, lekko przestraszonemu, że słuca czegoś takiego o Bogu, historyjka wydała się zabawna. Po nieprzerwanym piekle ostatniego tygodnia podzielał uczucia Kameruńczyków.

-Innym razem, podczas pierwszej kampanii czinditów - mówił kiaftin Gillafsie - Dżenarowi i jego kolumnie zabrakło żywności. Przez dwa tygodnie uciekali przed Japończykami, uważali jednak za zbyt ryzykowne prosić o zrzuty. W końcu zdołali się oderwać od Japów, a Dżenar połączył się przez radio z dowództwem brygady i powiedział: „Panie, manny z niebios daj nam dzisiaj”. Radiooperatora w dowództwie zatkało, przez dobrą chwilę musiał się zastanawiać, o co chodzi Dżenarowi. Potem odrzekł: „Zasię Pan wysłuchał modłów twoich”. Po paru godzinach nad obozem kolumny przeleciała dakota i zrzuciła pojemnik na spadochronie. Zawierał sześćdziesiąt bochenków chleba.

Kiedy Banan przestał się śmiać wraz z pozostałymi, spytał Dendzę, co to takiego manna z nieba, a jeśli Dżenar i jego ludzie nie mieli co jeść, to dlaczego dowództwo brygady przysłało akurat sześćdziesiąt bochenków? Czy dowództwu zabrakło żelaznych racji „K”? Dendża orzekł, że nie wie. Wie tyle, że ta historia musi być śmieszna, skoro śmiesz kiaftina i w ogóle wszystkich.

-Słyszałem plotki - powiedział samandża Show do kiaftina Gillafsie - że teraz lada dzień ewakuują nas z White City i zostawią bazę.

-To znaczy, że wracamy do Indii? - Twarz Godiwillina rozjaśniła się.

-Nie wygląda na to, cholera - odrzekł kiaftin. - Przede wszystkim jesteśmy tu, żeby szarpać Japów. Teraz robimy to w White City. Dżenar Lentaigne może uznać, że pora przenieść zabawę gdzie indziej. Ale nie do Indii. To będzie tu, w innym kącie tej jebanej dżungli. Słyszałem o planach budowania innej

ufortyfikowanej bazy, dalej na północ. Podobno ma się nazywać Blackpool. Pewnie tam nas przerzucą. Słyszałem nawet takie szurnięte gadanie, że mogą nas rozformować i posłać do Chin, żeby wzmocnić Amerykanów. Na razie to tylko gadanie. Póki dowodzi dżenar Lentaigne, nikt się nie dowie, co dalej z nami.

Po śmierci dżenara Wingate a naczelnym dowódcą czinditów mianowano dżenara Lentaignea. Nikt go nie znał, bo w przeciwieństwie do Wingatea nigdy nie wizytował oddziałów na polu walki. Nigdy z ludźmi nie przysiadł, żeby pogadać przy ognisku. Jedni twierdzili, że to dlatego, iż Lentaigne nie cierpi latania. Inni zwracali jednak uwagę, że Wingate też nie cierpiał samolotów, a mimo to wciąż latał, żeby spotykać się ze swymi ludźmi, bo wiedział, że okazuje im w ten sposób troskę. Dżenar Wingate dowodził z linii frontu, tymczasem jego następcą cenił *wyżej* dowodzenie na odległość. Podobno nowy dowódca nie chciał przylecieć i zobaczyć się z nimi, bo nienawidził dżenara Wingatea i uważał - choć sam był czinditem - że czindici to zawracanie głowy. Niektórzy twierdzili, że szychy, które mianowały akurat Lentaignea, pomijając innych dżenarów myślących jak Wingate, zrobiły tak, bo skoro Wingate a już nie ma, to przekładacze papierków w indyjskim naczelnym dowództwie, którzy nienawidzili Wingatea, bali się go i krytykowali, teraz zabrali się do niszczenia jego dziecka. Mówiono, że Lentaigne to administrator, którego dowództwo nasłało, żeby doszczętnie oskubał coś, co nikomu już nie leży na sercu.

Wyznawcom teorii spiskowych, w gruncie rzeczy wszystkim wybitnym dowódcom czinditów, na potwierdzenie przypuszczeń starczała wiadomość, że po śmierci Wingatea na korytarzach sztabu w Indiach po prostu świętowano, taka była powszechna reakcja. Paranoja na tle czinditów uświęcona została po wojnie, kiedy zawieszali pracę nawet oficjalni historycy opisujący karierę Wingatea, byle pomniejszyć rolę Dżenara w kampanii birmańskiej. Postać Wingatea mogła pozostać w niełasce. Dopiero po przetłumaczeniu na angielski - dziesięć lat później - pamiętników japońskich generałów bijących się z Wingateem przywrócono dobre imię Dżenarowi.

Zapis w zapis członkowie Sztabu Generalnego Cesarskiej Marynarki Wojennej, Gunreibo Socho, ujawniali, jakie szkody psychiczne wyrządzili czindici, których liczebność Japończycy ogromnie przeszacowali. Nękanie Japończyków na ich własnym podwórku spowodowało daleko idące konsekwencje. Czindici rozwiali bowiem mit, w który uwierzyli sami Japończycy: że w dżungli są niepokonani. Japończycy zawładnęli dżunglą nie dlatego, że dżungla ich jakoś wyróżniła spośród innych, ale dlatego, że dżungla sprzyja odważnym, a odwaga Japończyków - niekiedy wręcz

zuchwalstwo - zapierała dech. I Japończycy o tym wiedzieli.

Dlatego tak bardzo byli wstrząśnięci, gdy się zderzyli z odkrywczą inteligencją, taktyką, która nie tylko ich zaskakiwała, zbijała z tropu, ale często przedrzeźniała ich najśmielsze posunięcia. Mając na względzie szerszy kontekst birmańskiego teatru wojennego, oddziały Wingatea wyrządziły Japończykom - jeśli chodzi o ciało - szkodę nie większą niż zadrapanie nosa; natomiast szkody duchowe, które wyrządził Wingate, to była inna sprawa. Bezczelnymi fortelami Wingate wodził na manowce japońskich dowódców i popychał do takich błędów, które mogły ich kosztować przegraną wojnę w Birmie.

-Słyszałem najróżniejsze pogłoski - powiedział Gillafsie. - Ale jak by powiedział sam Dżenar, to tylko furfaganda. Wszystko jest furfaganda.

Czindici byli w poważnych tarapatach. Ich najgorszymi przeciwnikami już nie byli Japończycy. Śmierć Dżenara osierociła czinditów. Stali się nieznośną zadrą, stadem zbłąkanych psów spuszczonej w dżungli ze smyczy. Byli tu, żeby zabijać i dać się zabijać w kampanii, którą dowódcy w Indiach traktowali z podobną wrogością jak japońscy nieprzyjaciele.

Gillafsiego gryzły te niewesołe myśli, lecz nie zamierzał dzielić się nimi ze swymi ludźmi.

-Rzecz w tym - uśmiechnął się ponuro - że Jap z za drutów usiłuje nas zabić. Nasze zadanie polega na tym, żeby mu nie dostarczyć tej uciechy. Nasze zadanie to zabić go w każdej sytuacji. I właśnie to chcemy zrobić.

Sięgnął do kieszeni po butelkę rumu. Każdy, kto mógł pić, pociągnął z niej i poprawił sobie nastrój. Damisa i Banan wzniesli kubki.

-To jest toast za tych, którzy już nie żyją - powiedział Gillafsie. - I za następnego, który umrze.

Tuż po toście Bloken zaczął śpiewać, wpiersw cicho, potem na całe gardło, kiedy wszyscy odpowiedzieli już na zew.

-Znów w domu! - wykrzyknął.

-Znów w domu - odpowiedzieli pozostali.

-Znów w domu! - wykrzyknął jeszcze raz.

-Znów w domu - odpowiedzieli.

-O mój ojcie!

-Znów w domu.

-O moja matko!

-Znów w domu.

Potem zaśpiewali wszyscy:

Kiedy zobaczę mój dom?

Kiedy zobaczę rodzinny kraj?

Mojego domu nie zapomnę nigdy.

Głosy musiały zbudzić Japów. Po paru sekundach śpiewu usłyszeli charakterystyczne gruchnięcie „węglarki”, nad ich głowami rozerwał się mózdzierzowy pocisk i rozległ potężny gwizd tysięcy stalowych odłamków.

-Japska furgaganda - powiedział Bloken.

-Otóż to, Bloken. - Gillafsie kiwnął głową, racząc się kolejnym łykiem rumu. - Zobaczmy, czy im się spodoba to, co poleci od nas.

Sięgnęli po breny.

Rankiem, kilka tygodni później, siedmiu po zęby uzbrojonych ludzi uniosło zwój drutu kolczastego i po cichu wyniknęło się z White City Stąpali ostrożnie. Przed trzema dniami zginął tu jeden z ich towarzyszy. Nazwiska nawet nie znali, bo nie znali człowieka, kiedy żył. Ów nieznanym im żołnierz, saper, który

o tym polu minowym wiedział wszystko, jak właściciel winnicy o każdym skrawku gleby pod winoroślą, w tej makabrycznej winnicy śmierci otaczającej umocnioną bazę ruszył w prawo zamiast w lewo, a może w lewo zamiast w prawo. Grona, które sam posadził i pielęgnował, rozerwały go na strzępy.

Na czele rozciągniętej, maszerującej gęsiego procesji kroczył Ko Ye. Między nim a zamykającym pochód Damisą szli Godiwil- lin, Guntu, Banan i Gillafsie. Z wyjątkiem Banana - którego twarz za dnia wydawała się dziecięca, podobna do księżycy w pełni, bo nie obeznana z goleniem, skoro jeszcze nie było co golić - twarze pozostałych pokrywał zarost nie tknięty od miesięcy.

W Damisie Banan dostrzegał kogoś podobnego do Szehu Usmana dan Fodio, sufickiego uczonego, który pod sztandarem dżihadu zaledwie przed wiekiem założył największe w Afryce państwo narodowe.

Gillafsie wyglądał jak żonaty po wielokroć Henryk VIII.

Gdyby Długi John Silver, pirat, albo hiszpański konkwistador Hernando Cortés wychynęli tego ranka z mgieł historii czy z królestw wyobraźni i zstąpili na wzgórze Birmy, spotkaliby ludzi zdobnych w brody nie gorsze od ich własnych.

Zarówno pobożny i egzekwujący trzeźwość mudżahid, jak i wielokrotnie rozwiedziony król czy też drewnianonogi kucharz bądź gubernator generalny Nowej Hiszpanii mogliby zauważyć, że te wychudłe, niedożywione zjawy wyglądają tego ranka nadzwyczaj optymistycznie, maszerując w cętkach słonecznego światła, którego smugi przemknęły między pełnymi pąków gałęziami drzew, wysokich, stłoczonych, wznoszących się nad ludźmi jak okrętowe maszty.

Brodacsi sodża szli na odsiecz grupie wypadowej, która przez radio prosiła

o wsparcie po krwawej potyczce pod Nyaungga- ing, wioską odległą o dziesięć kilometrów.

Każdy z żołnierzy miał naszywkę z chinthe, potworem o ciele lwa, głowie orła, zębach smoka, uszach osła i ogonie węża. Chinthe, leogryf, symboliczny strażnik pagód buddyjskich w Birnie, mógł atakować wroga z dziewięciu różnych stron naraz.

Zwycząjem czinditów podczas wypadu żołnierze nie mieli na mundurach w barwach ochronnych żadnych oznak stopni ani funkcji.

Obowiązywał zakaz oddawania honorów. Wiadomo było, że salutowanie pozwala snajperom zidentyfikować oficera, czyniąc zeń cel numer jeden.

Każdy cał marszu z White City do Maigangi - jak nazwał tę wioskę Banan - był najeżony niebezpieczeństwami. Zaledwie po dwóch godzinach od wymarszu z bazy niemal wpakowali się na kompanię japońskich soda idącą w przeciwnym kierunku. Zanurkowali w zarośla, ale na ukrycie się mieli tak mało czasu, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby dosięgnąć stóp przechodzących obok Japów. Przyczajonym, wtulonym w ziemię żołnierzom serca waliły jak szalone, kiedy liczyli stopy przemaszerowujące tuż obok i z całych sił odpierali chętkę, żeby otworzyć ogień. Wszyscy wiedzieli, że walczą z tą samą palącą pokusą. I wszyscy wiedzieli, że będzie to czyste samobójstwo, jeśli ktokolwiek ją zaspokoi. Czym innym jest atak ze starannie przygotowanej zasadzki, czym innym zmierzenie się - pod wpływem impulsu - siedmiu ludzi z niemal trzema setkami przeciwników.

Uniknąwszy o włos katastrofy, trzymali się odtąd z dala od ścieżki i szli przez dżunglę dłuższą trasą.

Jeśli nie liczyć wszechobecnego żaru, który w południe zamienił dżunglę w piec chlebowy, ani promieni słonecznych wnikających w ludzi jak noże, ich marsz przypominał świąteczny spacer.

Po uwięzieniu w White City to były prawdziwe wakacje. Przez te tygodnie, podczas których japońskie ataki stały się zwyczajną nocną niewygodą, twierdza White City zamieniła się w piekło; przeżarta śmiercią i chorobami zaczęła cuchnąć tak straszliwie, że pobyt w niej, lub tylko w jej pobliżu, przypominał zatrzaśnięcie w komorze z metanem.

Smród bił nie tylko od ludzi, którzy przestali się myć, kiedy Bagno zamieniło się w płynącą trupiarnię; smród bił nie tylko od padłych mułów, leżących po całej bazie, nie tylko brał się z epidemicznego wzdęcia i wiatrów, czym dotknięty był co drugi żołnierz; przede wszystkim bił nie słabnąco, wgrzając się we wszystko, z rozkładających się ciał niemal dwóch tysięcy Japów nadzianych - w nie kończącej się galerii makabrycznych łamańców - na zwoje drutu kolczastego otaczające bazę.

Był tak potężny, że piloci nadlatujący nad White City wyczuwali podejście do lądowiska, kiedy ów odór gnijących ciał zaczynał im się wdziierać w nozdrza o całe mile przed celem.

Co rano na druty zlatywały się tysiące sępów. Ptaki niechętnie odfrwały dopiero wieczorem, kiedy na obóz zaczynały spadać „węglarki”. Sępy wiedziały jednak, że ludzie właśnie wznowiają ów dziwny rytuał, który niezawodnie powiększy ich zapasy, pożerane z takim zapalem. Łyse padlinożercę tak się rozleniwiły, że od porannego lądowania w tym karawanseraju często nie podrywały się z ziemi aż do wieczora, kiedy ploszyły je moździerz. Wpierw obżerały się gorączkowo, kracząc rozdzierająco

z zachwytem, potem przypadały do ziemi, żeby z zadowoleniem zażyć drzemki, a po niej podnosiły się z wielkim trudem i od nowa zabierały do uczyty, objadając się martwymi, gnijącymi ciałami. Ptaki tak się zapasły, że ich szyje zamieniły się w wory.

Wraz z sępami nadleciały muchy. Miliony much bzycały wszędzie, przypominając plagę szarańczy.

Oblegani i ostrzeliwani mieszkańcy bazy, żeby pozbyć się ciał, próbowali wszystkiego, w tym niegaszonego wapna i miotaczy płomieni. Nic nie pomogło.

Wkrótce ludzie zaczęli chorować. Objawy bywały różne - wzdęcia, jadłowstręt, wymioty, biegunka, zgaga, kurcze i ciężka depresja.

To oraz nagły wybuch malarii, szczególnie wśród białych soda, stopa okopowa, przypadki tyfusu i tajemniczy stan objawiający się pieczeniem, kluciem i świerzbieniem wszystkich ..kończyn sprawiły, że baza White City stała się jednym wielkim lazaretem. Znacznie więcej czinditów zmarło od chorób już po ewakuacji, niż zginęło w obozie w walkach z Japończykami. Szychy w Indiach zbytnio nie przejmowały się nimi, ale nie było też tak, że ich nienawidzono. Przylatywali coraz to nowi sanitariusze i lekarze. Na dziesiątkach spadochronów zrzucono do bazy ładunki lekarstw.

Niemniej każdy nade wszystko pragnął się wydostać z White City. Ludzie chcieli uwolnić się od żrącego odoru bazy, chociaż wcale nie zamierzali uciekać z Birmy. Niewielu chciało opuścić Birmę przed wykonaniem tego, po co ich tam posłano. Posłano zaś po to, żeby z Birmy wykopać Japów, do ostatniego.

Każde zadanie wymagające wyjścia z bazy uważano teraz za luksus.

W dżungli miały sens tylko dwa rodzaje zadań. Pierwsze, wprawdzie niebezpieczne, lecz stosunkowo łatwe, polegało na wyjściu z bazy i przyniesieniu wody pitnej z pobliskiego brodu.

Drugie - skrajnie niebezpieczne - polegało na wyjściu czin- ditów w grupie

operacyjnej: żeby wysadzić most lub zorganizować zasadzkę. Podczas misji dywersyjnych więcej czinditów poginęło z rąk Japończyków, czy po prostu w dżungli, niż w bazach pod ostrzałem ciężkich moździerzy.

Wcześniej wyznaczenie do grupy operacyjnej to była zła wiadomość. Teraz każdy chciał iść. Dlatego żołnierze drużyny D podskoczyli z radości, kiedy kiaftin Gillafsie powiedział, że pójdą z nim do Maigangi. Nawet Guntu, którego lęk przed porywaczami przebranymi za drzewa lub cienie zachował pierwotną świeżość, zareagował na to jak na wieść o jakimś święcie. Wciąż wydawał się bardzo smutny, ale wywinął podwójnego kozła.

Bloken nie poszedł z nimi tylko dlatego, że dobrała się do niego ciężka biegunka - osłabł i nawet nie mógł wyjść z okopu

o własnych siłach.

Bloken zalewał się łzami, kiedy drużyna D opuszczała White City bez niego. Płakał, tymczasem do okopu zakradły się promienie słońca, zaślniły na świeżo zdobytych złotych zębach - łupach wydartych z ust martwych Japów - i rozświetliły ściany.

Bloken za swe rozczarowanie winił amulety. Teraz już wiedział, że zawiódł się na ich mocy, bo kiedy je nabywał w Gboko, swym rodzinnym mieście w kraju Tiwów, poszedł do ulicznego handlarza cudownościami, zamiast się wybrać do Wielkiego Kapłana, którego czary kosztowały całych sześć pensów więcej. Stało się tak, bo Bloken był sknerą, a w dniu, w którym kupił amulety, był pijany: zaprawił się słodkim winem palmowym i mocnym, pędzonym po domowemu dżinem „podeprzyj mnie, a ja ciebie”. Człowiek upijał się nim w szczególny sposób. Oszołomiony sądził, że kroczy i do przodu, i do tyłu, i w górę, i w dół, i w lewo, i w prawo, wszystko naraz; w rzeczywistości zaś taki człowiek tylko się chwia, nie ruszając się z miejsca.

Bloken wypił też parę galonów burukutu, cierpkiego słodowego piwa ze sfermentowanego prosa.

Potem przerzucił się na pito, sławetną popitkę, która wcale popitką nie jest. Pito, podobnie jak wspaniałe burukutu, to halucynogeny alkoholowy napój z kukurydzy i prosa, ale sporządzany w połowie fermentacji.

Zakończył, popalając ui-ui, aromatyczne suszone kwiaty najlepszych, naturalnych konopi z Gboko, używane też jako zioła lecznicze.

Taki koktajl, wywracający mózg na nice, przymuszał zawsze Blokena do pewnej osobliwości: tłuczenia butelek na swej łysej głowie, żeby pokazać, jaki to z niego twardziel.

Pieprzu dodawało sytuacji i to, że jednym ramieniem Bloken obejmował jedną dziewczynę, drugim drugą. Były to dwa śliczne aniołki: Patience i Angerina. Podawały się za siostry, lecz Bloken wiedział, że go zwodzą.

Chociaż - po prawdzie - nie zdziwiłby się, gdyby były siostrami, skoro obie były jednakowo piękne. Nie mógłby z ręką na sercu powiedzieć, gdzie je poderwał; za słabo pamiętał. Niemniej aniołki Patience i Angerina były najpiękniejszymi nie-siostrami, które poderwał, bo ostatnie piękne siostrzyczki, też aniołki, podrywał w barach, których nazw ani adresów nie mógłby wymienić, pewnie dlatego, że nie istniały. Piękne aniołki, czy też anielskie siostrzyczki, przyciągało pole magnetyczne wytwarzane przez pieniądze w kieszeni Blokena. Czegóż więcej mógł się domagać od życia?

Był tak wstawiony, że ledwie się trzymał na nogach, ale Patience i Angerina zakochały się w nim do szaleństwa, co było okolicznością wprost nadzwyczajną, bo i on zakochał się w nich po uszy. Siostry, podpierając Blokena z obu stron, na wpół zaniosły go, na wpół dowlokły tam, gdzie - jak sądziły - chciał się znaleźć. Przez całą drogę trójka śpiewała na całe gardło. Zadyszane dziewczęta przestały, kiedy wsłuchały się w śpiew Blokena. Zapewniły, że ma najpiękniejszy głos, jaki dobiegł ich uszu. Była to pochwała co się zowie. W Gboko wszyscy mają piękne głosy. W Gboko każdy jest znakomitym śpiewakiem. W Gboko wychodzące z łona matek dzieci płaczą absolutnie czysto.

Tak się pechowo złożyło, że piękne siostry zauroczone pięknym śpiewem skrzyły w niewłaściwą stronę i zataszczyły Blokena w niewłaściwe miejsce.

I wówczas rozstrzygnął się jego los.

Bloken był naprawdę dobrym chłopcem, zaharowanym synem rolnika. Zjawił się w mieście tylko dlatego, że miało to być jego ostatnie Święto Nowego Jamsa. Nazajutrz miał odłożyć motykę i dołączyć do tysięcy innych chłopaków z ludu Ti w, specjalnie zaproszonych przez Wysokiego Urzędnika Dystryktu; zapewnił on, że Tiwowie są rasą waleczną, wielkimi wojownikami, w związku z czym w pierwszy dzień targowy po przedźniwnym Święcie Nowego Jamsa niech przyjdą do biura Wysokiego Urzędnika, gdzie otrzymają królewskiego szylinga. Bloken królewskiego szylinga miał w nosie, bo marzył o czym innym: żeby się dostać do tych cholernych Indii. Guzik go obchodziła podróż do zakichanej Bomy i guzik go obchodziło, co ma tam robić; ważne było, że pojedzie do tych wspaniałych cholernych Indii, o których tyle się nasłuchał.

Bloken kochał muzykę ze suangiem. Zwłaszcza przepadał za suangowaną muzyką, kiedy gra taki Louis Armstrong albo Benny Goodman czy Fletcher Henderson. Bloken był przekonany, że w Indiach mają muzykę ze suangiem.

Lecz Bloken nie był głupcem. Wiedział, że nie ma żadnych szans przeciw Japon, którym będzie musiał stawić czoło w Bomie. Dlatego postanowił nabyć kuloodporność, zanim wyruszy walczyć za króla.

Pechowo się złożyło, że w dniu obranym na wykonanie tego planu był kompletnie urżnięty, do tego niczemu nie winne Patience i Angelina - miłości jego życia - zataszczyły go do niewłaściwego sprzedawcy kulooporności. Handlarz szarlatan wziął ciężko zapracowane pieniądze Blokena, a w zamian dał mu sznur paciorków napełnionych zwykłym piaskiem zebrany na łachach rzeki Katsina-Ala.

Przez takie oszukańcze amulety, teraz Bloken był tego pewien, nabawił się biegunki w chwili, w której powinien stąd wyjść i ruszyć w stronę Maigangi. Bloken uznał to za największy zawód życiowy, ale też miał tylko osiemnaście lat i każdy nowy zawód był dlań największym zawodem jego życia.

Największy zawód życiowy ocalił życie Blokenowi Yahimbie.

Ozmierzchu Ko Ye wszedł na minę.

Marsz okazał się łatwiejszy, niż przypuszczali. Przez większą część drogi trawersowali wijące się, łagodne zbocze w dżungli, nie tyle przerażającej, ile zapierającej dech i uczącej pokory.

Szli przez las wysokich smukłych miodli indyjskich, wysokich grubych dębów i drzew tekowych. Patrzyli na nie kończącą się paradę ekstrawaganckich drzew smoczych, których długie złociste gałęzie okrywały szmaragdowe liście i jaskrawe pomarańczowoczerwone kwiaty. Potem natknęli się na mangowce

Izjadali dojrzałymi, soczystymi owocami sypiącymi się na ziemię z gałęzi, które ktoś zdołał pochwycić i nimi potrząsnąć.

Z mangowca spełznął pyton. Guntu, który niegdyś widywał na mangowcach niejednego węża, wyprawił pytona w zaświaty jednym cięciem *adda*.

Kiedy znowu ruszyli, Dendża i Banan chronili teraz tyły; chciwie wgryzali się w owoce mango i rozmawiali o liście samandzi Pasza. Napisał do drużyny D ze szpitalnego łóżka w Kalkucie, gdzie dochodził do siebie po amputacji.

-Więc teraz ma drewnianą nogę? - spytał Banan. Kiedy nadszedł list Pasza, Banan stał na wieczornej warcie.

-Jeszcze nie - odrzekł Dendża. - Z drewnianą nogą muszą poczekać, aż się wygoi rana.

-Pasz z drewnianą nogą... przykre, jeśli się zastanowić.

-Lepiej skończyć z drewnianą nogą niż tak jak Dogo, niech

go Bóg ma w opiece. Pasz to szczęściarz. W przyszłym miesiącu odsyłają go do domu. Statkiem do Lagos.

-On jest z Lagos?

-ZAbbeykutey.

-Gdzie to jest?

-Kolo Lagos.

-Wróci do starej pracy, na kolei w Minnie?

-Kto wie?

-Paskudna rzecz się stała z jego ojcem. To kobra?

-Nie. Chyba nie.

-Co za koniec, okropność.

-To pewnie była efa. Piaskowa efa.

-Ou, ou, ou. Dlaczego nie powiedzieli samandzi Paszowi?

-Kiaftin mówi, że telegram zapodział się gdzieś w Indiach. Zanim go tu przesłali, Pasz już był w Kalkucie.

i - Więc do tej pory nic nie wie?

-Chyba nie. Były ostatnio jakieś listy z domu?

-Do mnie nic. A do ciebie?

-Ja też nic nie dostałem - powiedział Dendża. - Parę tygodni temu Guntu dostał list. Brat mu napisał, że żona Guntu urodziła bliźniaki.

-Żona Guntu urodziła bliźniaki?

-Dwóch ładnych małych sodża.

-Bóg jest wielki.

-Biedna kobieta. Była w ciąży piętnaście miesięcy.

-Nie wiedziałem, że to możliwe - powiedział Banan.

-Ja też nie. To cud.

-Ciekawe, dlaczego Guntu robi z tego sekret? - powiedział Banan.

-Pewnie jest trochę zakłopotany.

-A czym?

-Znasz Guntu. To skromny chłopak. Nie chce, żeby ktoś go uważał za nadzwyczajnego.

-Gdyby mnie się coś takiego przytrafiło, byłbym szczęśliwy. Obieciałbym wszystkim i każdemu opowiedział.

-Ty byś tak zrobił, na pewno - zgodził się Dendża. - Pozwól, że o coś zapytam, Ali. Ale się nie wstydz. Spałeś kiedyś z kobietą?

Banan oblał się rumieńcem i zachichotał.

-To poważna sprawa - powiedział Dendża. - Jak tylko wrócimy do Indii, musimy coś z tym zrobić. Tego tygodnia, który spędziliśmy w Bombaju, Bloken wynalazł jedno miejsce. Był tam i wracał co noc. Raz z nim poszedłem. No dobrze, dwa razy. Na to nie ma słów, Ali, coś wspaniałego. Polubisz. Byłem trzy razy.

-To się zdecyduj. Ile razy tam byłeś?

-Co noc. Chyba ci powiem o tych dziewczynach z Bombaju, Ali...

-Myślałem, że jesteś żonaty.

-lestem. Bóg świadkiem. Ale co ma z tym wspólnego moja żona?

-,I nie zbliżajcie się do cudzołóstwa". Tak powiada Księga.

-Mówisz jak samandża. W Bombaju powiedział mi to samo. Myśli, że zna życie, ale to nieprawda. Rozumie się tylko na zabijaniu. Dobrze znasz Księgę?

-Nieźle.

-Więc powinieneś cenić te wielkie słowa, które sam prorok skierował do nas, nędznych potomków Adama: „I wszystko, co wam zostało dane, jest tylko używaniem życia tego świata i jego ozdobą”.

-Ale jeszcze jest dalszy ciąg.

-Masz rację. W Świętej Księdze zapisano znacznie więcej.

-,,...a to, co jest u Boga, jest lepsze i bardziej trwałe. Czy nie jesteście rozumni?" Taki jest dalszy ciąg tego wersetu.

-Właśnie miałem to powiedzieć - zapewnił Dendża. - Wspaniałe słowa. Słowa mądrości.

-Tylko że nie ma w nich mowy o cudzołóstwie.

-Święta prawda. Ale kiedy będziemy w Bombaju, zabiorę cię do tych dziewczyn, choćbym cię musiał zaciągnąć. Nawet zapłacę z własnej kieszeni.

-Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

-Dlaczego takie ważne? - Dendża nagle wpadł we wściekłość. - Bo życie, Ali, płata okrutne figle. W jednej chwili jesteśmy, a zaraz potem nas nie ma. Musimy iść na całość. Naprawdę myślisz, że żona Guntu nosiła w łonie te bliźnięta przez rok i trzy miesiące? Naprawdę myślisz, że Guntu stracił rozum, bo Japy zamieniają mu się w cienie i drzewa? Niewinność jest niebezpieczna, Ali, zrobię co mogę, żebyś się pozbył tej cnoty, nawet jeśli mam skończyć w ogniu siedmiu piekieł po kolei. Nie zrozum mnie źle, dzielny sodża z ciebie, pierwszorzędny wojownik. Ale zabijanie ludzi nie robi z ciebie mężczyzny. Ja z ciebie zrobię mężczyznę, Ali. Sprowadzę na manowce, jeśli Bóg da mi dość siły.

Banan zachichotał.

-Zrobię to, zrobię, zapamiętaj moje słowa - obiecał Dendża, dźgając Banana w kark wyciągniętym palcem. - Możesz mi nie dziękować, nie oczekuję wdzięczności. Jestem rybakiem, Ali. To i owo mogę opowiedzieć o niebezpieczeństwach niewinności. Wzburzony nurt wybaczy ci głupotę, ale nie wybaczy niewinności. Naiwności. Niewinny rybak to martwy rybak. Jeśli taka jest wola Boga, bracie, ty i ja zasmakujemy radości Bombaju. Dziewictwo jest chorobą uleczalną. I niech ten grzech spadnie na moją głowę.

Na drodze stały kasztanowce, cisy, żółte pośrodku, fioletowe na obrzeżu

stokrotki, purpurowe rododendrony, białe magnolie, storczyki obuwiki, żółte dzikie róże, błękitne maki, dzikie wiśnie, czerwone lilie, kwitnące derenie, kobaltowe bezłodygowe gencjany, taiwanie, kropliki piżmowe, mchy i oszałamiające, ale cuchnące kwiaty rosiczek, roślin wabiących komary, moskity, pająki, motyle, pasikoniki i świerszcze na liście pokryte lśniąca lepka ciecżą, sokiem trawiennym, który rozpuszczał ciała owadów, kiedy łyżkowate liście nagle zamykały się, zamieniały w pułapki, a w końcu w śmiertelne urny.

Zobaczyli panterę mglistą wciągającą porykującego jeszcze jelenia na duże i rozległe drzewo: świątnikowcowego figowca.

Zobaczyli cały las cyprysów, już dogorywających w objęciach bengalskiego figowca dusiciela, dumnego członka pasożytniczego rodu banianów, które to drzewo zwykle budzi się do życia z nieszkodliwego nasiona u stóp innego drzewa bądź w koronie innego drzewa, a potem powoli wypuszcza własne korzenie zamieniające się w zbity gąszcz wokół pnia nieszczęsnego gospodarza, dusi go stopniowo, pozbawia światła słonecznego, wyżera wszelki pokarm spod korzeni, aż wreszcie oplecione drzewo usycha i umiera, pozostawiając w pniu dusiciela dziurę, pamiątkę po pniu gospodarza, który tam rósł od pokoleń. Figowiec bengalski to książę pasożytów.

Wczesnym przedpołudniem na ich ścieżce wyrosła dzika słonica, rzucając wyzwanie, żeby podeszli bliżej i spróbowali ją ruszyć. Skłonili się przed jej wysokością i zmienili trasę.

Niecałe trzy kilometry od celu wpadli w zasadzkę. Zdawało się, że niebo na zachodzie płonie. Ognie nagle zmieniły odcień ze złocistego na szafranowy, potem na purpurę z lekkim odcieniem brązu; wreszcie fiolet ustąpił przed granatem nocnego nieba.

Przed nimi przepływała struga.

-Przy odrobinie szczęścia - powiedział Ko do idącego za nim Guntu - powinniśmy być w Nyaunggaing za godzinę.

To były jego ostatnie słowa. Także ostatnie, jakie usłyszał Guntu.

Ko ostrożnie przekroczył podejrzaną łądygę bambusową leżącą wpoprzek ścieżki. Ominął ją, bo wyglądała na część pułapki minowej. Miał się właśnie odwrócić i ostrzec innych, kiedy pod stopą wyczuł delikatny, niemal nieuchwytny opór. Spojrzał w dół i spostrzegł, że stopa uwięzła mu w drucianej pętli, najwyraźniej podwiązanej do zapalnika. Ko zamarł i wtedy wpadł na niego Guntu. Z drzew po sekundzie posypały się świecące metalowe owoce, jakże podobne do sypiących się wcześniej owoców mango. Potem były już tylko wybuchy i świst kul.

Ko Ye i Guntu nie mieli szans. Zginęli na miejscu.

Ledwie pozostali czindici zdołali się otrząsnąć po ogłuszającym wybuchu,

kiedy rozległo się dobrze znane poszczekiwanie karabinów maszynowych Nambu i trzask powtarzalnych czte- rotaktowców Arisaka.

Banan stał jak wryty, cały skamieniał; bardzo powoli docierało do niego, co się dzieje. Kątem oka zobaczył, że Dendża i Gillafsie zataczają się i przewracają, jakby dostali. Nigdzie nie widział Damisy ani Godiwillina.

Potem coś uderzyło go w pierś. Pomyślał, że to pocisk, ale iiiie, to była pięść Damisy; samandża pchnął go, a Banan runął głową naprzód, oszołomiony, w płynący w dole nurt.

Zanim Banan został czinditem, rzeki i planeta Mars były dla niego niemal na równi obce, dopiero na ćwiczeniach okazało się, że ciągnie go do wody. Podczas miesięcy spędzonych w Indiach nie przyszło mu jednak do głowy, że pewnego dnia przyjdzie mu wytrwać pod wodą, kiedy na powierzchni, nad głową wybuchają pociski i granaty. Szybko zaczęło mu brakować powietrza i bezwiednie zaczął się wynurzać.

Nim jednak wytknął głowę, poczuł na stopie mocny uścisk i coś pociągnęło go w głąb. Usiłując zacerpnąć tchu, nałykał się ciepłej, słonawej wody.

Miał wrażenie, że wymiotuje. Rzeczywiście zwymiotował i połknął jeszcze więcej wody. Wierzgał, wywijał rękami, próbował się wyrwać, ale Damisa trzymał mocno; chociaż jedną rękę miał zajęta, posuwali się dzięki długim, potężnym pociągnięciom drugiej i podплыnęli ku północnemu brzegowi. Banan obrócił się, próbował go ugryźć, każdy nerw, każde włókno jego ciała ogarnęła panika, wszystko krzyczało z przerażenia.

Ostatnim, co Banan słyszał, zanim jego ciało zwiotczało, a światła w głowie przygasły, był niewyraźny terkot karabinów maszynowych.

Obudził go trzask pioruna.

Zamrugał, otworzył oczy i zaraz je zamknął - dżungla rozświetlona zygzakami błyskawic wydawała się płonącym urwiskiem zderzającym się gdzieś wysoko z wielkimi rozbłyskami, których nie skąpiło gniewne niebo.

Ściany deszczu smagały ciało Banana jak razy bykowca. W krótkich chwilach gwałtownych rozbłysków przeplatanych ciemnościami spowijającymi okolicę i samego Banana jak gruby koc oślepiiony dostrzegł martwy kształt: mężczyznę wyciągniętego obok na trawie.

Damisa nie żył.

Wstrzymując oddech, Banan trącił go łokciem. Damisa nie zareagował. Szturchnął jeszcze raz. Damisa poruszył się. Z trudem uniósł ręce, które po chwili opadły i przyłgnęły do tego samego miejsca, przy boku.

Żył. Damisa żył.

Banan poczuł ulgę tak głęboką i dojmującą, że zapomniał

o tropikalnej ulewie. Zapomniał o swym przerażeniu na widok drzew kołyszających się, jak okiem sięgnąć, niczym pijane demony. Zapomniał o huczącym wokół lesie i skradających się w ciemności, budzących trwożę zwierzętach. Usiadł w kucki, kołysał się to w przód, to w tył i mętnie próbował sobie przypomnieć, gdzie jest, jak się tu dostał i co się przytrafiło Damisie.

Ulewa trwała całą noc. O świcie ustała na chwilę i powróciła jako delikatny, spokojny deszczyk.

Z Damisą naprawdę było źle. Kiedy Banan próbował go ruszyć, Damisa zawył z bólu. Mógł mówić wyraźnie i jasno; gdyby nie kaszel i krew ciekąca z ust, trudno by było coś poznać. Lecz kiedy opowiadał, co się stało ubiegłej nocy, kiedy Banan stracił przytomność, widać było, jak strasznie cierpi.

Banan zemdlął, kiedy dotarli już na szczęście do północnego brzegu rzeczki. Damisa wyniósł go z wody. Japy wciąż ostrzeliwały strugę z flanki. Pociski świstały za plecami, padały w wodę jak deszcz. Pod mrocznym bezgwiezdny niebem, na którym zbierało się na monsunową burzę, Damisa usiłował reanimować farabitego. I już później, kiedy reanimacja się udała, kiedy już stanął z Bananem w ramionach, by odejść jak najdalej od brzegu, poczuł ostre uderzenie w plecy.

Pocisk wbił się tuż pod serce.

Będziesz musiał iść sam - powiedział Damisa bezbarwnym głosem. - Już po mnie.

Nie było w tym żadnego rozczulania się nad sobą. Na twarzy Damisy sadowiła się ziemista maska śmierci.

-Stąd już niedaleko do Maigangi - powiedział Banan. - Jeżeli tam dotrzemy, oficer ściągnie pomoc przez radio.

-Spodziewali się nas zeszłej nocy - odrzekł Damisa. - . Chcieli, żebyśmy rano zajęli pozycje. Ale kiaftin Gillafsie nie powiedział, na czym polega nasze zadanie. A ci ludzie już się mogli wycofać z Maigangi. Nie idź do Maigangi. Wracaj do bazy.

-Myślę, że w nocy Will uciekł Japom - odrzekł Banan. - W tym deszczu nie mógł zająć daleko. Nie widziałem, żeby wchodził do wody. Pewnie wciąż jest gdzieś na południowym brzegu. Kiedy go znajde, obaj możemy pana zanieść z powrotem.

-Nie rozumiesz, Ali. Teraz już nic się nie da dla mnie zrobić, nawet gdyby się to przydarzyło w bazie. - Damisa nie otwierał oczu. - Will nie uciekł. Widziałem, jak pada. Dostał pierwszy, po tym, jak Ko i Guntu wylecieli w powietrze. Dostał prosto między oczy. Will nie żyje, Ali, a ja wkrótce też będę po drugiej stronie. Tylko ty zostałeś, Ali. Wracaj do bazy i opowiedz, co się z nami stało.

-Nie ruszę się stąd bez pana, samandża. Nie mogę.

-Trafisz z powrotem do White City? - Damisa nie zwracał uwagi na słowa Banana.

-Dam radę. Obaj damy radę.

-Nie zbliżaj się do miejsca, w którym nas dorwali. Tam wciąż mogą być miny. Idź wzdłuż rzeki na wschód i znajdź bezpieczną przeprawę na południowy brzeg. Rzeka po ulewie jest zawsze zdradliwa. Uważaj, żeby cię nie porwała. Kiedy już się przeprawisz, idź z powrotem na zachód i znajdź tę drogę, którą przyszliśmy. Nie zbliżaj się do miejsca zasadzki. Przez jakieś pięć mil trzymaj się kierunku na szóstą, a kiedy dojdiesz do tych figowców dusicieli, idź stamtąd na trzecią do samej bazy.

-Wrócimy razem, samandża. Nie zostawię pana.

Damisa zaśmiał się słabo, bez przekonania.

-Ali, ja nie mogę się ruszyć. Jeśli spróbujesz mnie podnieść, zabijesz mnie. Mówisz, przyjacielu, do umarłego. - Ciałem Damisa wstrząsnął kaszel, samandża wypłuł więcej krwi. - Jeśli trafisz kiedyś do Kano, odwiedź koniecznie moją żonę. Na imię jej Hasana. Ma stragan na targu Kurmi, sprzedaje przyprawy. W moim plecaku znajdziesz parę kolczyków. Kupiłem je dla niej w Indiach. Powiedz, że umierałem krótko i że nie bolało.

-Nie mogę pana zostawić, samandża. - Banana zaczęła ogarniać rozpacz.

-Jeśli zostaniesz, to i ty umrzesz - powiedział Damisa. - Nie trzeba być szehu, żeby zrozumieć, że po tym leśnym przesmyku kręcą się Japy. Prędzej czy później zjawi się tu jakiś patrol. Co ci z tego przyjdzie, że obaj zginiemy, chociaż jeden może przeżyć? Musisz iść sam. Lecz ja nie proszę, żebyś mnie zostawił.

-O co chodzi, samandża? - podejrzliwie spytał Banan, mimo że dobrze wiedział, o czym mówi Damisa.

-Wiesz, o co chodzi, Ali - powiedział Damisa. - Wiesz, co robią Japy, kiedy znajdują rannego. Odcinają ręce i nogi, rozpruwają brzuch. Jeśli mnie tu zostawisz, to wszystko jedno, kto mnie znajdzie, czy Japy, czy tygrys, czy pantera.

-Naboje mi zamokły - powiedział zrozpaczony Banan. - I straciłem plecak w zasadzce, więc...

Damisa przerwał mu:

-Jak widzisz, wciąż mam swój. - Po tym, jak dostał, rzemieniem przywiązał plecak do ręki. - Mam w wodoszczelnym worku dwa pistolety, oba naładowane.

Banan nie drgnął.

-Sam bym to załatwił, gdybym miał dość siły - powiedział Damisa, po raz

pierwszy błagalnym tonem. - To wszystko, co możesz dla mnie zrobić, Ali. Tylko tyle, nic więcej.

Banan otworzył plecak i znalazł worek. Wyciągnął enfielida i browninga P-35 hi-power. Rewolwer schował i ponuro wpatrzył się w P-35.

-Weź koc - powiedział Damisa. - Użyj jako tłumika. W pobliżu mogą być Japy.

Banan wyciągnął z plecaka koc.

-Dziękuję, Ali - powiedział Damisa. - Wiem, że to niełatwe, ale nie masz pojęcia, jak mnie boli. Szkoda, ale takie jest życie. Zresztą miałem naprawdę udane życie i tylu dobrych przyjaciół. I nigdy nie zapomnę braci z drużyny D. Ani kiafti- na; to też porządny gość. - Damisa dygotał. - Zimno mi. Jeżeli jesteś gotów, to ja też.

Damisa zamknął oczy i cierpliwie czekał na śmierć.

Banan sprawdził magazynek i upewnił się, że w komorze jest nabój.

-Żegnaj, samandża - powiedział.

Damisa się nie odezwał.

-Dziękuję, że mi uratowałeś życie, samandża - rzekł Banan.

Damisa milczał.

-Do chwili, w której się spotkamy.

Damisa wciąż się nie odzywał, jakby już nie żył.

Banan ostrożnie ułożył koc na jego czole.

Delikatnie oparł wylot lufy na kocu.

-Zaraz to zrobię - powiedział i czekał, aż Damisa coś powie. Ale Damisa nic nie mówił.

-Zaraz to zrobię, samandża! - powtórzył Banan, krzycząc jak krnąbrny dzieciak, który błaga, żeby go powstrzymać od wybryku.

Trzęsły mu się ręce.

-Powiedz coś do mnie, samandża - jęczał; łzy zalewały mu twarz. - Nie lekceważ mnie, proszę, nie lekceważ.

-Weź się w garść, Banan - powiedział chrapliwie Damisa. - Zrób to od razu.

Banan starł łzy z policzków i ściągnął spust.

Brązowe nurki, których stadko wygrzewało się w słońcu na pobliskiej skale, wrzasnęły spłoszone i runęły pod wodę. Kryły się pod powierzchnią przez minutę. Wynurzywszy się, wyznaczyły sobie bezpieczniejszą odległość od miejsca, z którego dobiegł niepokojący odgłos. Zaciekawiony zdziwaczały pies, który cały ranek przyglądał się obu żołnierzom, gniewnie warknął i czmychnął.

Banan długo klęczał nad ciałem Damisy.

Zawinął je w koc, który wcześniej posłużył za tłumik. W plecaku znalazł

linkę, obwiązał koc na stopach Damisy, na szyi i udach.

Podniósł i założył plecak.

Potem ukląkł i podniósł ciało. Damisa, istny kolos, był lekki jak osesek.

Na brzegu strumienia Banan przystanął i zmówił modlitwę nad zmarłym. Potem zepchnął Damisę w wezbrane wody.

Patrzył, jak ciało powoli odpływa na zachód.

Sam ruszył w przeciwną stronę, co pewien czas rzucając okiem za siebie, na ciało Damisy. Przestał się oglądać, kiedy zniknęło za zakolem rzeki.

Powrót do White City boleśnie się dłużył. Nie tylko dlatego, że Banan był kompletnie wyczerpany, droga zaś wiodła wciąż pod górę. Nocą dżungla zamieniła się w gigantyczne złożę szlamu. Jeżeli Banan nie tkwił po pas w błocie, to ścieżka okazywała się tak śliska, że raz po raz padał twarzą w maź.

Wędrował w ulewie cały dzień.

Do figowców dusieli dobrnął dopiero po zmierzchu i urzą- , dził sobie wśród nich nocleg. Otworzył konserwę i od razu zjadł wołowinę, nie troszcząc się o żadne podgrzewanie, chociaż przestało padać i bez trudu mógł rozpalić ogień. Wiedział jednak, że ogień nocą to tyle co napytać sobie biedy, jeśli w pobliżu znajdzie się przypadkiem nieprzyjacielski oddział.

Damisa pojawił się, kiedy Banan zażywał mepakrynę i szykował się do nocnego spoczynku. Banan próbował się odezwać, ale samandża tylko stał, uśmiechał się i milczał.

Banan wsunął się do dołka, który wykopał. Zaciągnął przygotowany już daszek z konarów nakrytych zielenią i niemal natychmiast zasnął. Zaledwie po godzinie obudziło go wycie wichury, szaleńcze błyskawice i grom. Wkrótce jego dół zamienił się w studnię pełną wody.

Słyszał, jak wokół pękają pnie. Nie przejął się tym. Widział, jak piorun rozdziera pobliskie drzewo na dwoje. Już nie umiał się dłużej zamartwiać. Czuł pogardę dla śmierci.

Wrzucił plecak do dziupli w figowcu. Przestraszony wąż wypełznął z drzewa i czmychnął. Banan wdrapał się do dziupli,

oparł głowę na plecaku i zwinął się. Burza nie słabła, pod jej naporem wspaniałe pasożytnicze drzewo zakołysało się parę razy, a Banan - który spał przekonany, że czuwa - w jednej z takich chwil poczuł, że jest na morzu, na statku płynącym do domu. Pojawił się król Jerzy w szatach emira Zarii. Nie wiadomo czemu Banan uznał to za niebywale zabawne i wybuchnął śmiechem.

Śmiał się jeszcze rano, po przebudzeniu. Uświadomił sobie, że sięgający trzewi lęk, który go dławił od przylotu do Birmy przed tygodniem, nagle się rozplynął.

Banan podejrzewał, że to się jakoś łączy ze śmiercią Damisy. Bo ta śmierć nie przypominała innych.

Teraz Banan miał za sobą zabicie wielu ludzi, widział wielu umierających. Zabici przez niego nie mieli twarzy. Nie znał ich, nie nienawdził. Nie czuł nic szczególnego w związku z zabijaniem. Po tamtych mógł się spodziewać tego samego. Był żołnierzem piechoty walczącym w jakiejś niesamowitej wojnie, której nawet dobrze nie rozumiał. Nie wiedział, po co król Jerzy toczy wojnę w Birmie, tak daleko od Anglii. To nie był problem Banana.

Był w Birmie, żeby walczyć w wojnie króla Jerzego i koniec.

Japy były wrogami króla Jerzego i koniec.

Japy były wrogami Banana.

Albo Banan zabije Japów, albo Japy zabiją Banana.

Ikoniec.

Inaczej jednak było z patrzeniem na śmierć ludzi z jego otoczenia. Banan żył się z nimi. Stali mu się bliżsi niż ktokolwiek z rodziny. To oni byli jego braćmi, tymczasem widział, jak umierają, jeden za drugim. Nie miał czasu ich oplakiwać i nie umiał powiedzieć, czego te śmierci go nauczyły, prócz jednego, że następnym razem może i na niego przyjdzie kolej. Przerażająca myśl.

Przerażająca myśl o śmierci nie opuszczała Banana, ciążyła przez cały czas, ale zmieniała to śmierć Damisy.

Teraz myśl o śmierci napełniała Banana pogardą; gotów był szydzić ze śmierci.

Śmieję się z ciebie, powiedział śmierci. Śmieję się.

Zbudził się rano. Przestało padać. Niebo rozjaśnił blask słońca.

Banan wziął plecak i wyszedł z drzewa. Ruszył na zachód, głośno śpiewając.

Maszerował przez cały dzień, w coraz bardziej radosnym nastroju, aż w końcu zachciało mu się tańczyć. Więc zatrzymał się i tańczył, na oczach oszołomionych małp. Małpy go wygwizdały.

Pod wieczór doszedł w dżungli do miejsca, które wydało mu się znajome. Zachodził w głowę, czy jest już blisko White City. Lecz wiedział, że to niemożliwe. Pociągnął nosem. Powietrze było zbyt świeże. Nie czuło się nigdzie odoru śmierci.

Kiedy tak stał i zastanawiał się, gdzie też, u licha, trafił, z dziupli w drzewie wypełznął wąż i czmychnął. Banan zrozumiał, na czym mu zeszedł dzień. Zatoczył wielki krąg i trafił dokładnie tam, skąd wyruszył rano.

Poczuł wdzięczność wobec węża.

-Wracaj, przyjacielu! - zawołał za nim. - Starczy miejsca dla nas obu. W końcu

to twój dom. Starczy miejsca dla ciebie i dla mnie.

Waż jednak nie wrócił.

Banan rozpałił ogień. Wyciągnął rację żywnościową, ostatnią, jaka mu została, do menażki wrzucił wołowinę z puszki, baton owocowy, biszkopty, cukier granulowany, lemoniadę w proszku i herbatę. Dodał wody, zamieszał i wszystko zagotował.

Od przylotu do Birmy nie miał w ustach czegoś tak dobrego.

Podniecony swoim kulinarnym wynalazkiem chciał już biec do ziemianki drużyny D i wszystko opowiedzieć chłopakom. Musiał się pohamować, bo pomyślał, że nocą będzie to pewnie zbyt niebezpieczne. Może wkrótce nadlecą „węglarki”.

Kiedy się najadł, zapalił chesterfielda, rozkoszując się wspaniałością okolicy.

Nie trudził się kopaniem kryjówki na noc. Wrzucił plecak do dziupli i wczłogał się za nim.

Lało przez całą noc, lecz Banan nie zbudził się ani na chwilę.

Rano zobaczył, że oblażyły go pijawki. Ściągnął mundur, spodenki, buty i skarpetki. Całkiem nagi przyjrzał się sobie i zobaczył tysiące maleńkich ślimakowatych stworzeń, które przylgnęły do niego od stóp do głów i ssały krew.

Zaczął je odrywać. Zobaczył jednak, że kiedy pijawka już się nasyci, a jej wygłodniałe ciało spęcznieje od krwi, po prostu rozwiera ten swój muskularny, ostry jak igła, tnący skórę ryjek i pada na ziemię w radosnym omdleniu. Mógł uznać, że te stworzenia są szczęśliwe. Że kiedy mali krwiopijcy obdarzeni trzema piłowatymi zuchwami zbrojnymi w setki zębów ostrych jak brzytwa i żołądkami zdolnymi wchłonąć pięć razy więcej krwi, niż wynosi objętość całego osobnika, wychodzą z tego omdlenia, zaczynają tańczyć. Banan był przekonany, że radosne, akrobatyczne podskoki, podczas których pijawki podnoszą się i padają, co wygląda jak pływanie w miejscu, to ekstatyczny taniec wdzięczności.

-Częstujcie się, moje drogie - zachęcił je Banan. - Jest tego znacznie więcej.

W końcu to jego goście. Byłoby grubiaństwem nie zaproponować posiłku.

Mundur, buty, spodenki i skarpetki Banan schował do plecaka. Był już gotów wsunąć ręce pod paski i zarzucić plecak, kiedy zdał sobie sprawę, że zmiażdżyłby stworzonka pożywiającego się na jego plecach.

Z całego serca przeprosił pijawki i z powrotem wrzucił plecak do dziupli. Włożył tam też karabin i cisnął *adda*.

-Przepraszam, że przez dwie noce z rzędu włamywałem się do twego pięknego domu - powiedział głośno, w nadziei, że wielkoduszny wąż znajduje się w

poblizu i slucha. - Jako znak wdziecznosci zostawiam w twoim obejmieciu worek. Znajdziesz w nim pistolet i rewolwer, karabin bren, troche amunicji i sporo granatow. Znajdziesz tez wiele innych rzeczy. Proszę bardzo, ciesz sie nimi. Wraz z bronia podarowalbym ci rumaka, ale jedyny wierzchowiec, jakiego mialem, w ogole nie byl koniem, jak sie okazalo. Byl oslem i juz go nie ma na tym swiecie. Bylbym szczesliwy, moj męzny przyjacielu, mogac zobaczyc cie na koniu z karabinem w rece. Wspomnialem o pistolecie i rewolwerze? To browning i enfield. Teraz sa twoje. Oba nalezaly do samandzi. Ale samandza nie zyje, wiec nie bedzie ich potrzebował.

Bez bronii, chociazyby kuchennego noza, nagi jak w chwili narodzin, Ali Banan przemierzal dzungle.

Gdyyyyy byleeeee sooodzaaaaa Gdyyyyy byleeeee sooodzaaaaa Gdyyyyy byleeeee sooodzaaaaa Gdyyyyy byleeeee sooodzaaaaa

Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra Hip-hip, je-je, hurra, hip-hip je-je, hurra

Kiedy po trzech dniach dotarl w koncu do bazy, wciaz spiewal. Przezył dzieki diecie z pijawek.

Wartownikom starczył rzut oka na nagiego, glosno spiewajacego, zblizajacego sie do zasiekow Afrykanina, by pospieszyc z pomocą i wprowadzic do bazy. Mial koszmarnie opuchnietą twarz pokrytą sladami ukaszen. Nie mieli pojecia, kim jest, wiedzieli jednak, ze w Birmie czarny mężczyzna musi byc jednym z nich. Mozna bylo powiedziec jedno: wygladal na jakies piecdziesiat lat.

Na widok czinditow Banan popadł w radosne delirium, oni zas nie mogli dociec, co takiego zlego przydarzylo sie Leniu c. I<> wiekowi, jesli nie liczyc tysiecy malenkich siniakow w ks/l .1U u*

litery Y i kilkadziesieciu swiezo przyssanych pijawek, wciaz uczujacych jego kosztem.

Był jednym wielkim usmiechem, dopoki nie podsuneli mu koca, zeby okrył nagość.

-Dzenar - oswiadczył - naplubym na wasz koc.

IBanan naplubł w imieniu Dzenara.

Zaprowadzili go wprost do dowodztwa brygady.

Banan bardzo sie zagniewal, kiedy dowodca brygady zaproponowal, zeby Banan usiadł.

-Nie widzisz, ze mam goosci?! - wrzasnal na dowodce, z wyrzutem mierzac palcem w oficera. - Nie widzisz, ze umra, jezeli na nich siade?!

Oderwał od uda szczególnie dobrze spasioną pijawkę i wrzucił ją sobie do ust.

-Powiedziały, że mogę je jeść - wyjaśnił, kiedy ją zmiążdżył zębami. - Nie chcę, żeby umarł.

Samandza Show, do którego już dotarła wiadomość o nagim afrykańskim przybyszu, wszedł, kiedy Banan częstował się następną przekrwioną delicją; samandza obrócił się na pięcie i wyszedł. Usłyszano, jak wymiotuje przed schronem.

Kiedy dowódca spytał Banana o stan zdrowia, ten zamam- rotał coś o wężu.

-Był dla mnie bardzo miły - powiedział, kręcąc głową z podziwem. - Podarowałbym mu konia, gdybym miał. Gdzie jest Bloken?

Telefony i walkie-talkie rozszalały się w poszukiwaniu Blokena.

Bloken wyglądał jak upiór; wszystkiego, co zjadł, pozbywał się zaraz przez biegunkę, ważył około połowy tego co dawniej, w sztabie zameldował się znękany gorączką i zawrotami głowy.

Banan ogromnie się ucieszył.

-Bloken! - wrzasnął. - Tak się cieszę, że cię widzę! Uściskałbym cię z całej siły, ale sam widzisz, że nie mogę, bo moi przyjaciele jedzą kolację.

Bloken szeroko otworzył usta. Zamroczony wpatrywał się w mówiącego do niego szaleńca.

-Kim jesteś? - spytał, szczerze zdumiony. Nigdy nie widział tego człowieka.

-Bloken, to ja - wyrzucił z siebie Banan głosem pełnym miłości. - To ja, Ali Banan. Tak się cieszę, że cię widzę.

Bloken wybuchnął płaczem.

To wszystko

Kurunkus kan dan bera.

To wszystko.

Pora ściąć łeb szczurowi.

Od autora

IN ie zdołam spłacić długu wdzięczności należnego zmarłemu już sierżantowi Jamesowi Shawowi - w mojej powieści występuje on epizodycznie, w fikcyjnym przebraniu samandzi Jamee- sa Showa - poprzez którego *The March Out*, niezapomniany opis epopei czinditów, poznałem autentycznego Alego Banana (wymyślony przeze mnie imiennik to twór czystej wyobraźni

inie ma nic wspólnego z prawdziwym historycznym poprzednikiem). Równie nieoceniona okazała się *Chindit Column* kapitana Charlesa Carfrae.

Te książki - wraz z klasyką wspomnień wojennych, *Prisoners of Hope* brygadiera Michaela „Mad Mikea” Calverta - składają się na zbiór przykładów świadczących o odwadze, jakimi Afrykanie wykazali się, służąc u boku autorów w Birmie. I te właśnie książki w znacznej mierze pomogły mi odkryć na nowo dojmująco żywy, fantasmagoryczny, oszałamiający świat: dżunglę w sercu południowo-wschodniej Azji, w którą wpierw, ledwie odrosłem od ziemi, wprowadziły mnie opowieści ojca o masakrach, szoku pod ogniem artylerii i z trudem roznieconym współczuciu.

Pragnę podziękować Imperial War Museum, gdzie spędziłem wiele popołudni na przedzieraniu się przez odtajnione materiały drugiej wojny światowej, zwłaszcza z najskromniej udokumentowanego, najbardziej zaś bezwzględniego teatru wojny, z kampanii birmańskiej.

Wiele zawdzięczam też następującym książkom: *Orde Wingate* Christophera Sykesa, *Orde Wingate: Irregular Soldier* Trevera Roylea, *Fire in the Night* Johna Biermana i Colina Smitha, *War Bush* Johna A. L. Hamiltona, *West African at War* Petera Clarkea. Obficie czerpałem z relacji *The Last Execution in Sokoto Prison*, pomieszczonej w antologii *A Selection of Hausa Stories*, którą zestawił i opublikował H. A. S. Johnston. Te źródła były nieocenione.

Pragnę wreszcie podziękować wszystkim przyjaciołom i krewnym, którzy wskazywali mi właściwy kierunek i wspierali mnie podczas pisania; to Temi T. i Andrea; Ona, Rana i Keith; Nick Rankin; Johanna Ekström; Charles Taylor, a także moja redaktorka, Ellah Allfrey, która nie szczędziła mi zachęt i pomagała ulepszać książkę.

Wyrazy podziękowania kieruję też do Arts Council England za grant, który pozwolił mi pracować nad tą powieścią.

Biyi Bandele Londyn

Od tłumacza

Kilka słów przybliżenia

JAMES SHAW - wydał w 1953 roku wspomnienia wojenne *The March Out*. Był oficerem, który przeżył kampanię czinditów, w tym ewakuację z White City.

ORDE CHARLES WINGATE (1904-1944) - brytyjski generał. Po raz pierwszy zyskał rozgłos - jeszcze jako pułkownik - w roku 1938 w Palestynie, wówczas terytorium mandatowym Wielkiej Brytanii. Stworzył tam działające z powodzeniem oddziały SNS (Special Night Squads) do walki z nocnymi atakami dywersyjnymi Palestyńczyków. Do legendy przeszła jego kampania w Abisynii, w wojnie z Włochami w latach 1940-1941, gdzie stworzył inną formację specjalną, złożoną głównie z Etiopczyków Gideon Force (nazwa nawiązuje do postaci biblijnego sędziego, który małymi siłami pokonał

liczniejszych przeciwników). Ukoronowaniem legendy Wingate a były operacje na tyłach wojsk japońskich w Birmie, gdzie dowodził sformowaną przez siebie formacją czinditów. Przedstawione w powieści szczególnie są autentyczne: kairska przeprawa Wingate'a z malarią i atabryną, jego próba samobójcza, nawet pogryzanie surowej cebuli noszonej na szyi na sznurku.

ATABRYNA (MEPAKRYNA) - lekprzeciwmalaryczny i przeciw-pasożytniczy stosowany masowo, także profilaktycznie, podczas

II wojny światowej w oddziałach amerykańskich i brytyjskich. Żołnierze skarżyli się na jej gorzki smak, występujące po zażyciu żółknięcie skóry oraz inne objawy uboczne, jak bóle głowy, nudności, wymioty, niekiedy stany psychotyczne.

CZINDICI - dwa brawurowe rajdy na tyły japońskich wojsk w Birmie doczekały się obszernych opisów i bogatej literatury. Były dziełem legendarnych czinditów, żołnierzy 77. Brygady Piechoty (od 1943 roku 3. Dywizji Piechoty) - Nigeryjczyków, Brytyjczyków i Gurkhów wspieranych przez brytyjskie i amerykańskie lotnictwo. Określenie to pochodzi od zniekształconej nazwy rzeźb skrzydlatego birmańskiego lwa (*czinze*) strzegącego buddyjskich świątyń.

ZŁOTE WYBRZEŻE - do 1957 roku kolonia brytyjska; obecnie Ghana.

PORA ŚCIAĆ LEB SZCZUROWI - konwencjonalna fraza końcowa afrykańskich opowieści.

W IMIĘ BOGA LITOŚCIWEGO - przywołania Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego.

BUSH WARFARE SCHOOL - brytyjska szkoła walki w dżungli; wojskowa jednostka szkoleniowa dla oficerów i podoficerów w Maymyo w Birmie, dowodzona przez Jamesa Michaela Calverta „Mad Mike'a”, przygotowująca podczas drugiej wojny światowej oddziały do zadań specjalnych (początkowo w wojnie z Japończykami w Chinach).

MAJIGI - nigeryjska nazwa kina objazdowego; zniekształcone angielskie *magie*.

WRÓCIE DO TWIERDZY, WIĘZNIOWIE NADZIEI - Pismo Święte w przekładzie Nowego Świata.

Spis rzeczy

Prolog. Kair	9
I Hajlakandi.....	25
II Aberdeen.....	65
III Tokio.....	79
IV White City.....	117

To wszystko	185
<u>Od autora.....</u>	<u>188</u>
<u>Od tłumacza.....</u>	<u>190</u>